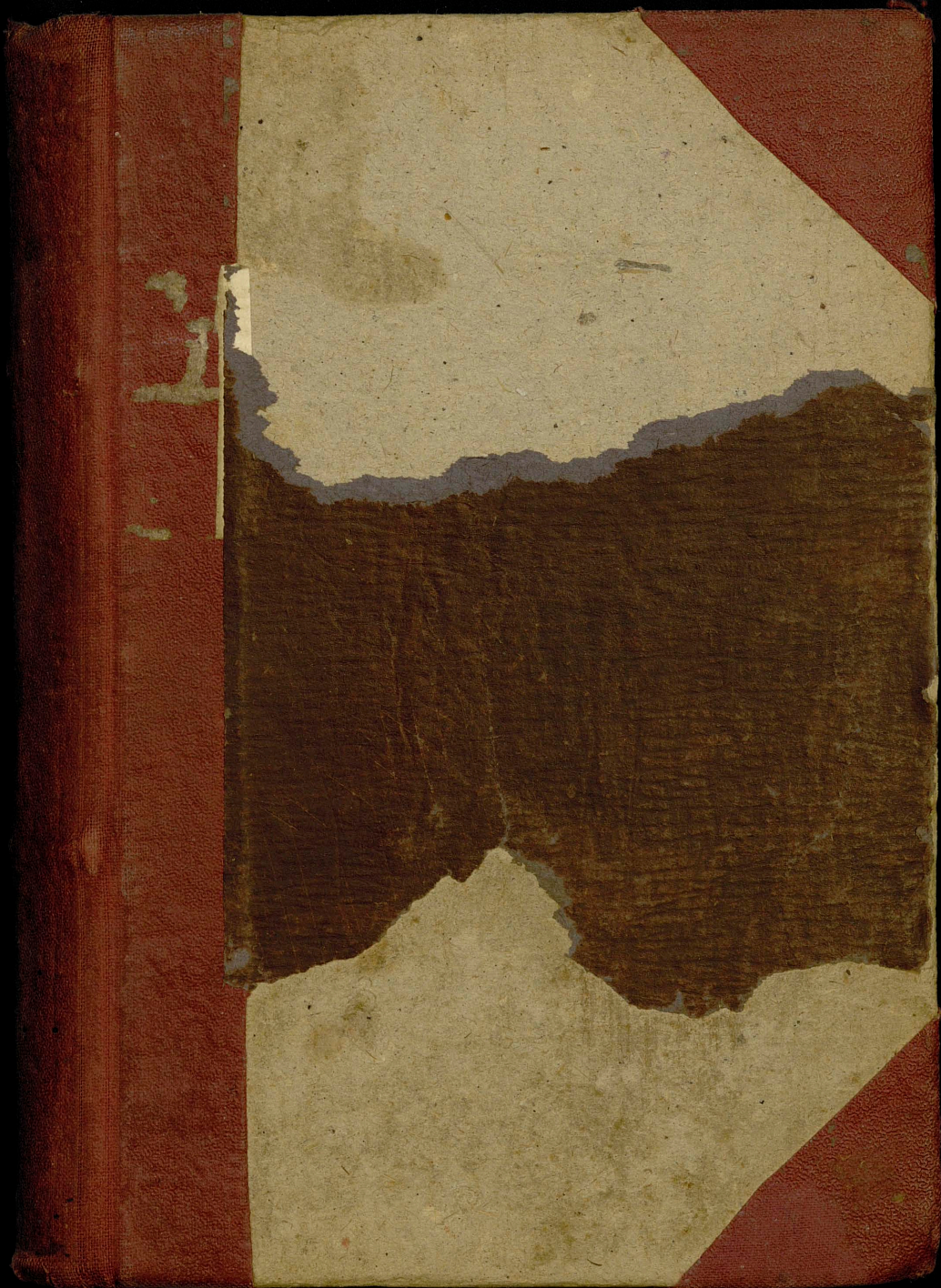
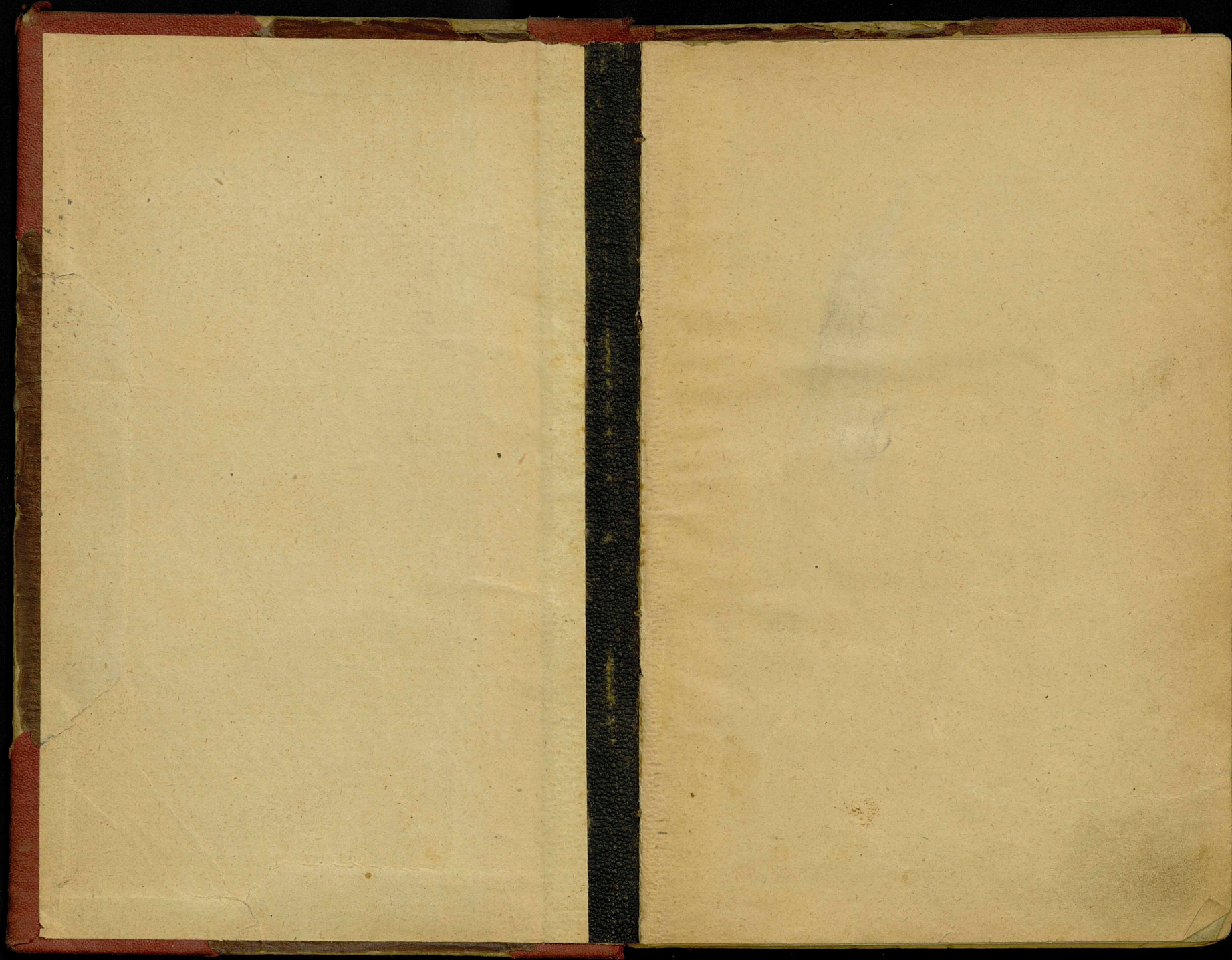






ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

DRYGAŁOWIE

POWIEŚĆ UCIESZNA



WARSZAWA

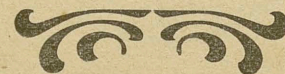
Druk K. Kowalewskiego, Piękna 15.

1915.

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

DRYGAŁOWIE

POWIEŚĆ UCIESZNA



WARSZAWA

Druk K. Kowalewskiego, Piękna 15.

1915.



884-311.2



7395

Доволено Военною Цензурою, Варшава, 27 Марта 1915 г.

✓ Kłamstwo jest wyrazem szlachetnych pragnień człowieka, a szczerość — objawem jego bezwstydu.

J. Opat.

I.

Wiele widziałem, wiele doświadczyłem, wiele przemyślałem i odczułem; pozostało mi z tego wiele smutku, który nie gniewa się i nie jęczy, lecz uśmiecha się lekceważąco lub pobłażliwie.

To naturalne.

Przecie Polska jest to taki kraj, w którym nie młodzi się śmieją wesoło, lecz starzy smutno.

Przedmiotem szczególnej mojej uwagi był od dawna Drygał (wielu imion) — przedstawiciel najpowszechniejszego gatunku, który ciągle opiera się najsilniejszym przeciwnościom życia i stoi na arenie świata, jako niepokonany zwycięzca w walce o byt. Na jego geniusz składały się najrozmaitsze pierwiastki. Drygałowie bowiem stanowili rdzeń ludzkości we wszystkich miejscach i czasach, oni głównie zajmowali wszystkie szczeble drabiny społecznej, począwszy od szynkarzów a skończywszy na mini-

strach, w ich drzewie genealogicznem na niezliczonych gałęziach i gałązkach byli posiadacze wielkich dóbr i małych osad, właściciele drobnych warsztatów i ogromnych fabryk, urzędnicy, bankierzy, kupcy, kramarze, literaci, artyści, uczeni i t. d. — czyli cały ród człowieczy. Ojciec naszego bohatera, Jacka Drygała, był naprzód lokajem, następnie obrońcą prywatnym, urzędnikiem policyjnym, dostawcą kamieni szosowych, przedsiębiorcą pogrzebowym, wreszcie mężem bogatej, obłąkanej wdowy, która mu umożliwiła uczciwe zrobienie majątku przez nabycie kamienicy, gdzie 15 pokojów zajmował wytwornie urządzony dom publiczny. Mówiono głośno, że gospodarz domu miał tajemny a dość znaczny udział w tem przedsięwzięciu; ale ta jego działalność społeczna, pomimo dziesięcioletniego trwania, nie została nigdy stwierdzona dowodami piśmiennymi, skończyła się zaś po zamknięciu dochodowego zakładu przez władzę, która w pensyonacie żeńskim wykryła oddział męski, podobno uważany przez prawo za niemoralny, gdy nie jest meldowany. Szanowny obywatel, zraniony głęboko w swym honorze, dla zaprzeczenia krzywdzącym go pogłoskom, wynajął ów lokal częścią Towarzystwu siedmiu sakramentów, a częścią — poczwórnej wstrzeмиęliwości.

Fortuna jednak nie dochowała wierności swemu oblubieńcowi do śmierci: przed chwalebnym zgonem stracił cały majątek na okup i karę za patryotyczne ukrycie wyrobu wódki i równie patryotyczne zaku-

pienie dużej partyi fałszywych sturubłówek. Możeby nawet obie te sprawy skończyły się gorzej i nie pozwoliły mu umrzeć na łonie kochającej rodziny, gdyby zacny i wpływowy krewniak, dyrektor jakiejś kancelaryi, nie ocalił mu wolności i czci, wydarłszy przytem patryotycznie akcyzie połowę nałożonej przez nią grzywny dla siebie. Dzięki temu nieszczęściu pan Salezy Drygał zeszedł ze świata prawie tak wyluskany z dóbr ziemskich, jak wszedł do niego.

Ponieważ z pierwszą żoną, obłąkaną wdową, dzieci nie miał, po jej śmierci przez kilka lat pocieszał się z siostrą swego rządcy domu, a ożenił się powtórnie wtedy, kiedy już zaczęło się jego patryotyczne męczeństwo za zubożanie skarbu państwa, więc jego pierwszy syn Jacuś znalazł się odrazu po kołami Fortuny. Wydobył się jednak z pod nich bardzo szczęśliwie; jak to zaś się stało, wkrótce sam opowie.

Właśnie nadarza się ku temu dobra sposobność. Państwo Drygałowie obchodzą srebrne wesele — 25-lecie niezłomnego dotrzymywania sobie złożonej przed ołtarzem przysięgi małżeńskiej. Dla uczczenia tej pamiątki porobiono należyte przygotowania, bo Jacek lubił bardzo uroczystości familijne, zwłaszcza połączone z obrządkami religijnymi, i zawsze był tak patryachalnie usposobiony, że nawet najmłodsze służebnice obdarzał prawami żony i uważał je za naturalne jej dopełnienie. Czy pani Eufemia знаła tę cnotę męża — nie wiadomo, ale to pewne, że nie czuła z tego powodu żadnej do niego urazy.

Była to bowiem kobieta nastrojona górnio, dobra, rzewna, umiejąca wydobyć słodycz idealizmu nawet z kwaszonej kapusty, łatwo ustępująca każdemu we wszystkich wypadkach, z wyjątkiem chrztu dzieci, którym sama dobierała coraz niezwyklejsze imiona. W tym punkcie nikt nie mógł złamać jej uporu, była bowiem przekonana, że jest to dziedzina, którą dotychczas zbyt zaniedbywano i do której należy wprowadzić postęp. Wprowadziła go też czterokrotnie: synowie zwali się Polikarp i Cyryak, a córki — Firmina i Jolanta.

Program obchodu ułożono zgodnie — z drobną jedynie sprzeczką. Żona twierdziła, że powinien on być możliwie najwierniejszym odtworzeniem pierwszego dnia ślubu, a więc naprzód obiad w kółku rodzinnym a potem kolacja z gośćmi, mąż zaś dowodził, że ponieważ dnia weselnego z wielu względów ściśle odtworzyć nie można, przeto lepiej zjeść obiad w gronie rodziny i najbliższych znajomych a wieczorem pójść do teatru. Jak zwykle, pani Eufemia ustąpiła. Najbliższych znajomych reprezentował jeden tylko Jan Opat, tak uprzywilejowany, że nie zawsze można było dostrzedz różnicę między stanowiskiem i prawami tego przyjaciela a pana domu. Na ucztę południową zaproszony został również ksiądz, który miał niby przed 25 laty dawać ślub Drygałom, ale nie dawał, gdyż był znacznie od nich młodszy, obecnie zaś stanowił konieczną dekorację, której oni odmówić sobie nie mogli i na którą on za 10 rb. się zgodził.

Ile razy szło o poważniejsze zakupy artykułów spożywczych, dokonywał ich sam Jacek, gdyż posiadał rozległą znajomość źródeł korzystnego nabycia, dużo wytrwałości w targu i niezwykłą pomysłowość w zastępowaniu rzeczy drogich taniemi. Chwaląc się sam lub chwalony przez innych za ten talent, przytaczał odpowiednie maksymy, które kiedyś od kogoś usłyszał i do przykazań swego życia włączył: „W rękach zręcznego pasztetnika gąbka zamieni się na gęsią wątróbkę“ — albo — „Mądry urwie fasolę a włoży do ust migdał, głupi urwie migdał a włoży do ust fasolę“. Jacek należał do mądrych, więc chociaż sprawunki załatwił oszczędnie, zrobiono z nich obiad smaczny i dostatni.

Ale nawet uroczystość srebrno-weselna nie zmieniła ustalonego od wielu lat rozkładu dnia. Jacek, spożywszy rano śniadanie i przeczytawszy „Kuryera“, przyjął w swym gabinecie poufnych interesantów, nawiedzających go prawie codziennie. Pierwszy wsunął się stręczyciel pożyczek, pośrednik do wszystkiego, drobny dyskonter, stały powiernik, żywe archiwum rozmaitych tajemnic: Srul Paskidnik. W chałacie przyciętym do kolan, w spodniach puszczonych na zabłocone kamasze, w małej, sukiennej czapeczce na głowie, stanowił dopiero początkową przemianę oryginalnego żyda na podrobionego europejczyka. W jego piegowatej twarzy z brudno-żółtym zarostem zaczerwienione oczy, odstające uszy, gęste brwi, wywinięte usta — wszystko zdawało się być ułożone kliniasto i wpatrzone w spiczasty koniec przyszytych brody.

— Dzień dobry panu — rzekł, stawiając łaskę w kącie.

— Co nowego? — spytał Jacek.

— Chwalić Boga, wszystko idzie gładko.

— Jest jaki interes?

— Jest bardzo dobry, a może być jeszcze lepszy.

Jeden młody szlachcic, co za rok będzie pełnoletni, ojca nie ma, ale wielki majątek ma, chce pożyczyć 5,000 rb. i dać rewers na 10,000. Jemu się przyczepiła wesoła dziewczka, nawet trochę przechodźwana; on bez niej żyć nie może, a ona go ssie jak pompa. Drogim winem gębę płucze, mówią, co się cała smaruje jakimś olejem po 30 rb. flaszeczka...

— To nie dla mnie interes.

— Czemu nie? Pan myśli, że niepewny? Przecie ten ogierek nie wysmaruje pięciu folwarków przez rok.

— Wiem, ale nie o to chodzi. Ja nie chcę już włączyć w takie błota, z których nawet daleko widać kryminał. Wolę zostać kapitalistą uczciwym.

— Szkoda, wielka szkoda. Możliwy z tego interesu mieć długi pożytek dla nas obu. Ale przez co pan stał się tak lęklwym?

— Postanowiłem wycofać się zupełnie z drobnych i niebezpiecznych pożyczek.

— Co to znaczy niebezpiecznych?

— Czy raz musiałem się bać? A czy nie miałem strat?

— Co do bojenia się — to było ono tak niepotrzebne, jak zającowi na wiosnę, a co do strat —

to jakie? Zarwał pana ten łobuz Brzuchalski na 2,000 rb., ale przecie w ciągu tego roku przez moje ręce przeszło do pana, po strąceniu 2 proc. dla mnie, na czysto 10,000 rb. To się nazywa strata? Ile pan musi kupić te parszywe 4 i pół procentowe papiery, żeby mieć taki piękny zarobek? 250,000 rb.! A pan miał w obrocie wszystkiego 50,000.

— Tak, to prawda, ale dzieci moje już dorosły i patrzą mi na palce. Gdyby się dowiedziały, miałyby do mnie żal...

— Z przeproszeniem, one nie są takie głupie. Bo o co żal? O to, że pan im powiększa majątek? Śliczna pretensja! Niech pan mnie odda swoje pieniądze, ja zwołam moje dzieci i powiem im, że z 50 tys. mam rocznie 10 tys. rb. procentu. To one będą w górę skakać, będą mnie całować, one zjedzą po funcie ryby i po łucie gęsiego smalcu na słodkie bułkie. Ukraść wstyd i zarobić wstyd? Tak może gadać m y s z u g i e — ale pan jest przecie mądry człowiek...

— Jeszcze się namyślę.

— Niech pan się także namyśli, czy prolongować Czabańskiemu na 15 proc., bo on 20 płacić nie chce.

— Jutro, mój Srule, jutro. Dziś mam święto — dwudziesta piąta rocznica mojego ślubu.

— Niech Bóg da panu jeszcze wiele razy takie święto... Za pozwoleniem, zdarza mi się kupić tanio partycję starych zębów sztucznych. Dostanę od pana 500 rb. na dwa miesiące?

— Naturalnie.

— Na jaki procent?

— Mówisz, że kupisz tanio? No, i na miesiąc.

— Trochę za dużo, W pańskie święto niech będzie mniej — o połowę.

— Jak ojciec synowi? Ale wreszcie zgadzam się. Miej i ty dziś uciechę.

— Dziękuję panu.

Żyd wziął pieniądze, napisał kwit i wyszedł.

Za odchodzącym rzucił pan Jacenty:

— A co do tego niepełnoletniego, przyjdź jutro. Może się zdecyduje.

— Pan ma rozum.

Uśmiechnął się znacząco i zamknął drzwi.

Po chwili odchyliła je uboga żydówka. Już na progu zaczęła jęczyć:

— Ach, wielmożny panie, jak mnie Bóg skarał, jak skarał!

— Co wam się stało?

— Mój lcele umarł, umarł, jakby świeca zgasła. Tylko trzy dni chorował. Sprowadziłam doktora, kupiłam dwa lekarstwa. Nic nie pomogło. Oj! Oj!

— Kto? Wasz syn?

— Syn! To był mój pan, mój ojciec, mój przyjaciel, mój parobek, moje wszystko! Jak on krzyknął z woza: „do arbuzy! do arbuzy!” — to państwo wyłeciały na wszystkie balkony, a sługi ze wszystkich bram. Bili się i kupowali. W godzinę sprzedał 50 i zarobił rubla.

— Ile miał lat?

— Dziesięć dopiero a mądrość za sto. O Boże wielki! Pan przecie nieraz go widział?

— Może.

— Jego niema — to chleba niema, to domu niema, to powietrza niema. Co ja zarobię na koszykowym handlu? Pięćdziesiąt groszy na dzień. Z czego procenty opłacić i żyć? Panie wielmożny, ja dziś nie mogę spłacić rubla; może na przyszły tydzień więcej zarobię, to oddam dwa.

— Daruję wam tego rubla.

— Niech Bóg da panu tyle lat zdrowia, ile w tym rublu jest groszy. Gdzie ja się teraz obrócę!

— No już idźcie, idźcie — mówił, wypychając ją Jacek, a gdy odeszła rzekł do siebie:

— Te podłe żydy na wszystkim zarobią, nawet na śmierci dzieci.

Miłosiernik pozostał z rozstrojem wewnętrznym. Chciałby zarzucić potajemną lichwę, którą prowadził przy pomocy Paskidnika, a jednocześnie żał mu było ponętnych z niej zysków. Ale jak to zawsze zwykł był czynić, okupując największe winy najmniejszymi ofiarami, czuł radość w sumieniu z darowania rubla biednej żydówce.

Nie każdego dnia Jacek pacierz odmawiał, ale odmawiał; nie każdej niedzieli do kościoła chodził, ale chodził. I nie tylko powtarzał, że religia jest podstawą moralności i wywyższa ludzi nad zwierzęta, ale rzeczywiście wierzył: w istnienie Boga ciągle czynnego i mieszającego się do najdrobniejszych spraw ludzkich, w pośmiertne nagrody i kary, w nadprzyrodzoną moc i wiedzę księży, w cuda, duchy i t. p. chociaż nie oburzał się, gdy ktoś po ci-

chu kwestyonował dogmaty. Był za to stanowczym przeciwnikiem niewiary, głoszonej publicznie. Wtedy wykrzykiwał: gdy utracimy religię, to co nam pozostanie? A mówiąc to, był przez chwilę głęboko przekonany, że wraz z religią postradałby kamienicę, fabrykę i wszystko, co przynosiło dochód. Wogóle zarówno w tej sprawie, jak w każdej innej, asekurował się chętnie od nieszczęśliwych wypadków, zwłaszcza gdy opłata była niska. Może to, co księża głoszą — myślał sobie — jest nieprawdą, ale czy nie rozumniej ubezpieczyć się pobożnością na wypadek, że to jest prawdą? To tak mało kosztuje.

W dniu uroczystej pamiątki Jacek poszedł z żoną do kościoła. Wracając, kupił jeszcze kilka drobiazgów, o których przypominał sobie podczas słuchania mszy świętej.

Wszedłszy do swego gabinetu, zastał w nim służącą, ładną i wesołą dziewczynę, którą objął i ucałował z rozmachem młodzieńca.

— Idziemy dziś do teatru — rzekł przyciszonym głosem. — Po powrocie ja tu będę jeszcze pisał listy — rozumiesz?

— Pani już coś wacha, bo mi przygryza.

— Bądź spokojna, skończy na wachaniu.

— A pan chce długo pisać listy?

— O, długo.

— Nie mogę, jestem niewyspana.

— Czy ja temu winien? Za długo wczoraj gdzieś się bawiłaś.

— U siostry śpiewaliśmy „gorzkie żale“.

— Wczoraj były gorzkie, dziś będą słodkie, a jutro ładna sukienka.

— Już z miesiąc pan tę sukienkę obiecuje.

— Kasiu! — odezwał się z sąsiedniego pokoju głos Eufemii.

Służąca wyszła.

Jacek zbliżył się do lustra, nagarnął sobie z prawej skroni włosy na łysy środek głowy, podkręcił wąsy i, uśmiechając się naiwnie do swego obrazka, szepnął:

— Stary, ale jary!

Jak gdyby dla potwierdzenia tej opinii zaczął bardzo gorliwie krzątać się około przygotowań do biesiady, pomagając lub przeszkadzając żonie. Zaledwie skończono wszystkie zabiegi, gdy przybyli oba goście. Po przywitaniach i krótkiej wymianie pustych słów, całe towarzystwo zasiadło do stołu. Jacek, który wraz z całą prawie ludzkością, mniemał, że domieszka religijna nadaje wszystkim aktom najuroczystszą powagę, poprosił kapłana o pobłogosławienie darów bożych. Młody księżyk, który miał odegrać trudną rolę dawającego ślub przed 25 laty małżonkom dwa razy od niego starszym, chwycił się skwapliwie tej prośby i, odmówiwszy półgłosem jakieś łacińskie recitativo, zrobił znak krzyża nad wazą i talerzami.

Zaledwie jednak błogosławieństwem powiększył strawność jeszcze nierozlanej zupy, gdy służąca, trąciwszy poufale w ramię Jacka, doniosła mu, że nieznajomy pan czeka na niego w salonie i chce

natychmiast z nim się widzieć. Drygał zawsze w takich wypadkach przypuszczał, że albo władza ma do niego jakąś pretensję, na której można stracić albo ktoś ma interes, na którym można zarobić. Więc nigdy nie odprawiał przybysza. Tym razem zastał w salonie młodzieńca z olbrzymim krawatem fioletowym w kształcie ręcznika.

— Z kim mam przyjemność?

— Jestem z redakcyi „Kuryera Powszechnego”. Sygnalizowano nam, że państwo obchodzicie srebrne gody. Ponieważ nawet prywatne uroczystości wybitnych obywateli mają znaczenie publiczne, więc przychodzę prosić szanownego pana o szczegóły biograficzne.

Przed Jackiem otworzyło się niebo i uderzyło go oślepiającym blaskiem. Chciał wybuchnąć, ale zahamował się tą nałogową ostrożnością, którą zachowywał przy wszelkich układach.

— Niech pan siada, bardzo proszę, ot tu będzie lepiej — rzekł, podsuwając dwa krzesła. — Wdzięczny jestem niezmiennie za zwrócenie uwagi na moją skromną osobę, zwłaszcza że starannie unikam rozgłosu i powtarzam sobie za starożytnym mędrcem: *caveant consules!* Ale co szanowny pan radby o mnie wiedzieć?

Reporter wyjął notatnik.

— Naprzód kilka dat. Kiedy się pan urodził?

— W roku 1850, przy ulicy...

— To mniejsza. Uczęszczał pan do szkół — jakich?

— Rozmaitych, powszechnych, wielostronnych, ale głównie praktycznych.

— Posiada pan fabrykę, kamienicę—co więcej?

— Młyn parowy, folwark dwudziestowłókowy, kolonię trzywłókową, połowę składu aptecznego, willę „Łucyę z Lamermoor” — tak ją nazwała moja żona — kilka placów i tak dalej. Może pan śmiało zapisać i tak dalej, bo mam jeszcze kilka przedsięwzięć, których jestem cichym spółnikiem.

— Jakiej instytucyi społecznej jest pan członkiem?

— Towarzystwa kredytowego miejskiego, towarzystwa kredytowego...

— Nie o to mi chodzi. Czy pan należy do jakiejś instytucyi dobra ogólnego, filantropijnej, oświatowej?...

— Nie szukam zaszczytów, ale biedaków szczerze wspieram krytą ręką. Mojem godłem: *bis dat qui cito dat*. Ot, widzi pan kalendarz Pogotowia — a ten obrazek wygrałem na loteryi fantowej.

— Dziękuję panu, to mi wystarczy.

— Jeżeli panowie jesteście tak łaskawi, że przedstawicie mnie publicznemu narodowi, to pozwolę sobie prosić o wydrukowanie chociaż kilku zdań z mowy, którą będę miał przy obiedzie do mojej rodziny i gości.

— Najchętniej.

— Powiem w niej, że spełniłem uczciwie posłannictwo dane mi od Boga, że przez 25 lat utrzymywałem najściślejszy kontakt z moją żoną, że

zawsze starałem się mieć piękny gest i podkreślać wszystko, co znaczne. Zakończę dwiema sentencjami łacińskimi, które były przewodniami gwiazdami mojego życia: *Hannibal ante portas* i *Margheritas ante porcos*.

— Pięknie!

— Bardzo mi na tem zależy, ażeby wyraził gest, kontakt, podkreślać i obie sentencje były przytoczone.

— Może sentencje lepiej opuścić, bo mogą być błędnie zrozumiane — rzekł reporter. — U nas tak mało osób zna łacinę...

— Jak pan uważa... Ja nie mam dobrej miary, bo z łaciną nigdy się nie rozstaję... Po części dlatego tak szanuję księży...

— Numeru gazety z artykułem o panu wydrukujemy o 500 egzemplarzy więcej, bo tyle zapewne będzie pan potrzebował dla rozesłania znajomym i zachowania dla potomków.

— Czy to będzie kosztowało?

— Sto rubli.

— Trochę za drogo, ale to zdarza się tylko raz w życiu.

— Nadto byłoby stosownem i dla pana korzystnem, gdyby w tym samym numerze mieścił się opis fabryki pańskiej.

— Prawda, ale moja żona i dzieci nie życzą sobie, ażebym moje nazwisko, które jest również ich nazwiskiem, wystawiał na pokaz, złączone z wyrobem, który je razi.

— Dziwna drażliwość! Przemysłowiec nie może przecie ukrywać swego towaru, zwłaszcza tak pożytecznego.

— To jasne, ale co począć, kiedy nie dają się przekonać. Przed paru laty żona wymusiła na mnie, że usunąłem z firmy moje nazwisko i przechrzcilem fabrykę na „Aurorę“.

— Niepodobna jednak ominąć wzmianki, co „Aurora“ wyrabia... Wpada mi do głowy myśl, która usunie przeszkodę: zamieścimy opis fabryki pańskiej w tekście gazety jako artykuł redakcyjny. Zachowamy pozór, że to się stało bez wiedzy i woli pana.

— Ślicznie mój dobrodzieju. Czy panowie wyświadczą mi tę łaskę bezinteresownie?

— Byłaby to za wielka z naszej strony ofiara. Taki artykuł jest zamaskowaną formą ogłoszenia, osiągającą najlepszy skutek i dlatego najdrożej płatną.

— Ile kosztowałaby, drogi panie, ta przyjemność?

— To zależy od rozmiarów: szpalta 100 rb., cała stronica 250.

— No, niech będzie cała stronica za 200.

— Przypuszczam, że administracja się zgodzi. Proszę o podpisanie deklaracji.

Jacek włożył okulary, przeczytał uważnie blankiet, wypełnił go cyfrą, niby przypadkiem przekreślił w nim wyrazy: „natychmiast po wydrukowaniu“, położył datę i nazwisko w skróceniu, a podając dokument, rzekł:

— Jeżeli zapłacę gotówką zaraz po wydrukowaniu, dostanę według zwyczaju kupieckiego 20% skonta.

— Nie znam się na tem — odparł reporter, chowając pospiesznie do kieszeni papier, jakgdyby się obawiał dalszych pytań.

Moje uszanowanie.

— Bardzo mi było przyjemnie poznać — mówił Jacek, odprowadzając go do przedpokoju. A niech pan nie zapomni o moim pięknym goście i najściślejszym kontakcie z żoną, bo to jej sprawi szczególną przyjemność.

— Podkreślimy, podkreślimy — uspakajał go reporter w drzwiach do sieni.

— Przepraszam państwa — zawołał Jacek, wchodząc do jadalni. Musiałem załatwić ważną sprawę narodową.

Czekano na niego z jedzeniem. Ksiądz, uznawszy, że poprzednie błogosławieństwo zwietrzało, jeszcze zrobił znak krzyża nad stołem.

— Mój dobrodzieju — rzekł Jacek, chcąc związać poważną rozmowę — dlaczego kościół potępia kazirodztwo, jeżeli Bóg kazał w ten sposób rozrodzić się pierwszym ludziom?

— Wyjaśnił tę zagadkę należycie św. Augustyn — odparł ksiądz — ale to nie jest miejsce właściwe do powtarzania jego wyводу.

Ospat utkwiał swoje przenikliwe i szydercze oczy w księdza, który zmieszał się i poczerwieniał.

— A gdzie św. Augustyn to wyjaśnił?

— Nie wiedziałem, że będę tu zdawał egzamin z teologii, byłbym szanownemu panu wypisał cytate.

— To nie egzamin, ale ciekawość, którą może ksiądz zechce kiedyś zaspokoić.

Zaległo milczenie, w którym słychać było ruch pracowitych szczęk. Przerwał je Cyryak.

— Miłość płciowa między bratem i siostrą jest najnaturalniejszym związkiem.

Wszyscy spojrzeli na niego zdumieni.

— Cyryaku — zawołała pani Eufemia — takie paradoksy są może znośne w rozmowach studenckich, ale dla nas — za brutalne.

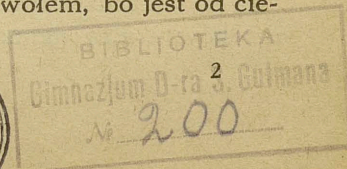
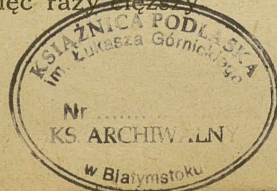
— Matka ma słuszość — przemówił pan Jacek. A jeżeli nie obecność rodziców, to szata kapłańska powinna być dla ciebie *memento mori*.

— On wcale tak nie myśli — wtrąciła Jolanta — tylko chce być oryginalnym.

— Nie będę się tłumaczył — rzekł Cyryak — bo państwo należycie do gatunków wymierających i nie rozumiecie nowego życia.

— Ty — zaśmiał się chrapliwie Polikarp — ty, który w 20 roku istnienia ważysz 110 funtów i jedną ręką nie możesz urwać wiśni, ty należysz do gatunku przyszłości? Przyjrzyj się sobie flaczku uważniej.

— Kant ważył mniej niż roczny wieprz — odciął się Cyryak — co mu nie przeszkadzało być genialnym filozofem, a jeżeli ty, Polikarpie, chcesz okazywać cześć mocy fizycznej, to powinienes odkrywać głowę przed każdym wołem, bo jest od ciebie dziesięć razy cięższy.



— Czyli, że świerszcz, który jest tysiące razy od ciebie lżejszy, odparł Polikarp — jest tyleż razy od ciebie mądrzejszy. Wydaje mi się to bardzo prawdopodobne.

— Bajdurzysz, bracie. Możecie państwo się oburzać, ile duszyczki wytrzymają, ja bym jednak chciał mieć dziecko z moją siostrą dla samej nie-
niezwykłości wrażeń. Na szczęście, czy nieszczęście, żadna mi się nie podoba.

— Oto ładny kwiatek w bagnie burżuazyi! — zawołała Firmina.

Pani Eufemia skamieniała pod słowami syna, jej mąż siedział również oniemiały i zwracał zrozpaczony wzrok ku księdzu, jak gdyby oczekiwał od niego ratunku. Daremnie usiłował przywrócić pogodny nastrój i odciągnąć rozmowę w inną stronę:

— Dzieci monarchów, a zwłaszcza następcy tronu, muszą się rodzić mądrzejsze od zwykłych, bo skądże by wzięły tyle rozumu, ile potrzeba do rządzenia państwem!

Nikt nie podjął tej kwestyi.

Jacek próbował dalej.

— Mnie się zdaje, proszę księdza, że bieliznę należałoby zmieniać w każde święto, chyba że dwa następują po sobie.

— Kościół tego nie wymaga — odparł ksiądz.

Rozmowa się rwała.

Jacek nie ustawał.

— Czy to prawda, że własnoręczne listy monarchów wiozą generałowie w czerwonych, złotem

okutych tekach i w osobnych pociągach, które nigdzie się nie zatrzymują?

— Jabym chciała tak jechać — rzekła Jolanta — ale nie sama, w miłym towarzystwie... Pędzić, pędzić i nie zatrzymać się dopiero wtedy, gdy maszyna już dech straci.

Znowu wszyscy zajęli się jedzeniem.

Tymczasem wybawienie przyszło niespodziewanie — z innej strony. Służąca wniosła dwa telegramy. Jacek otworzył je drżącą ręką.

— 20,000 sztuk żądają do Moskwy! — krzyknął rozpromieniony. — 10,000 do Kijowa!

— Czego? — spytał ksiądz.

— Aurory — objaśniła pospiesznie Eufemia.

Polikarp wziął depeche i głęboko się nad niemi zamyslił.

— Interes się złoci — mruknął do siebie.

Chmury pierzchły pod rozkosznym dmuchnięciem wielkich obstalunków, które uradowały nie tylko Jacka, ale też całą jego rodzinę. Było oczywiście, że nagle rozpromienił się w jej oczach niewspominany produkt fabryki. Ludzie nawet obojętni na pieniądze cieszą się widokiem obfitego ich napływu. Jeden tylko ksiądz nie okazywał wesela, jak gdyby ukłuty przez osę zazdrości.

Trudno byłoby znaleźć chwilę odpowiedniejszą dla wylania myśli i uczuć, które rozpierały głowę jubilata. Uderzywszy też kilkakrotnie nożem w szklanke, powstał i przemówił podniesionym głosem, łamiąc powoli zdania na wyrazy a wyrazy na zgłoski.

— Szanowni panowie i panie, czcigodny kapłanie, zacny przyjacielu, droga żono i kochane dzieci! Opatrzność — jeśli mi tak rzec wolno — czuwająca nad losami państw, narodów, gwiazd, nieba, ziemi i ludzkości, kazała mi przedłużyć wedle moich sił i boskich zamiarów prawowity ród Drygallow, któremu zawdzięczam moje nikłe, tylko przez Boga i zacnych ludzi dostrzegane istnienie. Dzięki niestrudzonej, zawsze czujnej i chętniej pomocy towarzyski mojej, z którą przez ćwierć wieku utrzymywałem najściślejszy i nieprzerwany kontakt, mogłem spełnić pomyślnie to zadanie, pozostawiając narodowi za nią i za siebie podwójną liczbę następców, was, moi rodzeni synowie, Polikarpie i Cyryaku, was, rodzone moje córki, Firmino i Jolanto. Cokolwiek przedsiębrałem, usiłowałem odgadnąć wolę boską, być zawsze dla wszystkich ludzi sprawiedliwym, dla maluczkich przystępnym, dla ubogich wspaiałomyślnym. Robotnikom mojej fabryki powtarzałem niezmordowanie, że pokorne ciele dwie matki ssie; włościanom mojego folwarku, że chłop „miał złoty róg a został mu tylko sznur“; do ogółu zaś wołałem z głębi duszy Hannibal ante portas. „Trzeba przed narodem nieść oświaty kaganiec“. Nie zapomniałem przytem, że w każdym nawet naprozaiczniejszym czynie obowiązany jestem mieć piękny gest. Tyle zdziałalem dla moralności, dla kultury, dla dobrze zrozumianego postępu, a więc dla duszy. Wykonałem również rozkaz bozki co do ciała. Kiedy biedny mój

ojciec — że tak powiem — kopnął mnie z tyłu i pchnął w świat, ażeby szukał kawałka chleba, miałem tylko ciemną głowę na karku i dziesięć palców u rąk do niczego niezdolnych. Tylko sam Bóg wie, ile zniosłem braków i upokorzeń, jak niedawno jeszcze wyczekiwałem w przedpokojach i siadywałem półgębkiem na brzegu krzeseł w gabinetach panów i wysokich urzędników, od których zależało moje powodzenie. Nie upadałem jednak w boju i znoju. Jeżeli dziś po 40 latach zabiegów i 25 latach niepokalanego małżeństwa posiadam przyzwoity dom przy jednej z pryncypalnych ulic Syreniego grodu, poważną fabrykę wyrobów...

— Wiemy, wiemy — zabrzmiały głosy — nie potrzeba nazywać! Fabryka czegoś. Aurorę! —

— Niechże będzie fabryka czegoś — ciągnął pan Jacenty — chociaż to coś daje wam duży kawał chleba z masłem. Mniejsza o to, nie chcę, ażeby w dniu tak uroczystym między mną a wami stały złośliwe Parki i powiem o mojej fabryce, jak nieśmiertelny nasz Kopernik o słońcu „a jednak się porusza“. Przepraszam i wracam do rzeczy. Jeżeli więc dziś posiadam dochodowe nieruchomości i trochę zaoszczędzonego grosza, to świadczy, jak krwawo musiałem pracować...

— I wyzyskiwać — wtrąciła cicho Firmina.

— Tak, krwawo i uczciwie pracować. Mogę to sobie przyznać z dumą i satysfakcją. Pozwólcie mi więc w tej doniosłej chwili wznieść toast na cześć Polski, mojej wiernej towarzyski i wszystkich, któ-

rych przez nią pozostawię ludzkości. To nie są przechwałki to nie są *margeritas ante porcos*. *Vivat!* Niech żyje!

— Brawo! brawo! — krzyknął, klaszcząc i śmiejąc się, Opat, na którego pani Eufemia spojrzała z żalonym wyrzutem.

Dzieci świdrowały talerze utkwionemi w nie oczami. Pan Jacenty, widocznie zadowolony z potężnego efektu swej mowy, rzekł z udaną skromnością:

— Niechże ksiądz będzie łaskaw kilkoma słowami zatrzeć moją nieudolną gadaninę.

— Ależ śliczna była — odparł ksiądz. Nie potrzeba zacierać, owszem należałoby utrwalić. Doprawdy, nie przypuszczałem, że szanowny pan taki złotousty orator.

— Trochę wymowy Bóg dał — odrzekł z tłumioną radością Jacek — ale tej drobiny nie wykształcono, więc się nie rozwinęła. Co innego kapłani... Ci już z przyrodzenia mają większe dary, potem je długo ćwiczą. To też każde ich przemówienie oślepia, ogłusza...

Tu ksiądz zrozumiał, że nie może poprzestać na pobłogosławieniu potraw i musi coś powiedzieć. Wstał i zaczął podniesionym głosem:

— Kiedy Bóg w swoich niezbadanych wyrokach stworzył dzikie zwierzęta...

Drzwi rozwarły się z trzaskiem i do sali wszedł młody, chudy i niski mężczyzna, z bladą cerą, z kędzierzawą czupryną, w binoklach, wygodnie osadzo-

nych na siodełkowatym nosie, z pod których przenikliwie patrzyły czarne, skośne oczki, z ustami wyniętemi, jak dwie skiby i z rękami wysuniętymi naprzód, jak pale ostrokołu. Bez żadnego zakłopotania zbliżył się do stołu i zapytał Firminę:

— Matkę zgaduję, a któryż tu jest wasz ojciec, towarzyszeko?

— Towarzysz Maczug, mój prawie mąż — powiedziała, zwracając się do Jacka.

Nowoprzybyły podał zdumionym rodzicom rękę, kiwnął niedbale innym osobom i usiadł przy stole.

— Co leży na półmisku, to zapewne do zjedzenia — rzekł, robiąc minę dowcipnego i nałożył sobie pieczeni.

— Co to znaczy: mój prawie mąż? — zapytał córkę pan Jacek, ochłonawszy ze wzburzenia.

— To znaczy — odpowiedziała Firmina — że naprzód powinna być rzecz, a potem jej forma. Zaczęliśmy więc od faktu małżeństwa, a potem je uprawnimy, jeśli naturalnie ono wyda się nam dogodnem.

— Ja nic tego nie rozumiem, bąknął Jacek...

— To nawet niepotrzebne, dość, gdy my rozumiemy. Ale czy ojciec naprawdę nie słyszał, że mężczyzna i kobieta mogą żyć z sobą bez ślubu?

— Ach to tak jest! Owszem, słyszałem, tylko nigdy nie przypuszczałem, że tak żyć będzie moja córka.

— Widocznie ojciec miał bardzo złe o mnie wyobrażenie.

— Przepraszam państwo — rzekła wątlým głosem pani Eufemia — słabo mi...

Wyszła.

— Jeśli rodziców nasz stosunek razi — rzekła z ironią Firmina — to jest przecie ksiądz i ręcznik się znajdzie do formalnego związania nam rąk.

Ksiądz powstał czerwony z gniewu.

— W tym radykalnym obrządku właśnie ja jestem niepotrzebny nawet jako świadek.

Uściskawszy rękę Jackowi, oddalił się.

Przytłoczyła wszystkich ołowiana cisza.

— Po co, towarzyszek, sprowokowałaś tę awanturę? — odezwał się Maczug. Rodzice wasi mogli doskonale obejść się bez wiadomości, w jakim stosunku pozostajemy.

— Co pan do stu tysięcy dyabłów pleciesz — buchnął Jacek — że rodzicom jest obojętne, w jakim stosunku z obcym mężczyzną pozostaje ich córka!

— Po co tu wzywać dyabłów i to aż stu tysięcy, kiedy my możemy sami bez nich spór rozstrzygnąć — odparł zimno Maczug. Położenie jest nadzwyczaj jasne: państwo żyjecie w zaścianku swego świata, więc uważacie za skandal to, co dla nas, ludzi nowych, jest wypadkiem normalnym.

— Boże, co się dzieje! — westchnął Jacek, wniósłszy ręce i oczy do góry.

— A no dzieje się, jak na okólniku za oborą — mruknął Polikarp.

— Tobie się zdaje — rzekł Cyryak do Firmi-
ny — że zrobiliście coś bardzo oryginalnego. Tym-

czasem już nawet nie widać tej fali, z którą odpływały takie starzyzny do przeszłości.

— Masz słuszość chłopaczk, odcięła siostra — za to twój zagajniczek pod nosem należy do odległej przyszłości.

Jacek, trzęsąc się, wstał od stołu. Ospat zbliżył się do Maczuga.

— Lubię ogromnie takie subiekty, jak pan, bo to zawsze duża pociecha dla bydłęcia, gdy pomyśli, że są inne i gorsze.

— Tak rzadko przestaję z bydłętami — odparł Maczug — że pana nie rozumiem.

— W takim razie dłaczego pan staro-nowozakonny się gniewa?

Firmina ujęła Maczuga pod rękę.

— Chodźcie do mojego pokoju...

— To nie do uwierzenia — targał się po ich wyjściu Jacek — na co ja patrzeć i pozwolić muszę! W moim domu, w moich oczach, jakiś wędrowny Mosiek jest „prawie mężem“ mojej córki i zamyka się z nią w osobnym pokoju!

— Tatusiu — wtrąciła Jolanta — oni chyba żartują.

— Z takich żartów — wrzasnął Jacek — rodzą się nieprawie dzieci.

Weszła Eufemia.

— Hyacuniu, za daleko się posuwasz. Idź do gabinetu, jesteś zdenerwowany, prześpij się, to cię uspokoi.

— Cały obiad popsuty — rzekł rozrzuwiony

Jacek — ksiądz mowy nie dokończył, nawet nikt toastu nie wznosił.

— Niech ojciec się położy — radził Polikarp — ja tego kukawika ścisnę za gardło.

— Bez gwałtów, Polikarpie — prosiła Eufemia. — Oszczędź mi przynajmniej zgorszenia, jeśli nie możesz oszczędzić bólu.

— Dziękuję wam, moi kochani — zaskrzeczał Jacek — że mnie pocieszacie w ciężkim cierpieniu. Chociaż ja od pewnego czasu przeczuwałem, że Firmina popełni jakieś szaleństwo. Towarzyszka... towarzysz... Niech pioruny zatrzasną takie towarzysztwo! Eufemio, spróbuj uratować zbłąkaną owieczkę. Ona tak dobrej matki usłucha.

Chwiejnym krokiem wyszedł.

II.

Pani Eufemia zaprosiła Ospata do swego pokoju.

— Ja bym także położył się dla trawienia — rzekł on, siadając w fotelu.

— Nie można.

— Wiem, wiem, że niedozwolone miłości muszą mieć, jak orzechy, grubą i twardą łupinę. Chociaż po co to? Świat ma mocne zęby, zawsze je zgryzie. Głupia obłuda!

— Dlaczego mówisz tak głośno?

— Naprzód dlatego, ażeby wytechnąć nadmiar podłego wina a powtóre, ażeby twój mąż usłyszał.

— Co?! Jasiu!

— Tak! Z dwojga jedno: on albo niczego się nie domyśla — i wtedy jest beżmiernie głupi, albo udając niedomyślnego, drwi sobie z nas obojga. W obu wypadkach irytuje mnie. Chcę mu krzyknąć w ucho: czy wiesz, żeś rogacz?

— Nienawidzisz i pragniesz ukarać męża za to, że mu zabrałeś żonę? To nawet dla takiego paradoksy, jak ty, pretensya zbyt zuchwała.

— Wszelkie kradzieże okupuje się zwrotem

ich przedmiotu. Więc mogę mu każdej chwili cię oddać.

— I będziesz zupełnie pokwitowany?

— Co jeszcze będę dłużny? Pieniądze, które mi dawałaś? Czy ty myślisz, że to była zapłata za romans z tobą? To były honoraria za niezliczone rady prawne, za procesy, za które nie daje mi ani grosza. Ponieważ jest skąpy, ta forma wynagrodzenia jest dla niego łagodniejsza, bo mojej ręki nie czuje w swojej kieszeni, a twojej się nie domyśla. Należy mi się przytem od niego osobne wynagrodzenie za brud, którym się mażę, broniąc jego pakudnych spraw. Ja błoto moralne uważam za naturalny produkt życia, ale brzydzę się błotem poświęcanem, idealizowanem, ogłaszanem za najczystsza krynicę, w którym kąpią się komedyanci.

— Co tobie się stało?

— Gdybym cię interesował nie tylko w dolnej połowie, ale i w górnej, nie pytałabyś, co mi się stało. Osądziłabyś po pierwsze, że jestem adwokatem, to znaczy zegarmistrzem słuszności i żonglerem artykułów kodeksu; powtóre, że nie cierpię aktorów, którzy udają ludzi rzeczywistych; potrzenie, że pragnę być otwarcie złym i bezwstydny, ażeby mnie nie brano za naiwnego obłudnika i tak zwanego przez was porządnego człowieka. Ten gust ma swoją poważną przyczynę. Dopóki społeczeństwo tak jest uorganizowane, że w niem swobodnie poruszać się może tylko łotr, obowiązkiem każdego rozumnego obywatela jest być łotrem. Jest ono jedną

wielką świnia, a my jej prosiętami. Bo co to są nerwy i mięśnie tego potwornego organizmu? Ucisk, wyzysk, rozbój i kłamstwo. Ja tego wszystkiego, jako adwokat, bronię, dawniej z odrazą a dziś z przyjemnością. Bo zaprowadzać innego ładu w gromadzie szubrawców nie myślę. Nie jestem reformatorem, odnowicielem, jestem nicponiem, jak wszyscy moi spółobywatele z tą tylko różnicą, że wiem o tem i przyznaję się do tego. Twój mąż sam się uważa i jest uważany za porządnego człowieka, a jednakże jest to hultaj, wart szubienicy. Nie może on pokonać w sobie chciwości i darować pięciorublowego czynszu z dzierżawy kawałka pola biedakom, którzy w całej swej garderobie nie mieli zbytecznego łachmana dla zrobienia stracha na ptaki.

— On o tem nie wiedział.

— Najdokładniej. Pytał mnie o radę...

— Jaką mu dałeś?

— Zaskarżyć do sądu, uzyskać wyrok i bez miłosierdzia wykonać.

— Ach, jakże jesteś dziki?!

— Ja jestem pełnomocnikiem sprawiedliwości, która każe obdzierać najbiedniejszych dłużników dla najbogatszych wierzycieli. A co do twego jelonka — to on dlatego tylko pyta mnie o radę, ażeby na mnie zważyć odpowiedzialność za swoje szelmostwa. Człowiek z zewnątrz może czasem pachnąć, a wewnątrz zawsze cuchnie. Duszydzka Hycunia zaś jest szczególnie wonna i tylko taki pro-sektor, jak ja, może wachać ją bez zatkania nosa.

— Co za szatańska teoria! Byłeś zawsze pesymistą, ale nie tak zjadliwym potwarcą natury ludzkiej. Z tobą coś zaszło... Ty nie byłeś takim, kiedy cię zaczęłam kochać.

— Nie wiem, o jakiej dacie myślisz, bo ty nigdy nie zaczynałaś mnie kochać.

— Myślę o tej chwili, kiedy ci się oddałam.

— Jakież to miało związek z miłością? Podo-
bałam ci się, jak tysiąc innych, a jednemu — może
zresztą niejednemu — z tego tysiąca uległam.

— Marny z ciebie brutal! Chcąc zerwać z ko-
bietą, którą uwiodłeś, nie możesz zdobyć się na nic
lepszego, niż na bezczelność zwykłego łobuza.

— Jeśli cię obraża moje przypuszczenie, że nie
tylko mnie darzyłaś swoją powolnością, to ją odwo-
łuję, ale zarazem wyznaję, że byłaś bardzo nieroz-
zumna, a nadewszystko — niepraktyczna.

— Ty jesteś pijany! Odejź... wytrzeźw się!
Nie mogę dłużej słuchać tych zniewag... Boże, czy
ja zasłużyłam na takie sponiewieranie kilkoletnią
miłością i ofiarą...

— Ofiarą! Ha, ha, ha! Nikt tak nie potrafi wy-
dobyć śmieszności z dramatu, jak bezmyślna baba.
Ja w jej objęciach doznawałam rozkoszy, a ona
w moich — cierpienia! Ofiara! Ha, ha, ha!

Eufemia zaszlochała gwałtownie.

— W chwili, kiedy zdaje się, że serca, uniesio-
ne nad padoł, łączą się w wiecznem spojeniu, spada
grom z pogodnego nieba.

— Jakież to pyszny obrazek! Serca uniesione

nad padoł... w wiecznem spojeniu... Umrzeć ze
śmiechu.

— Idź pan precz, natychmiast, na zawszel...

— Ani ja nie pójdę, ani pani sobie tego nie
życzysz. Jest to zwyczajny wykrzyknik, bez które-
go żadna kobieta nie może ani począć, ani porodzić.
Uspokój się jękliwa synogarlico i przestań mnie nu-
dzić swoją mdłą deklamacją, wygłaszaną zmysło-
wemi wargami.

Drygałowa zerwała się z krzesła. Mokra od
łez jej twarz skurczyła się gniewem, rozpaczą i sta-
nowczością, usta drżały od cisnących się na nie słów,
ręce miotaly się w bezładnych ruchach. Krzyknęła:

— Nie kłam, to niepotrzebne! Po za brutal-
stwami, zniewagami i szyderstwem kryjesz jakiś za-
miar, do którego nie masz odwagi wyrażnie się
przyznać, chociaż nią się przechwalasz. Powiedz
przeto, bez wybiegów, czego chcesz?

— Ożenić się z twoją córką Jolantą.

— Pan oszalałeś! Przecie ona mogłaby być...
a może nawet jest twoją córką!

— Właśnie dlatego. Chcę zobaczyć, jak sma-
kuje taka świnina, którą porządni ludzie często spo-
żywają, ale się nie przyznają...

Eufemia opasała dłońmi głowę i usiadła niema,
złamana.

Weszła służąca.

— Pan doktor...

Eufemia wzdrygnęła się, otarła twarz i za-
pytała:

— Kto taki? A, pan doktor, ja obudzę pana.
Obudziła go pocałunkiem.

Jacek otworzył oczy, spojrzał na żonę z filuternym uśmiechem i ujął ją za rękę.

— Pamiętasz, Femciu... przed 25 laty... kiedyśmy zostali sami...

— Pamiętam — odpowiedziała machinalnie. — Doktor przyszedł.

Jacek ziewnął, przeciągnął się, powstał, objął żonę w pól, przycisnął do siebie i szepnął:

— Musimy przygotować sobie dziś wspomnienie na złote wesele — dobrze?

— Dobrze.

Oboje weszli do salonu.

Łowski był małym, łysym człowieczkiem z mnóstwem czerwonych pagórków na okrągłej, rzadko obrosłej twarzy.

Przymrużone, małe oczki uśmiechały się nałogowo i nieszczerze.

— Przyjmijcie państwo serdeczne życzenia.

— Dziękujemy — mówił Jacek — i wzajemnie winszujemy...

— Czego?

— Karetki. Praktyka rośnie.

— O, tak, niespodziewanie. Nie mogłem nadążyć, musiałem pudełko i konika kupić.

— Widziałem onegdaj to cacko, i kłaniałem się, ale doktor nie zauważył, bo był zaczytany.

— W domu nie mam chwili wolnej nawet na przejrzenie „Kuryera“, nie mówiąc o pismach lekarskich. Straszna orka!

— Ale czy jeden numer gazety wystarczy doktorowi na cały dzień?

— Właściwie nie wystarczy. W zaufaniu powiem, że nieraz czytam po dwa i trzy razy, bo poważny i wzięty lekarz musi okazywać, że nie ma na to czasu po za przejazdem na wizyty. Może to komuś wydać się śmiesznym, ale trudno, *mundus vult decipi, ergo*.

— Ładnie brzmi, a jak to się tłumaczy?

— Świat chce być oszukiwanym...

— O, tak, święta prawda, ludzi rzetelnych jest bardzo mało. *Mundus vult decipi, ergo*. Śliczne wyrzeczenie... Wczoraj musiałem bronić doktora.

— Przed kim, czy przed czym?

— Kuzynka państwa Krupnickich strasznie pomstowała, że doktor odmówił im pomocy.

— Ależ, kochany panie, ja nie jestem w stanie rozmnożyć się, a co najważniejsza — tam leczy kto inny.

— Nie mogli go znaleźć — wtrąciła Eufemia, która siedziała milcząca — a pani Krupnicka ciągle mdlała.

— Gdyby nawet umierała, bardzo bym ubolewał, ale bym jej nie ratował, a żeby nie wchodzić w drogę koledze.

— Mówiąc między nami, byłaby to stracona fatyga, bo oni biedacy zapominają o wszelkich zobowiązaniach.

— Mnie się udało nie obciążyć ich pamięci —

rzekł doktor wesoło. — Niech się tam żydzi z nimi męczą.

— Gdyby tylko żydzi! — westchnął Jacek. — Wpadło dużo naszych.

— Może i pan?

— Odrobinkę. Byłem ostrożny...

Wszedł Andrzej Waza-Krupnicki, zbankrutowany obywatel ziemski, dość otyły, kiedyś przystojny, nieco rubaszny, zewnętrzną serdecznością osłaniający wewnętrzną odrazę do obecnych. Trzymał się jeszcze swej odłużonej Przylepy, ale go już wierzyście od niej odlepiali, co mu nie przeszkadzało przynajmniej raz na miesiąc przyjeżdżać z żoną do Warszawy, gdzie on kupował niekupione konie, a ona sprawiała niesprawione toalety. Złożwszy życzenia Drygałom, zwrócił się do Łowskiego:

— Dlaczego doktor nie był łaskaw przyjść wczoraj do mojej żony? A wie pan, ona omal nie umarła?

— Bardzo mi przykro było, ale etyka nie pozwoliła. Panią leczy inny.

— Ale tego innego nie było.

— To rzeczy nie zmienia.

— Nie zmienia? Więc jeśli ordynującego lekarza nie można znaleźć, to drugi, bez obrażenia waszej szczególnej moralności, nie powinien ratować chorego nawet od śmierci! Niechże tak będzie, skoro się panom Eskulapom podobało. Ale nie pojmuję, dlaczego ten dziki ceremoniał nazywa się ety-

ką? Czy z równą słuszością nie możnaby go nazwać scholastyką lub fonetyką?

— Wolna wola, szanowny panie. My pozostaniemy przy starej, a pan niech wybierze inną... Zgodził...

— Mniejsza o złe, które szczęśliwie minęło, ale na przyszłość zapowiadam, że gdyby przez odmowę jakiegokolwiek etycznego konsyliarza ktoś mi umarł, nie dam winowajcy odmówić pacierza i palnę mu w łeb, bo taka jest moja etyka.

— Zanim mię to spotka, muszę spieszyć do chorych, którzy nie strzelają.

Podał rękę i wybiegł.

— Jakże tam na wsi? — zapytał Jacek.

— Nieźle, brak mi tylko trochę benzyny i dlatego nie mogę jechać tak szybko, jakbym chciał. Gdyby moi a życzliwi napełnili trochę rezerwoarek, popędziłbym i wkrótce dług z wdzięcznością zwrócił.

— O mój jeszcze się nie upominam, to jest zapewne ulgą dla pana — odbił Jacek przebiegle zamach.

— Czy takiemu Krezusowi, jak pan, wypada wspominać o takiej drobnostce? Ot, dobrodzieju, dodajcie do tej drobnostki tyle, ażeby warto było o czym pamiętać.

— Nil desperandum, kochany panie. Mam ja czterech nienasyconych i niewypłacalnych dłużników, moje dzieci, które mi wszystko zabierają, nic nie oddadzą i nawet nie powiedzą: Bóg ci zapłaci, stary. Obecnie przybywa mi zwiększony wy-

datek, bo jedna z córek zapewne uda się pod opiekę świętego Hymena.

— Miły kłopot. Czy przynajmniej państwo z wyboru zięcia zadowoleni?

— Owszem, dobry chłopak, sympatyczny, ze świetną przyszłością, ale to jeszcze tajemnica.

— Dobrze im będzie, bo państwo nauczyliście swoje dzieci skromności. Rzadka to dziś cnota! Wszyscy nieopatrznie nad stan spychamy się w przepaść. Nawet chłop, zawsze skąpy i trudno wynoszący się na wyższy poziom, ma zachcianki pańskie. Wyobraźcie państwo sobie, że mam we wsi nędzarza małorolnego, który w przeszłym roku urządził dla swych dzieci choinkę. Nie mając drzewka, osadził w stołku odłamana gałąź sosnową, na której zapalił jedną łożówkę, zawiesił pudełko od szuwaksu i kapslę od butelki z koniakiem. No chyba panie Drygał nie dopuścisz, ażeby Waza-Krupnicki urządzał swym dzieciom takie choinki. Nie wiele mi potrzeba — 700 rb., z dawnym długiem będzie okragły tysiączek.

— Nie mogę, nie mogę...

— Powiedz pan szczerze: nie chcę, nie chcę, chociaż mam dużo rozporządzalnej gotówki. Tak przynajmniej twierdzi Srul.

— Co za Srul? — zapytał Jacek, dobrze udając niedomyślnego.

— Paskidnik, faktor pański.

— Znam istotnie żyda tego nazwiska, ale on wcale nie jest moim faktorem, a nadewszystko nie zagląda do mojej kieszeni.

— Zresztą o tem wszyscy wiedzą bez Srula. Krótko mówiąc: nie wierzysz mi pan i zapaliłeś również świeczkę na mój pogrzeb. Waza-Krupnicki, którego ród, jak potężny dąb, przez trzysta lat oparł się wszystkim burzom; Waza-Krupnicki, którego przodkowie dodawali blasku narodowi a gdy krzyknęli, ich głos rozlegał się od brzegu do brzegu kraju; Waza-Krupnicki, któremu bogate trzosa jeszcze przed 10 laty otwierały się na wyścigi z prośbą, ażeby raczył z nich zaczerpnąć i nieraz poprzestałyby na odbiorze długu samym zaszczytem pożyczki — ten pan jest dziś wobec nich parszywym psem, którego wyniszczyły i zabijają żydowskie liszaje.

Eufemia, która ciągle śledziła uchem ruchy w sąsiednim pokoju, usłyszawszy, że Ospat wyszedł, opuściła salon, zwłaszcza, że rozmowa zaczęła przybierać zbyt drażniący charakter.

— Zresztą nietylko mnie strącają w przepaść: spada w nią cała warstwa narodu, która go stworzyła, broniła, bogaciła i oświecała. Z drogi karmazyny, bo jedzie pan Srul Paskidnik biedką a pan Hilary Skoczek — powozem! Trudno, trzeba ustąpić i zginać! Ha, zobaczymy jak ta nowa szlachta nas zastąpi. Powodzenia, panie Drygał, powodzenia, a jeśli pan będzie potrzebował okazałego furmana, to proszę o mnie pamiętać. Sługa pański.

Ukloniwszy się nisko, wyszedł dumny i wyprostowany, jak w polonezie.

Jacek nie wiedział, co ma czuć: radość, że nie dał się wciągnąć w bezzwrotną pożyczkę, czy smu-

tek, że został potraktowany urągliwie. Pragnął on wznieść się na wyższy stopień społeczny i dotąd nie mógł znaleźć szczebli. Waza-Krupnicki jak gdyby go kopnął i zepchnął jeszcze niżej a tymczasem mógł go swą przyjaźnią podciągnąć. Za dużo wymagał! Tysiąc rubli! Gdyby był poprzestał na 300! Eh, zresztą bankrut—bez znaczenia i wpływu...

Tem Jacek uspokoił się.

Wieczorem państwo Drygałowie byli w teatrze. Po powrocie on bardzo długo pisał listy a ona, nie śpiąc, również długo wzdychała.

Po tryumfie przy obiedzie srebrno-weselnym nabrał Jacek jeszcze większej chęci do wystąpień krasomówczych. Nie wątpił, że gdy wyteży swój talent w tym kierunku, złamie Maczuga, wykaże mu jego niecnotę, upokorzy i zmusi do religijnego ślubu z Firminą. Prawie z rozkoszą wyobrażał sobie, jak ten winowajca będzie się wił pod chłostą jego surowej nagany, jak będzie prosił o wspaniałomyślne przebaczenie. Ale wśród tych rojeń, pieszczących jego miłość własną, przelatywała natrętna myśl, że ów skruszony Maczug ma bardzo ostry i obrotny język, że jest zuchwały, napastniczy i brutalny, że więc może w walce słownej stawić bardzo energiczny opór. To też pomimo że Jacek wierzył w swoją siłę a, rozmyślając nad starciem, przygotował sobie cały pęk piorunów, uznał, że nie zaszkodzi urządzić z członków rodziny radę wojenną i wysłuchać ich opinii. Zresztą wymagała tego również przyzwoitość względem kochanej żony i dorosłych dzieci.

Stawili się wszyscy o naznaczonej godzinie, naturalnie, oprócz Firminy. Jacek zagaił sesję mową:

— Coś się popsuło w państwie duńskim—jak mówi mędrzec. Moi drodzy, nie będę pokazywał wam wielkiej rany, jaka rozwarła się w sercach naszych, nie będę mierzył tej głębokiej przepaści, nad którą stanęła nasza córka a wasza siostra. *Lasciate ogni speranza*. Sprawcą naszego bólu i jej nieszczęścia jest człowiek przeklętej rasy, ohydnej religii, wróg naszego narodu i naszego Boga, przybłęda i wichrzyciel. Chociaż mam stałe postanowienie, radbym poznać wasz pogląd na tę sprawę, bo przecież ona i was obchodzi. *Be ornotto be*. Wypowiedzcie się szczerze.

— Według mnie — odezwała się Eufemia — należy unikać kłótni i rozgłosu. Trzeba przemówić serdecznie do ich uczuć.

— To byłby najlepszy sposób — burknął Polikarp — poprawienia im humoru. Firmina nie była nigdy czuła, a obecnie jeszcze bardziej stwardniała w rękach tego żydka. Mojem zdaniem należy ją pominąć i tylko jemu dobrze skrócić kędzierzawy łepiek.

— Na litość, bez awantur, mój Polikarpiu! — zawołała Eufemia.—Nic nie zyskamy, a dostaniemy się na złe języki. Firmina wyniosła z domu najszlachetniejsze zadatki, on jest podobno idealistą...

— Ha, ha, ha — zaśmiał się Polikarp — on jest takim idealistą, jak ja telegrafistą. Pokazać mu mocną pięść, to będzie dla niego argument.

— Ty za dużo ufasz pięści — przerwała Jolanta. — Gdybyś mnie poprosił, uścisnął, pocałował, to jabym pozwoliła ci poskubać się na włókienka; ale gdybyś na mnie krzyknął, tobym rozpałała szpilkę od kapelusza i przebiła cię.

— Cicho bądź, dzieciaku! — skarcił ją łagodnie Polikarp.

— Kiedyż ja przestanę być dzieciakiem? — spierała się z zaognioną twarzą Jolanta, potrząsając bujną, jasną grzywą rozluźnionych włosów. Mam lat 16, Firmina jest odemnie starsza tylko o parę lat: jej wolno sprawić sobie męża przed ślubem a mnie nie wolno pogrozić niegrzecznej łapie? Moi kochani państwo, powiedzcie mi, gdzie ona poznała swego Kulfona? Nigdy przedtem o nim nie słyszeliśmy.

— Poznała go w Paryżu — odrzekła Eufemia. — Dopiero wczoraj przyjechał, a ona go zaprosiła na obiad.

— Miała też co sobie sprowadzać z zagranicy! — zaśmiała się Jolanta. — Taki specyał mogła była znaleźć na miejscu.

— A co ty sądzisz, Cyryaku? — zapytał Jacek młodszego syna.

— Przyznam się ojcu, że mnie ten rodzinno-chrześcijańsko-żydowski - radykalny bigosik mdli. Zwyczajna kombinacja samca z samicą. Ani ta para nie zdobyła się na nic nowego, ani my.

— Co tu długo rozprawiać — zawołał Jacek. — Autos da fel! Skoro zbałamucił dziewczynę, niech ją poślubi z błogosławieństwem kapłańskim,

w kościele, uczciwie, przyzwocie i basta! Ale posagu nie dam, co najwyżej małą zapomogę.

— Słusznie! — rzekł Polikarp. — Przecie ojciec w rozdziale majątku musi zachować różnicę między dziećmi czystymi a skażonemi.

— Ach, ty samolubie! — zawołała Jolanta i uderzyła brata po ramieniu.

Służąca zawiadomiła.

— Przyszedł ten pan, co wczoraj był na obiedzie.

— Usuńcie się. Proś!

Jacek zupełnie zapomniał wszystkie frazesy, które sobie ułożył dla zbiczowania Maczuga i zamiast przywitać go, jak postanowił, zimno i wzgardliwie, podał mu rękę. Odrazu też uczył, że plan mu się zepsuł.

— Poprosiłem pana — rzekł, siląc się na ton suchy — dla wyjaśnienia tej niespodzianki, która spadła wczoraj na nas gromem. Niech mi pan powie zupełnie szczerze, jaki stosunek łączy pana z moją córką?

— Niepotrzebnie pan zastrzega dla siebie szczerść, bo ja przed nikim nie kryję, że Firmina jest moją faktyczną żoną.

— Czy pan w głębi swego sumienia nie uczuwa z tego powodu robaka, który je toczy wyrzutem?

— Dajże mi pan raz spokój z takimi robakami. Już panu powiedziałem i dziś jeszcze powtarzam, że my w naszym stosunku widzimy coś tak naturalnego, jak zjedzenie obiadu.

— Chciałbym uwierzyć własnym uszom: według pana uwiedzenie cnotliwej dziewczyny, równa się zjedzeniu obiadu?

— Przedewszystkiem tu niema żadnego uwiedzenia. Pańska córka doskonale wiedziała, co to jest mężczyzna, czego od kobiety żąda i na co ona w związku z nim musi się zdecydować. Doskonale wiedziała, że gdy razem spędzimy noc, nie będziemy łapali robaczków świętojańskich i słuchali słowików nawet w zimie. A czy może ja ją oszukałem? Czy skłamałem przed nią, że jestem królewiczem z bajki? Czy obiecywałem formalnie ją poślubić? Objasniłem ją najwyraźniej, że jestem przeciwnikiem małżeństwa religijnego, że nigdy przed żadnym ołtarzem i w żadnej bożnicy nie przysięgałbym kobiecie dożgonnej wierności; że mojego żydowskiego wyznania nie zmienię na inne już dlatego, że przez to stwierdziłbym, iż jakiegokolwiek uznaję za lepsze lub wogóle dobre. Wszystko to przedstawiłem Firminie jasno, otwarcie, zanim połączyliśmy się bez księdza, pastora, rabina i mera.

— Sama otwartość względem mojej córki — rzekł kaznodziejskim tonem Jacek — nie rozgrzesza pana z winy. Naród określa każdemu ze swych członków pewne normy życia, których łamać nie pozwala pod groźbą hańby; wszczepia on w nas pewne pojęcia i zasady, które..

— Proszę nie kończyć — przerwał Maczug — bo ja wiem, co pan chce powiedzieć. Otóż, naprzód winieniem zaznaczyć, że nie uznaję narodów i nie

zaliczam się do członków żadnego. Nie jestem ani polakiem, ani francuzem, ani niemcem, lecz obywatelem świata. Powtóre, pojęcia i zasady, które jakiegokolwiek gromada burżuazyjna ustaliła jako reguły postępowania, nic a nic mnie nie obchodzą, jeżeli nie są zgodne z mojem przekonaniem. Gdybym miał je szanować, to musiałbym nie tylko dopełnić wszystkich formalności religijnych i prawnych związku małżeńskiego, ale również nie powstawać i nie burzyć władzy, własności, wyzysku pracy najemnej, spadków, militarizmu i innych pierwiastków próchna walącej się budy, zwanej społeczeństwem nowoczesnem... Chociażby to było dla pana bardzo nie miłe, niech pan widzi we mnie tylko socyalistę, który prawie wszystkiego tego nienawidzi i tem gardzi, co pan czcisz i pragnąłbyś zachować.

— Więc pan dla mnie, dla nas, dla rodziny kobiety, którą wybrałeś, nie masz nawet sympatyj?

— Sympatyj? Ha, ha, ha! Jak panu trudno pojąć ludzi po za swym gatunkiem! Ja was, a zwłaszcza pana uważam za największego zbrodniarza, którego pragnąłbym zniszczyć, zrujnować, doprowadzić do ostatniej nędzy. Jeżeli pan się łudzi, że kiedyś będziesz miał we mnie przywiązanego zięcia, to rozstań się z tą nadzieją: ja będę zawsze nieprzejednanym wrogiem Jacka Drygała, kapitalisty i fabrykanta, ssacza krwi robotniczej.

Te wyznania nietylko Jacka oburzały, ale prze-rażały. W głowie czuł on zamęt, w uczuciach ból i protest przeciwko znieważaniu rzeczy najświęt-

szych. Kolejno ogarniała go niemoc lub zgroza, domagająca się natychmiastowego wyładowania.

— Dosyć, panie socyalisto, niech pan wyjdzie, bo ja gotów jestem coś zrobić, czego później będę żałował.

— Niech się pan nie oburza — odparł spokojnie Maczug — ja panu zapomnieć się nie pozwolę...

Jeżeli poprzednie słowa były ogłuszającym obuchem, to te ostatnią kroplą, która przepełniła miarę.

Jacek powstał, jak wysadzony sprężyną i krzyknął:

— Ty, przybłędo, na coś mi nie pozwoliś!? Precz stąd, precz bez słowa, bo łeb rozbiję!

I chwycił kandelabr z biurka.

Maczug zbladł i zrozumiał, że miał przed sobą człowieka w szale, zdolnego wykonać pogrózkę. Złakł się.

— Niepotrzebnie pan się unosi, bo ja nie chciałem pana obrażać jako Jacka Drygała, lecz jako typ społeczny, z którym walczymy. Co zaś do córki pańskiej, to na usprawiedliwienie moje przytoczę jeszcze jedną okoliczność, którą dotąd tailem: nazwisko Maczug jest przybrane dla celów konspiracyjnych. Rzeczywiście nazywam się inaczej... Wiadomo panu, że pod pseudonimem ślubu wziąć nie można.

Jacek, uderzony tą nową niespodzianką, zamilkł, utkwiał zdumiony wzrok w Maczuga i rzekł ze spazmatycznym śmiechem:

— Więc moja córka nie wie, jak się nazywa jej prawie mąż, ja nie wiem, jak się nazywa mój prawie zięć, a mój wnuk nie będzie wiedział, jak się nazywa jego prawie ojciec? Ha, ha, ha! To piramidalne! Ha, ha, ha!

Wstrząsany nerwowym śmiechem, usiadł.

— Ja ci tak zagram głupi burżuju, że przestasz się śmiać i zapłaczesz — szepnął Maczug i wyszedł.

Silne wrażenia, których Jacek obecnie doznawał po raz pierwszy, wyczerpywały szybko jego energię nerwową.

Po odejściu Maczuga zapadł w ciężką zadumę, z której go przebudziła żona.

— Jakże wypadła konferencja z Maczugiem?

— To nie konferencja, ale intryga maskaradowa. Ten pan romansuje incognito — to wygodniej. On nie nazywa się wcale Maczug, ale nie chce powiedzieć jak. Oświadczył mi, że jestem zbrodniarz, że mnie nienawidzi i będzie starał się zrujnować. Do was wszystkich czuje również odrazę.

— Za co?

— Za to, że on jest socyalistą, a my burżujami. Słuchałem dość cierpliwie wymysłów tego psubrata, ale w końcu niewiele brakło, a byłbym go trzepnął kandelabrem.

— Ach, jak to dobrze, żeś się pohamował... To byłoby okropne!...

— Gdybyś ty go była słuchała, jestem przekonany, że cisnęłabyś w niego kałamarzem, przyciskiem, krzesłem!..

— Na czymże stało?

— Będą robili, co im się podoba, kpiąc sobie z naszego niezadowolenia.

— Musimy tę karę boską przyjąć z poddaniem się—rzekła Eufemia poważnie. — Ażeby jednak coś podobnego nie spotkało nas znowu, powinniśmy, dopóki czas, zabezpieczyć naszą drugą córkę. Jolanta jest dziewczynką miłą, wesołą, złym poszeptom niedostępną, ale nie wiadomo, jakie pokusy jej się uczepią i czy ona, niezahartowana, zdoła im się oprzeć. Dlatego sędzę, że byłoby bardzo dobrem oddać ją do klasztoru Sercanek w Belgii na dokończenie edukacji. Co o tem myślisz?

-- Doskonały pomysł.

— Przewiduję, że z Firminą i Maczugiem będą jeszcze zatargi, które nie mogą dobrze oddziaływać na Jolantę. Już nawet dostrzegłam pewne ślady złego na nią wpływu tej nieszczęsnej sprawy. Jeżeli zaś mamy ją wysłać, to trzeba jaknajprędzej.

— Ale czy ona nie sprzeciwi się?

— Jolanta? Gdybyś jej zaproponował, ażeby pojechała aeroplanem do księżycy, zgodziłaby się bez namysłu. Życie w tej dziewczynie kipi warem. Nieraz bardzo się o nią boję...

— Odwieź ją, chociażby jutro.

— Ojciec miał już rozprawę z Maczugiem — rzekł, wchodząc, Polikarp. — No, i cóż, byłbym się zapewne przydał do wyrzucenia go za drzwi?

— Sam się wyniósł, ale to kanalia do opatentowania!

— Rozmówię się zaraz z Jolantą — wtrąciła Eufemia i wyszła.

— Na podwórzu fabryki spotkałem go, rozmawiającego z robotnikiem, który jest znany jako podżegacz. Szwagierek coś knuje...

— Buntuje głupców.

— Ojciec nie da sobie z nim rady. Tu potrzeba mocniejszej ręki. Niech mnie ojciec weźmie do spółki w fabryce, powierzy mi główny zarząd, a ja z żydkami potańczę.

— Może to istotnie będzie najlepsze wyjście. Masz słuszość: ja zedrę się zupełnie w walce z tym gałganem, zwłaszcza że za nim stoi moje dziecko... Zmienię firmę na „Jacek Drygał i Syn“. Jutro roześlę okólnik. Coraz lepiej interesy idą—uważasz?

— Mam nadzieję je rozszerzyć. Warto poprawiać!

Polikarpowi ta praca uśmiechała się z wielu względów. Naprzód, jako ofiara niesprawiedliwości nauczycieli, którzy mu obrzydzili naukę już w trzeciej klasie i zmusili do opuszczenia szkoły, zyskiwał on zajęcie, którego dotąd nie miał i do którego jedynie był zdolny — dyrektorstwo nie wymaga żadnej specjalnej wiedzy i zdolności. Dotychczas przyczepiał się luźnie do rozmaitych czynności ojca nie utrwalając swego stanowiska w żadnym. Nieprzerwanym ciągiem, z zamiłowaniem i talentem uprawiał tylko rozmaite sporty: był doskonałym strzelcem, łyżwiarzem, lawn-tennistą, gimnastykiem, uwodzicielem, a chociaż na tych polach odniósł

liczne tryumfy i zdobył zaszczytne znaczkę, jednakże w 24 roku nie wiedział jeszcze, czem będzie ostatecznie. Znaczną ulgą w tym kłopotcie i ułatwieniem rozwiązania zagadki była pewność, że ojciec zostawi mu po śmierci dużą deskę ratunku. Drugiej pobudki do następczenia się jako spółnik firmowy i zarządu dostarczył mu nagły rozrost fabryki, która wytwarzając przedmioty pokupne a swem przeznaczeniem nieponętne, była prawie bez spółzawodnictwa i zyskiwała coraz więcej obstalunków. Polikarp, który umiał dobrze grać i mierzyć do celu, przypuszczał możliwość wyłącznego zawładnięcia nią bez zmniejszenia swego udziału w spadku. Jątrzące się zaś ciągle stosunki z robotnikami wcale go nie odstraszały, przeciwnie, podniecały. Wierzący w siłę fizyczną i lubiący jej używać, bezwrażliwy w odczuciach, bezwzględny w postępowaniu, śmiały a jednocześnie podstępny w walce, chętnie wchodził na stanowisko, które mu zapowiadało nieustanne i ostre starcia. On ich pożądał, bo znajdował w nich przyjemne wrażenia, bo wierzył, że wyjdzie z nich zwycięsko.

Wypadek z siostrą mniej go smucił, niż pobudzał do namysłu nad wyciągnięciem zeń ostatniej korzyści. Rozgniewany ojciec mógł córce zmniejszyć posag, a nawet ją zupełnie wydziedziczyć. Byłby to niewątpliwy zysk.

Jacek Drygał, chociaż zgorszony kompromitacją córki i obrażony zuchwałością Maczuga, ostudził się dość prędko. Wogóle był to człowiek, po-

siadający szczęśliwą płytkość sadzawki i nieznający nieszczęśliwej głębi morza. Cokolwiek dobrego lub złego wpadło w jego duszę, nie spoczywało w niej na otchłanem dnie długo, lecz zatrzymywało się pod wierzchem lub na wierzchu i zsuwało się lub spływało z niej szybko. Dzięki tej nieocenionej właściwości mógł on być zdrow, kochać żonę i liczne przyjaciółki, zjednywać sobie ludzi, cieszyć się ich szacunkiem, wierzyć w swoje słowa, przeciwstawiać im swoje czyny i robić majątek.

— Zapomnijmy już o kłopotach — rzekł Polikarp — i zagrajmy w pikietę.

— Ozłocić cię chłopcze za tę radę! Gloria in excelsis Deo... jak śpiewa ksiądz między gospodynią a kawą, Znasz anegdotę o duszy?

— Nie.

— Przyszedł młody chłopak ze swą narzeczoną dać na zapowiedzi. Proboszcz, chcąc ich przeegzaminować z katechizmu, zapytał jego: „A powiedz mi, co to jest dusza? — „Kobieta — odrzekł chłopiec — białą odziana, chociaż z gęby to nie dojrzałem“. „Gdzieżeś ty ją widział? — Przechodziłem raz w nocy koło plebanii, okno się otworzyło, wyskoczyła przez nie biała kobieta, jegomość ją poklepał po ramieniu i powiedział:

— A przyjdź jutro moja duszo“.

Obaj uśmieśli się serdecznie. Przy grze umilkli. Skupili uwagę, ażeby wzajemnie podpatrywać karty i oszukiwać się. Tylko od czasu do czasu syn lub ojciec mówił:

— W klubach tak nie wolno.

Ostatecznie Jacek przegrał, co mu się zdarzało za każdym razem, bo syn miał lepsze oczy i zręczniejsze palce.

— Niech żyje mój rodzony papa, Jacek, a jak mama mówi — Hyacynt Drygał — wołała rozradowana, poprzedzając matkę, Jolanta, która rzuciła się ojcu na szyję i zaczęła go gwałtownie ścisnąć.

— Udusisz mnie! — bronił się Jacek.

— Takiego rodzica warto mieć, on godzien takiej córki, jak urocza Jolanta. Niech się tatuś nic a nic o mnie nie boi, do klasztoru nie wstąpię. Przeciwnie, ja nawet mu wpuszczę trochę wesołości. Gdy przyjadę, udam skromniutką, niewinniutką i głupiutką, a jeżeli zakonnice będą czyste, pucnę je w łapy. Ale zaraz nazajutrz rozpocznę przygotowywać śmiech. Niepodobna, ażeby na najsurowszej pensyi nie było kilku uczenic, którym dokucza rygor i które chciałyby wyrzucić w świat. Ja je prędko poznam i po cichu im powiem: — Nie dajmy sobie zatkać uszu, zamknąć ust i oczu. Myśleć o Bogu przez godzinę wystarczy Jemu i nam,...

— Jolanto, co ty pleciesz! — upomniała matka.

— Mamusiu, to jest szczerza prawda. Czy podobna, ażeby Pan Bóg stworzył nas po to tylko, ażebyśmy umartwiały się i topiły w modłach? Gdyby tego chciał, toby nam nie dał ani serca, ani ładnych sukienek, ani przyjemnych chłopców. Trzymałby nas wszystkich na pustyni, spuszczał codzień mannę, przepiórki i kilka chorób, nie troszcząc się wcale

o nasz humor. Nie próbujcie państwo mnie inaczej przekonać, bo ja o tem wszystkiem dużo myślałam, a nawet zapytywałam samego Boga...

— Ona bredzi! — wtrącił Polikarp.

— Życzę ci, ażebyś zawsze był tak przytomny, jak ja w tej chwili. Niedawno, przed paru miesiącami, obudziłam się nagle w nocy, jak gdyby mnie ktoś zawołał. Księżyc świecił tak jasno, że mogłam odróżnić każdy sprzęt w pokoju. W kącie naprzeciw mego łóżka jasność zaczęła jeszcze bardziej się zwiększać, wreszcie spostrzegłam postać błyszczącą, przezroczystą, która na mnie patrzyła dwiema gwiazdami. Domyśliłam się, że to był Pan Bóg, którego nieraz zapraszałam, ażeby mnie odwiedził. Zadałam mu dużo pytań — nie powiem jakich — a na wszystkie skinął głową, dając mi znak, że się ze mną zgadza.

— Mam nadzieję — zauważył Jacek — że cię z tych boskich wizyt w klasztorze wyleczą.

Wbiegła służąca, bardzo spłoszona i podała bilet.

— Hrabia.

Jacek, przeczytawszy kartę, wyszedł pośpiesznie do przedpokoju, wprowadził z ukłonem młodego eleganta i przedstawił:

— Hrabia Rzecznicki.

— Przychodzę do szanownej pani w imieniu mojej chorej matki — rzekł przybyły do Eufemii, przywitawszy się ze wszystkimi — Nie mogąc osobiście, zanosি ona przeze mnie pokorną prośbę, ażeby

pani pozwoliła swojemu pięknemu kwiatkowi — tu zwrócił się ku Jolancie — sprzedawać nasz kwiatek na korzyść przytułku św. Korduli.

— Jakież okoliczności — zapytała zdziwiona Eufemia — zawdzięcza córka moja zwrócenie na siebie uwagi pani hrabiny?

— Przed paru tygodniami panna Jolanta ofiarowała nam, idącym ulicą Marszałkowską, dobroczynny kwiatek. Wtedy matka moja powiedziała do mnie: trzeba się dowiedzieć, kto jest ta panienka; ja ją zaproszę do naszej kwesty, bo tak ślicznej i miłej dziewczeczce nikt nie odmówi. Oto, dlaczego tu jestem i czekam łaskawej odpowiedzi.

Twarz Jolanty stała się wielkim korałem.

— Jak myślisz Femciu? — odezwał się Jacek — mnie się zdaje, że niema przeszkody.

— Kiedy odbędzie się sprzedaż kwiatka? — zapytała Eufemia.

— W przyszłą niedzielę.

— Za kilka dni mamy wyjechać za granicę.

— Czy to termin niewzruszony? — badał Rzeczniczkę.

— Przynajmniej postanowiony — wyjaśniła Eufemia.

— Jeżeli tylko można go odsunąć — niech panie robią czyn miłosierny. Jesteśmy przekonani, że panna Jolanta będzie naszą złotą żyłką. Za to ją pobłogosławi święta Kordula, patronka obłubienic (improvizował).

— No, odłóżcie podróż — namawiał Jacek —

skoro pani hrabina tak bardzo tego sobie życzy i pan hrabia tak grzecznie prosi.

— A ty jak sądzisz, Jolanciu? — zapytała matka.

— Zostaniemy — odpowiedziała dziewczyna wesoło, zapanowawszy już nad wzruszeniem.

— Ach, jakże będziemy pani wdzięczni! — mówił hrabia. — Niech pani posunie dobroć jeszcze dalej i umożliwi mojej matce osobiste porozumienie się. Jak byłoby dla pani najwygodniej?

— Prostu pójdę do hrabiny.

— Gdyby pani była łaskawa zrobić to zaraz, to karetka czeka na panią przed domem, a gdybym nie był zbyt natrętnym, prosiłbym o pozwolenie towarzyszenia.

— I owszem — rzekła Jolanta — będzie mi przyjemniej. Samej jechać w obcej karecie, do obcego domu i obcej osoby — niemiło. A pana już trochę znam.

— Dziękuję... Za godzinę odstawię szanownym państwu ich klejnot. Tymczasem składam od matki i siebie wyrazy głębokiego uszanowania.

Jolanta włożyła na głowę zgrabny kapelusik i roześmiana wyszła z Rzeczniczką.

— I kto się spodziewał tyle śmiałości po tej smarkatce! — rzekł Jacek. Z hrabiami tak sobie swobodnie postępuje, jak ze zwykłymi śmiertelnikami. Zuch dziewczyna! Prześlicznie wyglądała...

— To nagle rozmówienie się hrabiny w Jolancie, przysłanie syna, jego z nią jazda — wszystko to niebardzo mi się podoba — zauważyła Eufemia.

— Moja droga — tłumaczył mąż — ludzie z takim stanowiskiem mają prawo wymagać od nas ustępstw i usług. A ci zachowali się po prostu wytwornie i nie urazili naszej godności. Czy można było mówić uprzejmiej, nawet powiem — z większym uszanowaniem, niż młody Rzecznicki? Jolanta widocznie podobała mu się nadzwyczajnie... Kto wie! Książęta i królowie schodzą niżej po żony, dla czegoż by nie miał tego uczynić hrabia? Alboż to nasza córeczka tego nie warta?

— To się zdarza — rzekł milczący dotąd Polikarp — ale daleko częściej zdarza się, że ładne dziewczyny służą panom do krótkiej zabawki.

— Rodzina Rzecznickich świeci w arystokracji czystością obyczajów — dowodził Jacek. — Gdyby wszakże ten panicz poważył się... Nie życzę mu!

— Ja nadewszystko nie życzę Jolancie — zaśmiał się Polikarp. — Chociaż, jeśli mam być szczerym, gdybym był hrabią i nawinęła mi się piękna dziewczyna, poprosiłbym ją o wszystko, nie prosząc o rękę.

— Obrzydliwiec jesteś — oburzyła się matka.

— My wszyscy jesteśmy tacy, moja mamo, tylko nie wszyscy się do tego przyznajemy.

— To niepodobna!

— Ach, to jest tak prawdziwe, jak moje zęby w moich dziąsłach. Matki, wychowujące synów, powinny lepiej znać naturę mężką, która jest zupełnie odmienna od kobiecej. Wtedy nie popełniałyby błędów i nie zmuszałyby do obłudy. Mamie z pe-

wnością zdaje się, że my z Cyryakiem dotąd, jak panielki, czujemy zaledwie słabutkie pragnienia miłosne lub nie czujemy ich wcale, że panujemy nad swemi namiętnościami, jak św. Antoni. Tymczasem my od 12 roku życia, lub może wcześniej, ścigamy dziewczyny i otwarcie lub podstępnie bierzemy od nich całą rozkosz, jakiej nam dostarczyć mogą. Takie jest nasze i ich przeznaczenie. Surowe kobiety są głęboko przekonane, że ich cnota wy-daje czarującą woń, która przejmuje mężczyznę czcią i zachwytem. Dziecinne złudzenie! Na mnie — a niewątpliwie i na innych — tego rodzaju kobiety działają jak potwory i kaleki, nie tylko dlatego, że są zwykle stare lub brzydkie, ale również dlatego, że owa sławiona ich cnota wyziewa odrażający odór. Niech mama wierzy mężczyźnie, że on nie ukradnie, nie oszuka, nie zabije, nie pozostanie obojętnym na cudze cierpienia i nędzę, ale niech mama mu nigdy nie wierzy, że opuści sposobność skorzystania z po-nętnej kobiety.

— Dwie rzeczy są bardzo przykre i wstrętne w tem twojem wyznaniu — rzekła Eufemia — naprzód, że to mówisz, a potwóre, że to mówisz matce. Rady zaś twojej nie posłucham i nie przestanę wierzyć, że są mężczyźni, którzy uszanują w kobiecie człowieka, chociażbym nigdy takiego nie spotkała.

— Co innego rzeczywistość a co innego majaki. Jeśli mamie jest to potrzebne dla przyjemności lub wygody, niech mama wierzy, że i na ziemi są anioły rodzaju męskiego. No, ojczu, odważnie, kto z nas widzi prawdę?

— Matka...

— Ha, ha, ha. Papa stchórzył!

— Troszkę racyi ty masz, ale...

— Aha, rozumiem! Gdy mama odejdzie i drzwi za sobą zamknie, będę miał całą rację.

— Wychodzę — rzekła Eufemia z urazą — ażebyście mogli pomówić z sobą dusza do duszy

— Po co ty matkę drażnisz? — wyrzucał synowi Jacek. — Masz zupełną słusność, ale żadna kobieta na nią się nie zgodzi. One muszą być okłamywane nawet wtedy, kiedy o tem wiedzą. Każda woli usłyszeć: ja tylko ciebie jedną kocham, kochałem i kochać będę, chociaż zna wszystkie twoje przeszłe i obecne kochanki. Taka ich natura. Nie darmo wieszcz wyrzekł: *La donna e mobile*.

— Czy ojciec wiele razy przeniewierzył się matce?

— Przekonasz się na sobie, że takie grzechy tylko Bóg za nas zdoła policzyć.

— A teraz ma ojciec jeszcze kochanki?

— No, mój drogi, wystarczy mi ksiądz; przed tobą spowiadać się nie będę, zwłaszcza że mógłbyś mnie wysadzić z siodła.

— Tak skromny nie jestem, ażebym poprzestawał na przyjaciółkach papy. O jednej domowej wiem, ale tę ojciec odziedziczył po mnie. Nie wejdziemy sobie w drogę, dla obu nas nie zbraknie. Bardziej interesuje mnie co innego: czy ojciec, wygłaszając kazanie moralne, wierzy w swoje słowa?

— Najzupełniej.

— Więc dlaczego ojciec według nich nie postępuje?

— Bo jestem istotą słabą, ułomną. Każdy człowiek składa się z dwóch ludzi: jeden, który czyni a drugi, który mówi. Skutkiem tego każdy może grzeszyć albo pojedynczo — czynem, albo podwójnie czynem i słowem. Tylko święci nie grzeszą nawet pojedynczo. Zwyczajni śmiertelnicy na to zdobyć się nie mogą: jedni grzeszą pojedynczo — tych Bóg każe a świat usprawiedliwia, a drudzy grzeszą podwójnie — tym ani Bóg, ani świat nie przebacza. To są właśnie ludzie podli, przekłęci w każdym społeczeństwie, bo nie tylko sami źle czynią, ale jeszcze innych do tego zachęcają. Słusznie w kościele nas uczą: nie patrz na to, co ksiądz robi, ale na to, co mówi. Pomimo że on żyje z gospodynią, pomimo że jest chciwy, przewrotny, niesprawiedliwy, jeżeli z ambony nakłania do cnoty, pozostaje czcigodnym kapłanem. Otóż i ja, mój synku, grzeszyłem, ale przysięgam na zbawienie duszy mojej, że zawsze tylko pojedynczo.

— A czy niema ludzi, którzyby grzeszyli pojedynczo, ale tylko słowem?

— Może są, ale nie rozumiem, jaką przyjemność mógłby mieć taki głupiec z samego języka.

— Ktoregoż ojciec uważałby za gorszego?

— Naturalnie tego, który grzeszy tylko słowem. Bo naprzód, niema on na swoje usprawiedliwienie rozkoszy, jaką daje czyn zakazany; powtóre, zniepra-

wia innych ludzi. Wogóle zaś jest to wstrętny dureń, i społeczeństwo okazuje wielki rozum, karząc surowiej niemoralne gadanie, niż niemoralne postęпки.

— A jak mama patrzy na tę sprawę.

— O ile jest człowiekiem — zgodnie ze mną, o ile jest kobietą — wymaga bezwzględnej moralności, na której kobiety więcej korzystają, niż mężczyźni.

— Dziękuję papie za tę lekcję etyki praktycznej. Przyda mi się ona, bo jakkolwiek mało dotąd pracowałem, rzecz dziwna, nie miałem czasu myśleć o kwestyach ogólnych. Mojego mózgu ta pajęczyna się nie czepia.

— Za to ja, synku, dużo i głęboko myślałem o najtrudniejszych zagadnieniach. *Historia est magistra vitae*. Niejedną noc przefilozofowałem bezsennie; zebrałem sobie bogaty skarbik prawd niewzruszonych, na doświadczeniu własnem opartych. Mogę wam dać nieomylną radę w każdym położeniu.

Służąca przyniosła i podała list. Jacek nałożył okulary i otworzył kopertę.

— List od Cyryaka?! — zawołał, spojrzawszy na pismo.

— Także przysmaczek! Posłuchaj: „Kochany papo! Wczoraj w nocy, o godzinie mi niewiadomej i w miejscu niewiadomem, zbyt mocno nasiąkły niewiadomym nektarem, zrobiłem coś niewiadome-

go, za co mi stójkowy ofiarował gościnny nocleg w cyrku, gdzie dotąd przebywam, napawając się nowem przeżyciem. Ponieważ mam tych świeżych wrażeń dosyć i pragnąłbym wrócić do dawnych a skutkiem jakiejś niejasności w moich wczorajszych odpowiedziach moi gospodarze nie chcą się ze mną rozstać, przeto proszę nieoszacowanego Paponą, ażeby coprędzej przybył i uwolnił mnie lub wykradł z tej niezwykłej stacyi w pielgrzymce życia. Głodny i brudny a skutkiem tego niemający przywiązania synowskiego — Cyryak“.

— Trudno — rzekł Polikarp — musi ojciec pójść i tego prosiaka wydobyć.

Zdradzimy tajemnice myśli starszego brata, gdy pozostał sam. W ciągu dnia nasunęło mu się tyle i tak ważnych, że musiał je uporządkować i związać. Roił tak:

— Firmina zagręźnie w takie błoto ze swoim żydkiem, że zrazi sobie zupełnie ojca, który ją albo wydziedziczy albo skąpo obdarzy. Cyryak skacze również na łeb w przepaść, w której prędko kark skręci. Jolanta pozostanie ciągle dzieckiem naiwnem, dobrem i lekkomyślnem. Prawdopodobnie zatem będę generalnym spadkobiercą mojego papy, który niech żyje jak najdłużej, bo majątku nie uszczupli, ale przysporzy. Jeżeli zaś cokolwiek uroni, to na moją korzyść. Wolniutko i ostrożniutko postaram się go w fabryce zredukować, zrobić ułamkiem koła mnie — całości. Nietrudno to będzie, bo Jacuś, dzięki

spóźnionym napadom młodości, szybko się starzeje i głupieje.

Dalszy ciąg myśli przerwała mu swem wejściem Kasia.

- Jakże tam starszy pan się sprawuje?
- A panu co do tego?
- Z ciekawości.

III.

— Czy nie możnaby jakoś poprawić naszego obrzydliwego nazwiska? — spytał Cyryak, leżąc w gabinecie na szezłagu i puszczając kółka z papierosa.

— Poprawić? — odparł Jacek. — Jak to ty rozumiesz?

— Rozumiem tak, że ja dłużej nie chcę i nie mogę nazywać się Drygał.

— Czy tobie się zdaje, że nazwisko można tak zmienić jak kapelusz? Ono jest utrwalone w metrykach, wszelkich aktach, paszportach, meldunkach, nie mówiąc o pamięci ludzkiej. Czy ty zamierzasz ze wszystkich dokumentów wyskrobać je i inne wpisać.

— Bynajmniej. Niech sobie pozostanie do końca świata w tych dokumentach, tylko niech zginie w ustach ludzkich. Ojciec wie, że śmieszność zabija największą siłę. Ja przez ten przeklęty wyraz nie mogę niczego dokonać. Żebym powiedział najwspanialszą mowę, gdy tylko ktoś krzyknie: Drygał! — natychmiast przepada najwspanialszy efekt.

— Ja tego nigdy nie doświadczałem...

— Gdzie ojciec miał doświadczyć? W przemówieniach do innych Drygałów i Drygałat? W stosunkach z pospółstwem roboczym i handlującym? W takim świecie można się przezwąć jeszcze gorzej.

— Każde nazwisko opromienia się świetnymi czynami, Żaba, Komar, Bóbr — to arystokracja! Czy Kościuszkę tak pięknie brzmi?

— Wszystko to jeszcze nie Drygał. Wątpię, ażeby którykolwiek z naszych przodków był tak głupi i sam sobie wybrał zawołanie, które byłoby niedorzeczne dla psa. Zapewne mu je nadał jakiś złośliwiec. Ale stało się. Naszym obowiązkiem jest tę obrzydliwość unicestwić lub przerobić. Mój przyjaciel, Stefan Bałwan, podpisuje się St. von Balvin; my musimy dokonać podobnej zmiany. Jak się nazywała matka ojca?

— Piszcząca.

— Masz tobie! On Drygał a ona Piszcząca. Gwałtu, co za garniturek! Czy w rodzinie ojca nie ma jakiegoś ludzkiego nazwiska?

— Moja babka była z domu Dmuchalska.

— Na nic! A prababka?

— Zaraz sobie przypomnę... A! Buła!

— Także śliczne słóweczko! Ale przynajmniej można z niego coś wykręcić. A więc zrobimy tak: Jacka won! Na jego miejsce Hyacynt. Drygał zaś po lekkim sfrancuzieniu z kawałkiem prababki brzmieć będzie: Boule de Regal. Odtąd więc ojciec nazywać się będzie: Hiacynthe Boule de Regal. Proszę dobrze zapamiętać.

— Ale ja będę tak się nazywał tylko w kręgu rodzinnym, wśród dobrych znajomych i przyjaciół!

— I publicznie!

— Jakto? Mam się wyprzeć moich podpisów urzędowych, rzec się sum 'na hipotekach, a może wreszcie dostać się do kozy? Nie, mój drogi, tego byłoby za wiele!

— Przedewszystkiem każe sobie ojciec zrobić nowe bilety wizytowe z poprawionem nazwiskiem.

— Zastanów się! Nikt mnie z nich nie pozna... Cyryak zamyślił się.

— Pomogłoby nam to ogromnie — rzekł — gdyby dla kogoś z naszej rodziny potrzeba było nekrologu. Tam odrazu zmienilibyśmy Drygała.

— Może chcesz, ażeby ja umarł?

— No, nie, ale gdyby się tak zdarzyło... Tymczasem ja od dziś stale używać będę nowego nazwiska. Wkrótce wszyscy uwierzą, że pochodzimy od jakiegoś starego rodu francuskiego.

— I nie omylę się. Początek naszej rodziny ginie w pomroce wieków. Bo chociaż nie posiadamy dowodów piśmiennych, nie ulega żadnej wątpliwości, że każda para moich przodków miała rodziców i że ten łańcuch pokoleń sięga do Adama i Ewy. Włóczę się zaś po ziemi od stworzenia świata, z pewnością zawadziliśmy i o Francję. Dobrze pomyślałeś, chłopcze, z tą przemianą — tylko nie urzędownie, bo to niemożliwe. Kto wie, czy twoje dzieci nie będą już Rogalami!

— De Regall!

— Przepraszam, jeszcze się nie przyzwyczaiłem. W hipotecę chyba tylko za bardzo grubą łapówką dałoby się przekształcić Drygała na Regala.

— O tem potem. Teraz dla uczczenia przechrztu da mi ojciec trochę groszy.

— Ach, gdyby to były grosze! To są setki rubli, które przelatują ci przez ręce, jak woda przez sito.

— Daruj ojcie, lecz od czasu jak istnieją pieniądze, nikt nie wynalazł dla nich innego użytku, tylko wydawanie.

— Ale rozumne, umiarkowane. Ty mi po prostu zrobiłeś wielką dziurę w kieszeni.

— Cierpliwości życiodawco, niedługo się to skończy. Otwieram biuro, u nas całkiem nieznane, a w Anglii bardzo popularne.

— Co takiego?

— Bez konkurencyi! Nowe ubezpieczenia: od niepogody, od bliźniąt, od uszkodzenia jakiegoś członka i tym podobne.

— Nie rozumiem.

— Zaraz to ojcu wytłomaczę. Pewna grupa ludzi planuje wycieczkę, do której zrobiono kosztowne przygotowania. Oznaczonego dnia leje deszcz. Cały wydatek przepadł. Jeśli się ubezpieczono — zostaje odzyskany. Albo też człowiek skromnych środków ma w swej rodzinie częste pojawianie się bliźniąt, które dla niego byłyby kłę-

ską. Ubezpiecza się od nich a gdy mu się urodzą, otrzymuje premię. Ktoś inny gra na gitarze, do czego niezbędny mu jest duży palec prawej ręki. Gdyby go stracił, nie tylko straciłby źródło zadowoleń artystycznych, ale środek utrzymania. Więc go ubezpiecza.

— Nie przeczę, że to może mieć powodzenie w Anglii, gdzie ludzie przywykli ubezpieczać się od wszelkich złych zrządzeń losu. Ale u nas...

— Zawsze ta sama śpiewka: gdzieindziej to dobre, ale u nas. Jak gdybyśmy stworzeni byli z podlejszego materiału, niezdolnego do wyższej kultury i skazanego na wieczną niższość.

— Zresztą nie odmawiam. Wy, młodzi, dalej widzicie... Więc próbuj, niech ci Bóg dopomoże.

— Ojcie, trzeba już raz odzwyczaić się od powoływania Boga do wszystkich posług. Jest to nie tylko brzydki nałóg, ale bezbożne bluźnierstwo.

— Ja jestem bluźniercą?

— Jednym z najnieprzyzwoitszych. Wysłał ojciec kogoś w podróż: „niech Bóg p r o w a d z i“; życzy komuś powodzenia w najordynarniejszym geszefcie: „niech Bóg p o m o ż e“; chce kogoś wynagrodzić za usługę: „Bóg z a p ł a ć“. A im gorszą rzecz zamierza ojciec zrobić, tem skwapliwiej zaśłania się wolą boską. Czy to Bóg jest przewodnikiem, wyręczycielem, kasyerem, współnikiem interesów ojca?

— To nie obraza dla Opatrzności, ale cześć.

Gdyby to miało zbyć zniewagą, ty również ubliżałbyś mi ciągle, mówiąc: niech ojciec to robi, niech ojciec pomoże, niech ojciec zapłaci...

— Ojciec jest istotą znacznie mniej dostojną, niż Bóg. Ojciec jest rzeczywiście przewodnikiem i kasyerem swych dzieci.

— Zwłaszcza kasyerem.

— Naturalnie, bo to jest czynność najważniejsza. Bez niej ojcowie straciliby poprostu rację bytu i nie wiem, na co byliby potrzebni. Gdybym nie przypuszczał, że na moje przedsiębiorstwo dostanę pieniędzy, czy ja bym z ojcem o niem rozmawiał?

— Jesteś impertynent, ale przebaczam ci ze względu na to, że cię Bóg stworzył niepodobnym do innych ludzi.

— Znowu Bóg... Ojciec mówi zupełnie jak św. Józef.

— Jaki jest potrzebny kapitał zakładowy dla projektowanego biura ubezpieczeń?

— Pomówimy kiedyindziej. Muszę teraz iść do krawca i zgotować mu piekło: zrobił mi spodnie bez zawinięcia u dołu.

— Wytlómacz mi, na co właściwie jest to zawinięcie? Czy nie byłoby prościej zrobić spodnie krótsze?

— Takie jest ostatnie życzenie świata, najświeższy ideał w spodniach. Jutro może się odwinie. A p r o p o s. Chociaż kolację mama każała przygotować, będę jednak miał wydatki z powodu dzisiejszej sesji naszego Towarzystwa. Więc

proszę do przyrzeczonych poprzednio 50 rb. dodać jeszcze 10.

— Kiedy przyrzeczonych?

— Przed chwilą... Czy mam powtarzać naszą rozmowę? Należy mi się od papy 60 rb. z natychmiastową egzekucją.

Jacek westchnął i otworzył kasę.

— — — — —
Zanim ujrzymy młodego bohatera z łaską marszałkowską, przypatrzmy mu się bliżej.

Cyryak Drygał miał nadzwyczajną organizację umysłu: cokolwiek obaczył lub usłyszał, przybierało w jego wyobraźni natychmiast znamiona starości i odsuwało się w daleką przeszłość. Jeżeli np. spostrzegł nowowytbudowaną kamienicę, zmieniała się ona w jego oczach na przedwieczny zabytek pierwotnych ludzi. Jeżeli dowiedział się o jakiejś nowej prawdzie, zanim ją należycie pojął, stawiała się dla niego płytkim komunałem. Był on doskonałą ilustracją teorii Bergsona o „rozwoju twórczym“, nie znał teraźniejszości, trwania w niezmiennym stanie, poruszał się po wąskiej granicy pomiędzy przeszłością a przyszłością. Dla tego również codzień urozmaicał swoje ubranie jakimś niezwykłym drobiazgiem i odmiennie się cesał. W tych pomysłach był niewyczerpany.

Naturalnie, duch tak plastyczny, tak niestężały, prawie płynny, nieznający nawet najprostszych momentów spokoju, drażniony ustawicznie widokiem powszechnego starzenia się, musiał wyrazić się w ja-

kimś tworze społecznym. Dzięki też jego inicjatywie i staraniom powstało „Towarzystwo ostatniego krzyku“ (du dernier cri), którego celem miało być—jak głosiła przysięga: „niezmordowane dążenie w wielkich skokach naprzód, wynajdywanie coraz nowych form życia, odkrywanie coraz nowych prawd i uczuć, słowem przerabianie rzeczywistości jednostajnej na urozmaiconą“. Ponieważ pierwszych członków nie przesiewano żadnem balotowaniem i przyjmowano wszystkich bez wyboru, więc zebrała się z początku gromadka tak różnorodna, jaka np. otacza kołem leżącego na ulicy konia. Powoli wszakże różnice wyrównały się i pozostał zastęp o tyle przynajmniej jednolity, że wszyscy członkowie usiłowali „dążyć w wielkich skokach naprzód“ i jak najjaskrawiej odbijać się od swego tła społecznego.

Ażeby Towarzystwo nie skostniało, nie dano mu ani ustawy, ani stałej siedziby. Musiało codziennie rodzić się i codziennie gdzieindziej. Zbierano się w rozmaitych miejscach, najczęściej cukierniach, na ważniejsze zaś narady, wymagające spokoju i dyskrecyi, u prezesa, Cyryaka Drygała. Inni członkowie nie mogli u siebie pomieścić więcej, niż jedną osobę siedzącą, i zwykle tę przestrzeń oddawali przyjaciółkom, „gwizdzącym na wszystko“.

Jacek Drygał nie był zachwycony Towarzystwem, którego zresztą wcale nie rozumiał, ale miał słabość do przedsięwzięcia, któremu przewodniczył jego syn, uznany przezeń za geniusza. Bez

oporu też ustępował na zebrania pokój stołowy, wybrany przez apostołów „ostatniego krzyku“ ze względu na obecność kredensu, z którego przezorny gospodarz głównejsze artykuły spożywcze usuwał, ale zawsze coś z nich pozostawił. Dzisiejsze zebranie zapowiadało się tem ciekawiej, że jeden z uczestników obiecał przyprowadzić wuja, litwina, jakiego nikt jeszcze nie widział.

Zaczęli się schodzić o 10-ej wieczorem, gdyż godną dla obrad wydała im się ta pora, w której — jak mówili — „wszelkie bydle śpi, a wszelki drapieżnik czuwa“. Zaznaczyć jednak należy, że od czasu do czasu, dla złamania jednostajności, przenosili swe zebrania na godzinyienne.

Byli to młodzieńcy rozmaitego wieku i wyglądu. Przeważali dwudziestoletni, a także sztucznie poukładane włosy, wściekle kolorowe krawaty i czarne peleryny. Jeden z nich pozostał w kapeluszu na głowie, gdyż wywinął sobie róna w bezprzykładowie fantastyczny sposób, które chciał pokazać.

Na stole postawiono beczulkę czarnej kawy i filiżanki. Ta beczulka, będąca jedyną własnością Towarzystwa i na każde zebranie przemalowywana inaczej, miała napis: „Świat jest grzybem: przez dziś rośnie, a przez jutro robaczywieje“.

Z początku rozmowa snuła się.

— Nie umiem wyrazić—mówił ktoś w jednej—jak mnie drażni i oburza trąbka Pogotowia ratunkowego. Ciągłe ten mdło-żałosny sygnał, ciągle ci

szaro ubrani sportowcy w karetkach samochodowych i konnych, ciągle ta doraźna pomoc, polegająca na zaklejeniu bandażem rany, pod którą cierpią przedziurawione lub spalone wnętrzości.

— Więc według was należałoby znieść Pogotowie?

— Niech sobie istnieje taka buda, ale niech urozmiać swe wyprawy, niech je stosuje do okoliczności, niech trąbka ogłasza ogółowi istotę wypadku, a nadewszystko niech się nie wtrąca do samobójców. Brutalne wpompowywanie mleka w nieszczęśliwca dla wydobycia z niego trucizny, którą zażył z tragicznym gestem, jest obrazą majestatu śmierci. Motłoch widzi w tych pędzących po mieście Samarytanach Pogotowia świętych Franciszków z Asyżu; tymczasem są to lekarzyki bez klienteli, lubiący jazdę kawalerską; powiększywszy nieco szybkość swych automobilów, będą mieli zapewnioną praktykę w leczeniu ludzi, których sami przejechali na ulicy.

— Panowie—zawołał Cyryak—nie rozpraszajmy się na gawędki kółkowe, w których nieraz giną cenne myśli. Rozpocznijmy dyskusję prawidłową. Proszę zająć miejsca.

— Drygał ma słuszość. Siadajmy! — odezwały się głosy.

— Przedewszystkiem mała poprawka: od dziś niema Drygała. Dzięki patryotycznej słabostce moich przodków spolszczono nasze francuskie nazwisko rodowe. Otóż ja, wolny od wszelkich małost-

kowości, przywracam mu naprzód prywatnie, a potem urzędownie — pierwotne brzmienie i odtąd nazywać się będę, zamiast Drygał, Boule de Regal.

— Wskrzeszasz przeszłość, z którą walczysz — zawołał ktoś z obecnych.

— Przeciwnie, rodzę się dziś zupełnie nowy. Zresztą o tej osobistej sprawie dosyć. Otwieram obrady.

Ale gwar nie ustawał.

— To zależy od punktu widzenia — krzyczał jakiś młodzieniec, prowadząc dalej sprzeczkę. — Co z jednego stanowiska wydaje się szpetnem i głupiem, to z drugiego — pięknem i mądrym. Idealny cylinder według francuzów powinien mieć osiem błysków, nie mniej i nie więcej. Mnich, okrywający głowę kapturem, nazwie to bezmyślną śmiesznością, a esteta — — wytwornym gustem.

— Panowie — krzyczał Cyryak — uspokójcie się!

— Wymyślano tyle nedorzeczných kultów — kończył ktoś wywód w innym gronie — a pominie to może najważniejszy — cześć dla zapalki. Czy wyobrażacie sobie coś dobroczynniejszego, bardziej zasłużonego nad to drewnienko? Pomyślcie: ogarnia was wokoło bezbrzeżna, nieprzenikniona ciemność, nie możecie się ruszyć, nie wiecie, co począć — i oto potarta zapalka rozświeca wam otchłań nocy i przynosi ratunek.

— Panowie, po raz ostatni wzywam was do porządku — wrzeszczał prezes — bo zamknę sesję!

Wreszcie wrzawa umilkła.

— Przedewszystkiem musimy załatwić wnio-
ski, nadesłane do zarządu. Pierwszy, bezimienny
żąda utworzenia w naszym Towarzystwie osobnej
sekcji pod nazwą *tuberozyzm*. Autor tak ją uza-
sadnia. Jednym z najciekawszych a najmniej zna-
nych jest świat woni. Zwierzęta zdobywają prze-
ważnie swoją wiedzę za pośrednictwem węchu.
Tylko człowiek zaniedbał i pozbawił wrażliwości
swoją nos. Chodzi więc o to, ażeby nosowi ludz-
kiemu przywrócić jego czułość, rozszerzając tym
sposobem granice nie tylko naszych przyjemności,
ale i poznania. Ponieważ zaś *tuberoza* jest kwia-
tem najsilniejszego zapachu, więc należałoby jej
imieniem ochrzcić nową sekcję.

Posypały się rozmaite propozycje, dotyczące
nazwy: jedni zalecali *piżmowizm*, inni *paczulizm*,
inni *gardenizm*, inni *różyzm*, *jaśminizm* i t. d.

— Co właściwie ta sekcja ma robić?

Wnioskodawca nie przewidział tego pytania,
bo nie dał na nie odpowiedzi.

Obecni nie byli do niej obowiązani, więc przy-
jąwszy projekt w zasadzie, jego urzeczywistnienie
odłożyli na później.

— Drugi wniosek zbiorowy—mówił Cyryak—
domaga się od nas propagandy za zniesieniem
w szkole mundurów, stopni, egzaminów i wykła-
dów systematycznych. Zwłaszcza dwa ostatnie
punkty powierzone są naszym szczególnym stara-
niom.

— Proszę o głos!

— Kolega Jan, syn Maryi.

Tu zaznaczyć należy, że członkowie Towa-
rzystwa nie używali między sobą nazwisk, gdyż
uważali to za przeżytek, często zupełnie fałszujący
pochodzenie człowieka, który nie będąc synem swe-
go nominalnego ojca, nosił jego nazwisko. Tytuło-
wali się imieniem swoim i matki.

— Rzeczywiście czas już — przemówił Jan,
syn Maryi — znieść tę wstrętą barbarzyńską tor-
turę, jaką są egzaminy. Jest to zuchwałe wdzie-
ranie się w najgłębsze tajniki duszy ludzkiej, wy-
dobywanie z niej słabości i wystawianie ich na urą-
gowisko. Nikt nie ma prawa otwierać gwałtem
wnętrza człowieka, które powinno być wiecznie
zamknięte dla wszystkich i dostępne tylko dla nie-
go samego. Co najwyżej wolno go przeświecać
z zewnątrz promieniami pedagogicznej rentgeniza-
cji. Egzaminowanie, zwłaszcza osobników do tego
męczeństwa nieprzygotowanych — to zawieszenie
prawa *habeas animam*, jeszcze świętszego niż
habeas corpus. Co się tyczy wykładów syste-
matycznych, są to również łoża Prokrustesa. Dzięki
im żaden umysł nie może rozwinąć się swobodnie
według swej natury, lecz musi wcisnąć się w szab-
lon, nieraz w szablon tysiącioletni, wynaleziony
dla czasów i ludzi zupełnie odmiennych. Okru-
cieństwo nie wymyśli straszniejszych kajdan, niż
wszelki system, szczelnie zbite ramy, martwa, sztyw-
na prawidłowość, która zmusza, ażeby po *A* ko-

niecznie następowało *B* i nie może pojąć, ażeby *A* następowało po *B*.

— W tym przekładzie dostrzegam przebłysk genialnej myśli—zawołał Stefan, syn Cecylji.—Rzeczywiście, dlaczego znalogowana ludzkość od paru tysięcy lat utrzymuje stałą kolej liter w alfabecie? Czy którakolwiek z nich straci swe znaczenie, jeżeli nie będzie zajmowała tego samego miejsca? Ponieważ zaś na alfabecie opiera się cała literatura, więc gdy on złamie swój odwieczny szyk i ona musi się przekształcić.

Buchnęła bezładna wrzawa, w której wirowały rozmaite zdania, a między innemi znalazło się, zresztą zupełnie odosobnione i takie, że alfabet nie jest podstawą literatury.

Długo prezes dzwonił i krzychał bez skutku; wreszcie udało mu się zredukować hałas do półgłośnych rozmów.

— Kolega Wacław, syn Balbiny, chce przedstawić świeżą, bardzo głęboką teorię estetyczną.

— Wiadomo panom—rzekł młodzieniec z włosami długimi do połowy pleców — że z malarstwa ostatecznie wygnano sens. Dawne, tak zwane motywy literackie są już w niem dziś anachronizmami, którymi nie pokala się żaden przyzwoity artysta. Można namalować udo konia, korzeń drzewa, ogon wrony — i stworzyć arcydzieło, które nie potrzebuje być koniecznie odtworzeniem jakiegokolwiek całości, lecz może być wyobrażeniem części. Ponieważ poezya jest taką samą sztuką, jak malarstwo, i ponie-

waż słowa są w niej tem, czem tam barwy, z równą przeto racją należy wypędzić sens z poezyi. Ona nie jest źródłem prawd, nie ma za zadanie wyrażać myśli zrozumiałych i obrazów jasnych, dość gdy wywoła nastrój. Prąd elektryczny także nie jest dla nas zrozumiały, a jednakże sprowadza w nas zmiany fizyczne i duchowe. Tak samo poezya. Shakespeare'ów, Goethe'ów, Mickiewiczów powinniśmy już zamknąć w archiwum; przyszłość, a właściwie już nawet teraźniejszość należy do wieszczów tajemniczych. Ład logiczny jest zbyt nudną, nudną i krępującą pedanterią; dość gdy zachowamy — i to nie bezwzględnie — ład geometryczny. Przedewszystkiem zaś—jeśli nie wyłącznie—w poezyi panować ma mrok, co najwyżej — pół światło, nigdy zaś — dokuczliwa jasność. Pozwolę sobie zwrócić uwagę panów na krótki wierszyk, zamieszczony w jednym z tygodników, który myśl moją doskonale uwydatnia:

Stary lew wlaźł pod krzew,
Marszczy brew, słucha mew,
To jest zew jego trzew,
Psia krew!

Tu wcale nie powiedziano, dlaczego lew marszczy brew, dlaczego krzyk mew jest głosem jego wnętrza i dlaczego autor położył na końcu: „psia krew“. Pomimo tych niejasności wierszyk wprawia nas w nastrój lądowo-morski, zwierzęco-ptasi, a ostatnie słowa są jak gdyby rykiem rozgniewanego króla pustyni.

Rozległ się rzęsisty oklask.

— Ja sędzę — odezwał się brunet, uczesany w dwa rogi nad czołem, który odrzucił nawet imię i zwał się człowiekiem — że należy pójść dalej: usunąć z malarstwa i poezji nie tylko sens, ale także farby i wyrazy. Obraz jest kombinacją plam barwnych, które nakładamy za pomocą maści olejnych. Czy nie byłoby piękniej i dla sztuki godniej, gdyby te plamy rzucone były na płótno za pomocą szkieł, odpowiednio łamiących i rozczepiających światło? Artysta dałby tylko formułę ustawienia tych przyrządów, którymi każdy mógłby wywołać pożądany obraz. Toż samo działałoby się z poezją. Zamiast wyrazów z treścią określoną możnaby używać dźwięków nieokreślonych a budzących pożądane uczucia.

— Jest to teoria zbyt śmiała i w wykonaniu technicznym zbyt trudna — zauważył de Regal — ażebyśmy zdołali ją wyczerpać na jednym zebraniu. Najwłaściwiej byłoby dla ocenienia jej wybrać komisję z rzeczownawców.

Komisję z pięciu osób wybrano.

— Wątpię — rzekł członek z włosami rozgarniętymi na twarz, jak dwa przyklepione skrzydła — ażeby poezja mogła się obyć bez wyrazów, ale usunąwszy z niej sens, należy go zastąpić głębią. Niech ona będzie szczytową, bezdenną, przepaścistą, otchłanną, pochłonną, zamroczną, zawrotną, wyziewną, wypróżną, wyrzutną. Myśl jest zawsze płytka i niepewna, uczucie zawsze głębokie i pewne: otóż

poezja powinna wyzuć się z wszelkiej myśli i pograżyć się tylko w uczuciu. Wtedy będzie tonią wszechbytu i wszechniebytu, wszechbólu i wszechradości, wszechpamiętania i wszechzapomnienia, wszechżycia i wszechśmierci. Dla dusz lotnych i chwytnych żadna tajemnica nie jest zagadką, lecz rozumieniem. To też poezja powinna ciągle leżyc na łonie tajemnicy i ssać jej wezbraną pierś.

— Bravo! Bravo! — krzyknięto chóralnie.

— Jeden z głupiutkich francuzów — ciągnął mówca dalej — uważał nowoczesną albo raczej przyszłościową twórczość literatury za psychozę, która według niego „consiste à écrire de soit-disant vers et de la prose sans queue ni tête — czyli po polsku — „polega na pisaniu tak zwanych wierszy i prozy bez głowy i ogona“. Jest to danina spłacana tępotcie umysłowej swego czasu. Wprawdzie posuwa się on ciągle i nie odpoczywa nigdy, ale w pewnych punktach swej drogi przełamuje gwałtownie jej kierunek. Ci, którzy w tem przełamaniu stoją, jego przeszłą i przyszłą linię widzą, nie dziwią się, że tłum, który zawiera w sobie również krótkowzrocznych filozofów, trzyma się konwulsyjnie pierwszej a złorzeczy drugiej. On zawsze naprzód obraża różnych bogów, zanim nauczy się ich czcić.

Powtórzyły się oklaski jeszcze mocniejsze.

— Zdaje mi się — rzekł blondyn, uczesany w dwa stojące rogi — że my, to jest cała ludzkość, słowo, utrwalone na papierze, zubożamy bezpo-

trzebnie, nie uwidoczniając środkami technicznymi jego ważnych odcieni. Przyznaję, że te odcienie są daleko liczniejsze, niż środki techniczne, ale jestem przekonany, że bardzo szczegółowe zróżniczkowanie dałoby się przeprowadzić w dużej skali. Bo czyż to nie jest grubem niedbalstwem, że my, zarówno w druku, jak w piśmie, wszystkie wyrazy oznaczamy jednobarwną farbą i atramentem? Czy to nie jest wprost śmieszne, że wyrazy *r ó w i w ó r* lub *s u m i m u s* składają się z takich samych znaków? Już jeżeli mamy dla całego języka używać tylko 24 głoski, to przynajmniej odróżniamy wyrazy zapomocą kolorów! O ileż silniejsze i rozmaitsze wrażenia sprawiałby wiersz, gdybyśmy: *s t a r y* napisali — naturalnie, potem odpowiednio wydrukowali — atramentem szarym, *l e w* — rdzawym, *w l a z ł* — szarym, *p o d k r z e w* — zielonym i t. d. Nawet dla oka byłaby ta wielobarwność bardzo przyjemna a dla uczucia ogromnie podniecająca.

— Ale i w tym wypadku — rzekł prezes — nastroczyłyby się wielkie trudności praktyczne. Piszący bowiem musiałby mieć mnóstwo kałamarzów i piór, ciągle się zastanawiać, dobierać...

— Rzuciłem tylko ogólny pomysł — odparł wnioskodawca. — Zadaniem techniki jest go wcielić w życie, uczynić wykonalnym. To nie nasz, lecz jej obowiązek.

— Nie przeczę — mówił młodzieniec z ogoloną do cna głową — że przedstawione tu żądania są bardzo doniosłe, ale one dotyczą kwestyi szczegó-

łowych, gdy tymczasem my powinniśmy zająć się ogólnymi. A naprzód zacząć od przewartościowania wszystkich wartości. Powtarzam: wszystkich! Przed żadną się nie cofnąć i żadnej nie ominąć. Częściowo zrobił to już Nietzsche, ale nie ogarnął całego obszaru życia i myśli a przytem dokonał tej pracy tak dawno, że jego wartościowanie trzeba nanowo przewartościować. Ogół ludzki, jak rój pszczoł, wyrabia sobie dla swego życia komórki plastrowe stałej wielkości i formy, w które wtłacza wszelkie zjawiska. Te komórki muszą być co pewien czas niszczone i zastąpione innemi. Obecna wiedza nasza tkwi w tak zwanych prawach przyrodniczych, słusznych i wystarczających dla pewnego czasu, po którym przestają obowiązywać. Nic nie jest wieczne, a dlaczego np. ma być nieśmiertelnym pewnikiem prawo ciężenia lub zachowania energii? Wszystkie te wiekuiste pewniki i niewzruszone prawdy trzeba poddać rewizyi i przestarzałe usunąć a nowe wprowadzić.

— Czy to nie będzie dla nas za trudne? — ktoś wtrącił.

— Bóg świat stworzył tylko wolą, bo przecie materiału żadnego nie miał. Jest to dla człowieka wskazówka, o której nigdy nie powinien zapominać.

— Kolega nie był przy stwarzaniu świata...

— Ciągle i wszechstronne przewartościowywanie wartości jest istotą postępu — mówił niewzruszony tą uwagą reformator, podnosząc coraz wyżej

głos. Niepodobna tego zrobić odrazu, ale trzeba robić ciągle. Miejmy odwagę chcieć, a zdobędziemy się potem na odwagę działać. Czyż mało widzimy wokoło siebie fetyszów, które unicestwimy lekkim dmuchnięciem? Zmieńmy bezceństwa na świętości, a świętości na bezceństwa, generałów na żołnierzy, a żołnierzy na generałów, geniuszów na idiotów, a idiotów na geniuszów. Czy powinniśmy, np. dłużej tolerować obecną hierarchję w literaturze? Oczyszcmy kult społeczeństwa z gipsowych bałwanów, którym kadzielnicami poutrącano nosy i uszy. Wstyd to wielki, ażeby czci używał taki Sienkiewicz, Budda klero-szlachecki, który jak złożył ręce na brzuchu i uśmiechnął się przed 40 laty, tak pozostaje dotąd; ażeby miał znaczenie taki Prus, który wyrabia sandwicze z rozumu, użyteczności i wzniosłości, lub taki Świętochowski, który wisi jak lodowaty sopel u naszej strzechy. Gdybyśmy dotąd zachowali tę samą miarę, jaką stosowano do Mickiewicza, Wyspiański byłby uznany za wyrabiacza tragicznych niedorzeczności; przy nowej — on jest mistrzem, a Mickiewicz miernym strugaczem rymów. A może przypuszczacie, że ogół oprze się temu naszemu przewartościowaniu? Nie lękajcie się! Ogół to tchórz i głupiec; dość na niego krzyknąć albo mu zadekklamować coś niezrozumiałego, natychmiast podsunie wszystkie swoje nosy, ażeby go za nie prowadzić. Umysł prawdziwie wielki powinien być hipnotyzerem tłumu i wmawiać w niego rzeczy najmniej prawdopodobne, ażeby przez to okazać swą siłę.

— Zgadzam się najzupełniej z poprzednim mówcą — rzekł młodzieniec z kołnierzem u koszuli wysokim do połowy uszu — że przewartościowanie jest głównem zadaniem żywotnego społeczeństwa a stąd i naszego Towarzystwa. Uczułem to niedawno ze szczególną mocą. W jednej talii kart znalazłem damę pikową nadzwyczajnego wyglądu: gniewnym ruchem oparła głowę na ręce i patrzy namiętnie, wyzywająco, groźnie. Żadnemu malarzowi nie udało się dotychczas wydobyć z twarzy kobiecej takiego potężnego wyrazu. Ponieważ nie jest to obraz w złożonych ramach z podpisem znanego mistrza, lecz zwyczajna karta do gry, więc się ją lekceważy i nikomu na myśl nie przyjdzie szukać w niej genialności. Tymczasem dla znawczego oka ta genialność jest wprost uderzająca. Wkrótce zamierzam wypowiedzieć odczyt o tej damie pikowej. Naturalnie, sparaliżowane myślowo pisma, wyśmieją mnie, ale mam nadzieję, że po moim wykładzie wyższe duchy rozniosą chwałę tej skromnej karty, a za kilka lat będzie ona zaliczona do arcydzieł malarstwa. Oto jest przewartościowanie wartości.

— Najpilniejszym według mnie jest przewartościowanie w wychowaniu — odezwał się młodzieniec z kołnierzem u koszuli zwiniętym w trąbkę, w którą nawleczoną była i zamiast krawata zawiązana rurka kauczukowa. — Już ta sprawa była na początku naszych obrad dotknięta ze względu na egzaminy. Mnie zaś chodzi o cały stosunek tak zwanych nauczycieli

i tak zwanych rodziców do tak zwanych uczniów. Życie nasze jest powolną utratą boskości czyli ducha natury. Rodzimy się jako bogowie a umieramy jako zwierzęta. Logicznie przeto i słusznie społeczeństwo powinno być tak uorganizowane, ażeby ludziom w miarę ich starzenia się przyznawana była coraz mniejsza ilość praw i przywilejów. Człowiek w kolebce powinien być przedmiotem czci, a na łożu śmierci lekceważenia. I oto akurat dzieje się przeciwnie. Dojrzały i starcy używają wielkiego szacunku i władzy, podczas gdy dzieci są ograniczane w swej woli i czynach, trzymane w surowem posłuszeństwie a nawet — i to najgodniejsze, najświętsze — dostają nieraz w skórę. To położenie musi się zupełnie odwrócić: dzieci muszą zająć stanowiska tak zwanych rodziców i tak zwanych nauczycieli, a ci stanowiska dzieci. Wszystkie rozkazy, wszystkie wymagania zewnętrznych oznak szacunku muszą przejść z pierwszych na drugie. Zapewne, niejeden półgłówek drwić będzie z rad pedagogicznych, złożonych z uczniów najniższych klas lub z opracowanych przez nich planów szkolnych, a zarazem ten sam półgłówek będzie twierdził, że wychowanie winno się oprzeć na dobrze zbudowanych potrzebach fizycznych i duchowych młodzieży. A któż lepiej może wydobyć na jaw te potrzeby, niż sama młodzież? W teorii nie chcemy stosować do niej tych sposobów, których używamy względem zwierząt, nie pytając wcale o ich pragnienia, a w praktyce czynimy to samo. Boga

w pieluszkach lub w krótkich majtkach i sukienkach traktujemy jak konia lub wołu. Słowem niech pedagogika przestanie być bałwochwalstwem starców a zacznie być religią dzieci.

— Mnie się zdaje — przemówił Piotr syn Barbary w koszuli z kołnierzem otwartym do połowy piersi — że nie dosyć jest przewartościowywać to, co jest, lecz nadto trzeba tworzyć nowe przedmioty wartości. Osiągnąć zaś to można głównie za pomocą nowych przeżyć, których doświadczamy w niezwykłych położeniach i stosunkach, dających nam nieznane wrażenia. Najobfitszą dla takich zdobyczy drogą jest ta, która prowadzi przez kobiety, ni by przez szczeble drabiny do ideału. Tłum nazywa to rozpustą, nurzaniem się w błocie, ale ludzie wyzwoleni z przesądów nazwą to wniebowstąpieniem. Znam dzielnego ucznia klasy trzeciej, który marzy o dostaniu tabesu, a nawet już zaczął wprawiać się w bezładne ruchy nogami. Jest to meteor, zakreślający świetlaną smugę nowej idei — mianowicie głęboko odczutej potrzeby bezpośredniego doświadczania. Kończę mój wywód: starajmy się zużyć jak najwięcej kobiet — panien, mężatek, wdów, nawet pensyonarek, nawet staruszek; starajmy się zapaść we wszystkie choroby płciowe, ażeby wreszcie dojść lub nie dojść do ideału, ale wiecznie do niego dążyć.

— W duchu tego, co tu wygłosił kolega — rzekł młodzieniec w kapeluszu — zdobywam świeże wrażenia, paląc opium. Otworzył się przedemną

całkiem nowy świat, pełen nieprzeczuwanych uroków, życie rozszerzyło mi się ogromnie. Ach, jakie ja miewam widzenia! Wszystkie kobiety nie dadzą tyle zachwyty, co jedna fajka takiego narkotyku.

— Nie przeczę — powiedział młodzieniec w ubraniu fioletowym — że jest to bogate źródło nastrojów, ale przeważnie wesołych, łagodnych, marzycielskich. Skąd zaczerpnąć smutne, ponure, tragiczne, których łakną dusze bólami przepojone? Zwrócę waszą uwagę na pewien wypadek, o którym niedawno gazety doniosły, a który wart jest głębokiego zastanowienia. Niejaki Hektor Granat z Owernii we Francyi, widocznie człowiek o wyższych wlotach duszy, włożył zmarłego ojca w spirytus, w którym go trzyma od 25 lat. Jakichże potężnych wzruszeń doznaje ten wielki apostoł przyszłości, przypatrując się codzień nieboszczykowi przez szklane ściany grobowej wanny! Uczy on nas również, jakim przeżytkiem są już nie tylko cmentarze, ale nawet krematoria!

— O, tak — zawołał młodzieniec w ubraniu dwa razy szerszem, niż jego postać — ludzkość reformuje magazyn swych ciał, ale nie zapomocą naczyn z spirytusem, które mogą tylko wyjątkowo służyć dla budzenia nastrojów. Nasi odlegli potomkowie zredukują chemicznie zmarłych w kruszynki żalaza lub wapnia, tak, że będą mogli nosić w pierścionku kilka pokoleń.

— Z powodu spóźnionej pory i umysłowego zmęczenia — rzekł prezes — dzisiejsze obrady przer-

wiemy. Do następnego zebrania pozostało nam kilka wniosków, bardzo ważnych, które mi przed chwilą złożono a które odczytam, ażeby członkowie mieli czas nad nimi pomyśleć.

Pierwszy brzmi tak:

„Czy w dzisiejszym układzie stosunków społecznych uzasadniony byłby następujący dwuwiersz: „Miałeś żydzie złoty róg — został ci tylko barłóg“. Szczegółowszego wyjaśnienia nie dołączono.

Drugi wniosek: „Towarzystwo ostatniego krzyku“ wyśle delegację do Paryża dla obejrzenia patagończyka skamieniałego, którego jakiś amerykańnik przywiózł na sprzedaż do Europy“. Również bez bliższych objaśnień.

Wniosek trzeci: „Statystyka wykazuje pewien, mniej lub więcej stały procent przestępców w stosunku do ogółu ludności. Ażeby te oznaczenia utrzymać w pamięci powszechnej a przez nie wpływać na poprawę obyczajów, należałoby w każdym zebraniu, zarówno prywatnem jak publicznem, wywieszać na widocznem miejscu kartkę z odpowiedniem obliczeniem“. Do wniosku dołączono uwagę: „Urzeczywistnienie tego projektu nie przedstawiałoby żadnej trudności. Każda instytucja, każdy obywatel, przyjmujący u siebie liczniejszych gości, winien zaopatrzyć się w tabliczkę procentowości przestępstw i według niej natychmiastowy rachunek, wypisawszy na przyklepionej do ściany lub drzwi kartce papieru: według statystyki powinno w naszym zebraniu znajdować się tylu złodziei, tylu fałszerzy, tyle prostytutek i t. d.“

Wniosek czwarty i ostatni:

„Towarzystwo nasze odwoła się do fabryki brauningów w Belgii o poważniejszą ofiarę ze względu na olbrzymią konsumpcję tych wyrobów w naszym kraju“.

Te kwestye wejdą na najbliższy porządek dzienny.

Ruszono się z miejsc do wyjścia.

— Panowie — krzyknął jeden z członków — zatrzymajcie się jeszcze chwilę. Kolega Wacław, syn Amelii nie pokazał nam jeszcze swego niezwykłego wuja z Litwy.

Okazało się, że wuj usnął. Gdy go obudzono, nie mógł długo odzyskać przytomności, wreszcie, mocno wstrząśnięty, otrzeźwił się i rzekł:

— Przepraszam, znudziło się i zasnąłem. Bo i przyjść nie było po co. Waciowi powiedziałem, że całe archiwum rodzinne zużyłem na przybitki do nabojów w dubeltówce, a on razaz prosić, żebym przyszedł, czem chciał mi przyjemność zrobić. I słuchać nie było czego i spać niewygodnie. At, postrzelony chłopak!

Skoro zebrani wysypali się na schody, ktoś zapytał głośno:

— Czy są pomiędzy nami kombinatorowie?

— Ja, ja, ja! — padały głosy.

— Obmyślcie taką kombinację, ażeby bez papy, mamy, sióstr, ciotek, wujów i lombardu dostać trzy ruble na wazę ponczu.

— Warunki zadania bardzo trudne, ale spróbujemy.

Na dole w bramie spotkał wychodzących rewirowy:

— Panowie do kogo?

— Ode mnie — rzekł Cyryak.

— A co panowie robili? Miał pan pozwolenie od policyi?

— Mam — odparł wesoło de Regal, sięgnął do kieszeni i podał mu rubla.

IV.

W redakcyi Kurjera Powszechnego odbywała się niezmiernie ważna sesya, w której uczestniczyli również zaproszeni mężowie zaufania. Otrzymano poufną depeszę z Petersburga, że w Płońsku ma być zamianowany naczelnikiem powiatu rzeczywisty polak. Z tego zdumiewającego wypadku słusznie wywnioskowano, że „zanosi się na gruntowną zmianę kursu polityki rosyjskiej w Polsce”; obliczono wszystkie niezmiernie doniosłe korzyści dla kraju i przewidywano olbrzymie wrażenie, jakie ta wiadomość wywrze na „znękanym narodzie, dostrzegającym wreszcie gwiazdę nadziei, od tak dawna zgaszonej”. Nad ostatnim punktem zastanawiano się najdłużej. Obecni na posiedzeniu „ugodo—realiści” nadawali temu faktowi epokowe znaczenie, ostrzegali jednak, że nie należy zbyt mocnymi akcentami potęgować już tak wielkiego wstrząśnienia umysłów, ażeby ogół nie posunął się za daleko w kierunku marzeń. Postanowiono zatem w pierwszej chwili umiarkować zachwyt czyli — jak się wyraził jeden z mówców: „podać narodowi szampan zamrożony”.

W związku z tą naczelną sprawą podniesiono kilka pobocznych. Pierwszą było pytanie: czy wobec „oczywistej zmiany kursu” w polityce rządu zachować wrogie, czy też przyjazne stanowisko względem żydów. Za pierwszym przemawiała potrzeba wpadnięcia w takt antisemityzmu rosyjskich mężów stanu; za drugim — potrzeba okazania wspaniałomyślności przykładem w chwili otwarcia nowej, szczęśliwszej epoki dziejów narodu. Wybrano drogę pośrednią, mianowicie uchwalono, ażeby zamieścić w Kurjerze jeden artykuł przeciw żydom a drugi za żydami. Trudniejsza była inna kwestya. Legat papieski na kongres eucharystyczny w Wiedniu zaproszony został przez jednego z magnatów galicyjskich, wożących świętopietrze, do jego rezydencji wiejskiej, nad samą granicą Królestwa Polskiego. Szło więc o to: czy i jak uczcić kardynała z naszej strony. Zwyciężyły żywioły postępowe: wbrew bowiem żądaniu ugodo—realistów, wykazujących niewłaściwość i niebezpieczeństwo drażnienia rządu rosyjskiego tak wyzywającą manifestacją w chwili mianowania polaka naczelnikiem powiatu w Płońsku, zdecydowano: poprosić właściciela majątku, przeciwległego z naszej strony miejscu pobytu wysłannika papieskiego, ażeby przed swym dworem puścił rakiety t. z. „rzymskie świece”. Kardynał je dojrzy, zrozumie, ojcu św. komunikuje — a rząd nie będzie miał do czego się przyczepić, zwłaszcza jeżeli tego samego dnia wieczorem urządzone będą dożynki.

Po rozstrzygnięciu tych spraw mężowie zaufania odeszli, pozostał tylko redaktor ze swymi współpracownikami.

— Skoro jesteśmy w ściślejszem kółku—rzekł—chciałbym rozważyć z panami pewne przedsięwzięcie bardzo delikatnej natury. Dziś rano był u mnie hr. Cioł-Ciołek z zawiadomieniem, które do czasu ma pozostać tajemnicą, że bierze od magistratu w dzierżawę łapanie psów. Jest to podobno bardzo dobry interes, gdyż psie futra mają być używane do wyściełania modnych karetek ręcznych dla niemowląt, wożonych na spacer podczas mrozów. Jakkolwiek nasza arystokracja już wyrabia kwaszoną kapustę, dyskontuje weksle, utrzymuje lombardy, wynajmuje pokoje umeblowane, wogóle nie gardzi żadnym zyskiem, jednakże łapanie psów jest czemś zbyt... żenującem i może być uważane za pokalanie rodów historycznych. Dlatego trzeba wywołać w opinii publicznej odpowiedni nastrój, sprzyjający demokratyzowaniu się arystokracji, co ma podjąć nasz Kurjer. Hrabia Ciołek słusznie twierdzi, że w pojmowaniu szlachectwa nie można dziś stać na stanowisku Statutu Wiślickiego, lecz trzeba znacznie rozszerzyć granice tego pojęcia. W tych granicach powinno się również zmieścić wyrabianie futer, a czy te futra będą z psów, czy z sobolów, to chyba wszystko jedno. Jak panowie na to patrzycie?

— Rzeczywiście, uzasadnić związek arystokracji z hyclostwem ciężko, a złagodzenie płynące

stąd odrazy ogółu bardzo wątpliwe, ale nie utoruje sobie drogi ten, kto jej nie zacznie przerąbywać. Ostatecznie, hrabia ma rację: każde futro jest futrem.

— Czy pan byłby łaskaw napisać w tym duchu artykuł? — zapytał skwapliwie redaktor.

— W tej chwili nie znalazłbym czasu, bo mam do oceny dwa dzieła historyczne, jedno przyrodnicze i sprawozdanie z wystawy obrazów.

— Wszystko to musi poczekać, a pozyskanie hrabiego Ciołka byłoby dla pisma i dla nas osobiście bardzo korzystnem. Rozporządza wielkimi środkami, stosunkami i posadami.

Woźny wniósł telegram. Redaktor otworzył go, przeczytał, zbladł, zmiął papier i rzekł wzburzony:

— To fatalne! Biedny naród!

— Co takiego?

— Krótko trwał nasz rozkoszny sen. Korespondent z Petersburga prostuje poprzednią depeszę. Nie naczelnikiem powiatu w Płońsku ma być polak, ale naczelnikiem akcyzy w Płocku rosyjanin. Jakież to szczęście, żeśmy nie wydrukowali pierwszej wiadomości! Zawiedziony naród wpadłby w bezdenną rozpacz. Ale skąd mogła powstać taka omyłka? Chociaż ja od pierwszej chwili miałem tajemną wątpliwość i tylko nie chciałem nią mącić ogólnej radości. No, panie Kracy, liczę na artykuł, któremu daj pan tytuł: „Arystokracja schodzi na dół“.

— Właściwie schodzi na psy — wtrącił ktoś cicho.

— Niech ten dowcip zostanie między nami — zapowiedział redaktor kwaśno, któremu sprostowanie depeszy popsulo zupełnie humor.

Zostawszy sam, to chodził zdenerwowany po gabinecie, to siadał przy biurku i chwycił nożyczki, jak gdyby zamierzał coś wyciąć, to brał do rąk listy i odkładał, tarł czoło, palił papierosy. Z prawdziwą też przyjemnością kazał woźnemu wprowadzić Jacka Drygała, który prosił o audyencję.

— Czołem! — zawołał na progu jubilat. — Moje najgłębsze uszanowanie panu redaktorowi. Przepraszam, że mu zabiorę chwilkę drogiego czasu, ale „veni, vidi, vici”. Załatwiłem w administracji rachunek za opis mojej fabryki i 500 numerów Kuriera z wzmianką o naszym srebrnym weselu, która, przyznać to muszę, wystylizowana została podniośle. Przy sposobności zaś chciałbym szanownego pana poprosić o drobną łaskę.

— Słucham.

— Pomimo całej mojej, że tak powiem, fiołkowej skromności i usuwania się w cień, ażeby ludziom oczu nie wykłuwać, zupełnie wbrew mojej woli zostałem wyciągnięty na widownię tak dalece, że istnieje podobno zamiar obdarzenia mnie rolą polityczną. Gdyby nawet do tego nie przyszło czego pragnę, to jednak uważam sobie za obowiązek, ażeby moje dzieci były dumne ze swego ojca. Otóż, czy szanowny pan nie zechciałby w swoim poczyt-

nem piśmie donosić o moich, zresztą nieczęstych, wyjazdach i przyjazdach? To człowiekowi nadaje wagę, wyróżnia go z tłumu. Chociaż ktoś go nie zna, czytając ciągle wzmianki o jego, że tak powiem, krążeniach planetarnych, myśli sobie: to musi być figura! Nie proszę o przysługę bezinteresowną. Ja za to do rozporządzenia pana redaktora na cele dobroczynne płaciłbym 10 rb. rocznie.

Złożył na biurku przygotowany już w rękę banknot. Przy sposobności zaznaczyć trzeba, że ile razy Jacek chciał kogoś przekupić lub zjednać sobie datkiem pieniężnym, kładł go natychmiast po propozycji, gdyż twierdził, że sam widok pieniędzy powiększa ich siłę z jednej strony a zmniejsza opór z drugiej.

— Z miłą chęcią będziemy to czynili — odrzekł redaktor — gdyż osoba pańska jest przedmiotem szerokiego zainteresowania, ale za każdym razem pan doniesie nam o swoich podróżach. Pomimo całej czujności nasza reporterya mogłaby to przeoczyć.

— Ależ naturalnie, dla pewności przez własnego stróża, za pokwitowaniem. Czy nawzajem nie mógłbym czem służyć panu?

— Przedewszystkiem ciąglą i życzliwą pamięcią o naszym dzienniku. Następnie bylibyśmy panu bardzo wdzięczni za każdą wiadomość, budzącą zaciekawienie lub dającą słuszny powód do alarmu. Tak np. jeżeli pan spostrzeże, że ktokolwiek burzy, przerabia lub odrapuje z zamiarem odnowy

stary dom, kościół, bożnicę, ratusz, bramę, lamus, wreszcie cokolwiek, niech pan natychmiast zabiera głos w obronie niszczonych zabytków przeszłości.

— Rozumiem, rozumiem! *Caveant consules!* Jeżeli sam nie potrafię pięknie napisać starą, spracowaną ręką, to mnie wyręczy mój młodszy syn, który kiedyś będzie ognistym krzakiem Mojżeszowym w literaturze a dziś już jest młodym Mojżeszem.

— Niechże go pan do nas przysła.

— I owszem, powtórzę mu zaproszenie pańskie, tylko, że on, jak każdy geniusz ma swoje dziwactwa i upory. Cokolwiek mu doradzę, on mi stale odpowiada: ja mam własną, niepożyczoną duszę i własną, niewyjeżdżoną drogę.

— Niechże nią sobie idzie... Nie przeszkadzajmy mu... Czy pan ma stosunki z księżmi?

— Nic nie robię bez Boga i z dumą powiem: dzieć mogę, że Bóg jest moim współpracownikiem.

— Ale czy pan zna osobiście księży, zwłaszcza poważniejszych?

— Kilku — bardzo dobrze. Jeden jest proboszczem w Parcelinie, drugi wikarym w...

— O adresy mi nie chodzi. Niech pan znajomym kapłanom podsunie zręcznie myśl przysłania nam w liście opłatka z błogosławieństwem na Boże Narodzenie. My za to dziękujemy zawsze w *Kuryerze*, nie tylko dla zrobienia przyjemności księżom, ale zyskania sympatii czytelników, którzy

przeważnie należą do ludzi pobożnych. Musimy już obecnie podkreślić mocniej naszą pobożność, bo konkurencja podrywa nam grunt z tej strony.

— Doskonale pojmuję, o co chodzi i proszę mi wierzyć, że nie pożałuję starań a spodziewam się, że rezultaty będą wspaniałe. „Der Mohr hat seine Schuldigkeit gethan, der Mohr kann gehen“. Sługa uniżony pana redaktora.

Wyszedł wesół i jak gdyby odmłodzony. Na ulicy nucił i młynkował laską. Miał powód. W administracji *Kuryera* utargował z należności 15 proc. rabatu, zapewnił sobie wzmianki o przyjazdach i wyjazdach za dziesięciorubłówkę fałszywą, którą daremnie przedtem usiłował puścić w obieg.

— Jutro pojedę do młyna — pomyślał sobie — zaraz napiszę o tem do *Kuryera*.

Redaktor tego popularnego dziennika nie był wcale wybredny w przyjmowaniu wiadomości bieżących, dzisiejsze jednak budziły w nim niesmak. Odwołanie telegramu o naczelniku powiatu, przedsięwzięcie hrabiowskie z psami, wizyta Drygała — wszystko to mdliło i nieprzyjemnie pachniało. Dla zatarcia tych wrażeń zaczął przeglądać świeżo nadane korespondencje.

Sprawozdanie ze zjazdu technologów w Krakowie. Czytał: „Przybyło z Królestwa 30 uczestników, z Galicyi 20, z Poznańskiego 1 i pół (jeden inżynier z żoną). Naprzód członkowie udali się do kościoła i w pobożnem skupieniu wysłuchali mszy św., odprawionej na intencję zjazdu. Po powrocie do

sali klasztoru Tercyarzyw Bezobcasowych, gdzie odbywać się będą posiedzenia, dokonano wyborów: prezesem honorowym pierwszym obrany został biskup krakowski, drugim — książe Uciecha, pan na Uciesze, największy właściciel ziemski, trzecim hr. Mączyński, ożeniony z margrabiną Staccato, czwartym — ks. Kukało, dziekan wydziału teologicznego, piątym Paciorek, dyrektor Kasy Oszczędności; wiceprezesem honorowym pierwszym — Ekscelecya Tarczewski, prokurator, drugim — Ekscelecya Dublicki, trzecim nadfyzyk miejski Pilawski, czwartym...

Za dużo tego dobrego...

Czytał dalej: „Sekretarzem honorowym pierwszym auskultant sądowy Numerski, sekretarzem honorowym drugim“.

— Co to jest? Bez końca...

Przesunął oczy po rękopisie.

— Iluż tu jeszcze tych wybrańców honorowych! — mówił do siebie. — Potem idą prezesi, wiceprezesi i sekretarze rzeczywiści... Ani słowa o przedmiotach obrad...

Roześmiał się.

— Urwis! Zna czytelników, wie, co im trzeba donieść...

Odpieczętował drugą kopertę, z której wydobyl list znanego literata: „Kochany Redaktorku! Już dwa miesiące nie wspomnieliście o mnie w *Ku r y e r z e*. Przypomnijcie mnie czemkolwiek publiczności, ażeby ona wiedziała, że żyję i ażebym,

znowu wkleił wycinek w album, w którym zbieram wszelkie o mnie głosy i w którym wasze zaliczam do najcenniejszych. Przyjmijcie“ i t. d.

Do gabinetu zapukał i wszedł młody ksiądz, sekretarz biskupa. Redaktor, jak gdyby go krzesło wystrzeliło, podskoczył do niego i, uściskawszy mu z głębokim ukłonem rękę, zaczął szukać najlepszego dlań siedzenia.

— Tam będzie niewygodnie, tu — zapraszał.

— Niech pan się nie trzodzi, ja tylko na chwilę w imieniu biskupa, który prosi o przybycie do niego zaraz.

— Natychmiast będę służył.

— Pożegnaj pana. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

— Na wieki wieków.

Chociaż dwukonna dorożka warszawska stworzona została dla Farysów miejskich i lotnych głupców, za wolno jeszcze pędziła dla pośpiechu, z jakim redaktor *Ku r y e r a* pragnął przybyć do biskupa. Ponieważ zaledwie dwa pokolenia odgradzały go od przodków starozakonnych a w domu jego rodziców tradycya katolicka była jeszcze bardzo młoda, więc świecki filar kościoła nie znał dobrze form zachowania się wobec kleru, zwłaszcza wyższego i ażeby nie uchybić — przesadzał. Podaną mu przez biskupa rękę ucałował głośno. Spostrzegł odrazu jego niepewność dostojnik kościelny i przybrał postawę nieco wynioślejszą, niż zwykły był to czynić.

— Dziękuję panu za tak szybkie uwzględnienie mej prośby.

— To było moim obowiązkiem i zaszczytem.

— Chciałem pomówić z panem szczerze o dzisiejszym zebraniu przedwyborczem. Wiem, że Kościół jest dla pana i gazety pańskiej najwyższą instancją we wszelkich sprawach, najwyższem dobrem narodu i najwyższym przedmiotem czci; dla uniknięcia jednak możliwych nieporozumień, uznałem za stosowne zaznaczyć pana z naszymi poglądami i życzeniami co do kandydata na posła, którym zajmować się będzie wiec dzisiejszy. Otóż wyjaśniam poufnie, że najsympatyczniejszym dla Kościoła kandydatem jest hrabia Janusz Kukieł. Czy pan zechce go popierać w swem piśmie?

Biskup, twierdząc, że Kościół jest najwyższą instancją dla redaktora pobożnej gazety, ani przypuszczał, jak dalece się mylił. Z widocznem też zdziwieniem wysłuchał delikatnego sprostowania i wskazania jeszcze wyższej instancyi.

— Z najszczerzą gotowością uczynię zadość życzeniom ekscelencyi. Ale winienem nadmienić, że chociaż mój dziennik liczy 50,000 abonentów (skłamał z nałogu) i wywiera wpływ szeroki a hrabia Kukieł w pewnych kołach używa zasłużonego uznania, jednakże poparcie nasze może być tylko wtedy skutecznem, gdy się nie znajdzie w zbyt wyraźnej sprzeczności z opinią ogółu, gdy — że tak powiem — wyzwoli napięte prądy w społeczeństwie.

— Gdyby o to tylko szło — odparł biskup — wcale bym pana nie trudził, bo wyzwolić prądy napięte jest bardzo łatwo. Nam chodzi o coś trudniejszego, mianowicie o wytworzenie, powtarzam — o wytworzenie pewnych dążeń i pragnień, w obecnym wypadku o to, ażeby większość wybrała hr. Kukieła, o którym dziś wcale nie myśli lub nie wie.

— Ekscelencyja raczy mi wierzyć, że o to zabiegać będę. Ale dla usprawiedliwienia ewentualnej bezskuteczności usiłowań, śmiem uprzedzić, że gdybyśmy tę kandydaturę wysuwali zbyt forsownie, mogłyby odezwać się przeciwko hrabiemu pewne pretensye i zarzuty, których odeprzeć nie zdołamy, jak to się stało podczas jego kandydatury, na prezesa Dobroczynności.

— Czyż pan wierzysz, że on znieprawiał młode włościanki, że denuncyował swoich nieprzyjaciół osobistych jako rewolucjonistów?

— Czy ja wierzę, ekscelencyjo — to nie ma żadnego znaczenia, ale czy ogół wierzy — to rozstrzyga.

— Ach, panie, ogół jest wielkiem i naiwnem dzieckiem. Pan wiesz z doświadczenia, że w niego wmawiano daleko większe nieprawdopodobieństwa.

— Tak, ale bardzo powoli, zręcznie i ostrożnie.

— Na powolność nie mamy czasu, ale nic nie przeszkadza działać zręcznie i ostrożnie.

— Ogromnie zadanie nasze uprościłoby się, gdyby hrabia spełnił kilka czynów sympatycznych, efektownych i głośnych, gdyby np. dał większą składkę na badanie zubrów lub na przytułek dla

niezamożnych potomków po byłych pułkownikach byłych wojsk polskich.

— Kochany panie, my nie potrzebujemy dopiero zasługiwać się ogółowi, bo zasługujemy się już dziewiętnaście stuleci. Dla wiernych powinno to wystarczyć, że Kościół przez usta swych kapłanów czegoś chce, aby mu być posłusznym.

— To też przypuszczam, że ogół to zrozumie i wolę Kościoła spełni.

— Jakie to smutne, że pan tylko przypuszczasz! Społeczeństwo nasze zagnane zostało przez złych ludzi w niebezpieczne trzęsawisko. Niema dziś duchów śmiałych, trzymających w rękę krzyż z miecza! Nie będę dłużej nad tem się rozwodził. Panie redaktorze, pisarz francuski, który daleko stoi od nas a blisko niedowiarków, opowiada, że pewna, zacna niewiasta dawała psom w Wielki piątek postne jedzenie i nie pozwalała im ogryzać kości, ażeby one również wypełniały przykazania Kościoła. Oto takich ludzi nam potrzeba. Polecam to pamięci i rozwadze pańskiej a za fatygę jeszcze raz dziękuję.

Redaktor wyszedł od biskupa całkiem rozstrojony: nie wiedział którą srokę miał złapać za ogon. Chciał dogodzić klerowi, od którego w znacznej mierze zależał byt jego pisma a jednocześnie lękał się, ażeby nie stanął w poprzek opinii swoich czytelników. Nasz ogół jest bardzo podobny do konia, który spokojnie chodzi w zaprzęgu i daje się powodować dziecku, ale czasem, z niewiadomego

powodu, odmówi posłuszeństwa i nie ulegnie ani batowi, ani uździe. Każdy roztropny redaktor z nadzwyczajną czujnością baczy, ażeby jego prenumeratorzy nie poszli w innym kierunku, niż on ich zwraca. Bo chociażby od niego nie uciekli, jest to zły znak, gdy się mijają.

Woźnica Kurjera Powszechnego, wróciwszy do siebie, zastał czekającego nań członka gminy żydowskiej. Przywitał go oziębło.

— Co pana do mnie sprowadza?

— W imieniu naszej gminy przychodzę dla porozumienia się w przedmiocie wyboru posła.

— Ach, panie, o nic goręcej nie modłę się do Boga, niż o to, ażeby mi pozwolił przeżyć chociaż jeden dzień bez kwestyi żydowskiej.

— I my pragniemy, ażeby ona znikła... zniknęła...

Biedny, nie wiedział, która forma słowa jest poprawniejsza.

— Każdy redaktor ma jakąś piłę: mojego ojca przerzynała kwestya kobieca, mnie—żydowska.

— Przecie pan cierpi nie z wyroku sądowego, lecz dobrowolnie.

— Jakto, dobrowolnie? Czy ja mogę nie dręczyć się rozmyślaniami nad tą kwadraturą koła, nie brać czynnego lub biernego udziału w kręceniu się na jednym miejscu?

— Ale pan może nie być redaktorem.

— Wybacz pan, że mojego zawodu nie uczynię zależnym od pańskiej rady.

— Ja nie radzę i nie mam zamiaru pana obrażać, ja tylko twierdzę, że kto przyjął dobrowolnie służbę publiczną, nie powinien się skarżyć.

— Przechodząc do rzeczy, co pan ma mi do powiedzenia?

— Przynoszę prośbę gminy, ażeby poczytny organ pański oświadczył się tylko za kandydatem, stojącym na gruncie bezwzględne równouprawnienia żydów.

— Bezwzględnego... równouprawnienia... żydów... Nie rozumiem wogóle bezwzględności w życiu praktycznym, a wszelkie stosunki społeczne były, są i będą zawsze oparte na podstawach względnych. Powtóre, nie jako ja, Piskorski, ale jako polak, nie mogę przyczyniać się do przekształcenia mojego kraju na Palestynę. Potrzebie, nie mam zamiaru wyzywać do walki większości społeczeństwa...

— Za pozwoleniem, pan redaktor ma w tej sprawie swoje własne zdanie?

— Co mnie obchodzi moje własne zdanie? Ono mi wcale nie jest potrzebne jako redaktorowi! Bo zastanów się pan, jaki ja z niego zrobię użytek? Wypowiem je krewnym i znajomym, jeżeli zapytają — to wszystko! A to wszystko jest nic. Tak samo jak gdybym w zaufanem kole twierdził, że gęś i koń mają trzy nogi. Czy od tego gęsi ubędzie, a koniowi przybędzie jedna noga? Przypuśćmy, że oświadczyłem się za bezwzględnym równouprawnieniem żydów — co to im pomoże?

— Niech pan wydrukuje.

— Gdybym to zrobił, prawdopodobnie od kwartału liczyłbym tylko pana i pańskich spółwyznawców między abonentami Kurjera. Byłby to jedyny skutek mojego osobistego przekonania i mojej odwagi. Nie, panie. Ten papier, na którym drukuję moje pismo, należy do 60,000 (wobec żyda mocniej skłamał) prenumeratorów, którym ja nie mogę narzucać własnego zdania i mogę głosić publicznie tylko zdanie większości społeczeństwa.

— Skąd pan zna zdanie większości społeczeństwa?

— Stąd, że mam 60,000 prenumeratorów, których nie posiada żaden inny dziennik.

— Więc pan będzie występował przeciwko równouprawnieniu żydów?

— Wątpię. My unikamy krańcowości, wyrażności, ostatecznego rozstrzygnięcia spraw, wogóle wszelkich ostrych kantów. Stanowczym jest tylko zarozumiały głupiec. Człowiek rozumny bywa zawsze niepewny, ostrożny, wahający się... Nie powinien sam sobie kopać i wpadać w wilczy dół bez wyjścia, lecz stać na otwartym placu, do którego z wielu stron zbiegają się ulice. Organ abonentów, a nie redaktora, nie może ich napadać z nożem i maczugą, zmuszając do przyjęcia jego opinii. Co najwyżej wolno mu delikatnie podsuwać im pewne myśli, napomykać, zalecać, wreszcie wmawiać, a zawsze być gotowym do cofnięcia się i zwrócenia w innym kierunku. Pan żadasz od nas oświadcze-

nia się za bezwzględne równouprawnieniem żydów... A wiesz pan, że gdybyśmy się oświadczyli za bezwzględną niepodległością Polski, to tylko dla tego, że bylibyśmy przekonani, iż jest to pragnienie większości społeczeństwa i naszych prenumeratorów. Tak, panie!

— Nie mówmy o nieprawdopodobieństwach i spojrzymy na rzeczywistość, jak ludzie praktyczni. Pomimo wszystko, jeżeli pan zechce, może dużo zrobić. Żydzi są zdecydowani i przygotowani za tę pomoc złożyć hojną ofiarę do pańskiego, niekontrolowanego rozporządzenia lub na cel przez pana wskazany.

— Tę propozycję usuńmy z naszej rozmowy.

— Pan wie, że Żydzi nie pragną mieć ani kory, ani berła, ani haftowanych złotem mundurów, tylko swój bezpieczny dach i swój zapewniony chleb. Na to im potrzebne równouprawnienie.

— Znamy tę bajkę. Skromność żydowska jest podobna do sprężyny w zegarku, która dopóki jest skręcona wydaje się małą, ale gdy ją rozpuścić, staje się wielką. Anegdota opowiada, że pewien Żyd zapytany, co by zrobił, zostawiając monarchę, odrzekł, że wzięłby dla siebie wszystkie narożne sklepy w gubernialnym mieście. Anegdota tego nie dodaje, ale łatwo się domysleć, że zajmując wszystkie narożne sklepy, zażądałby czegoś więcej. Bądźmy szczerzy: świat widział już rozmaite odmiany Żydów, ale nie widział takiego, który byłby nasycony, który zdobywszy majątek i znaczenie, powiedziałby: mam dosyć.

— Pan trochę o tem wie, bo pański pradziadek był z naszych, ale ja wiem lepiej, bo sam jestem Żydem. Nasz wielki głód stąd pochodzi, że nasze bogactwo — to jedna wielka perła, rzucona w morze niedoli. Nam nie można niczego odebrać, tylko trochę pieniędzy.

— Trochę?

— Tak jest. Wasz pieniądz leży lub rusza się leniwie, więc wydaje się małym, nasz pędzi i skacze jak szalony, więc wydaje się ogromnym. A nasze znaczenie? To jest poprostu nasze nadymanie się, z którego tak szydzicie. Przyrodnicy tłumaczą, że zwierzęta dlatego jeżą sierść przed wrogiem, ażeby nadać sobie postać większą i groźniejszą. Tak samo czynią Żydzi. Ale to do rzeczy nie należy...

— Owszem, o tyle należy, że was polskie społeczeństwo nie lubi, jak was nie lubiły zawsze i wszędzie wszystkie społeczeństwa europejskie. Pan zaś żądasz, ażeby ja pokusił się o przełamanie tak powszechnego i tak głęboko zakorzonego wstrętu.

— Niech usłyszę ostatnie słowo: więc organ pański nie będzie domagał się od posła obrony równouprawnienia Żydów?

— Jak panu wiadomo, dziś odbędzie się wszechpartyjny wiec przedwyborczy, na który pójdę, a jutro panu odpowiem, czego będę wymagał.

— Powtarzam: nie żądamy tej usługi darmo.

— Nie, panie Pomeranc, taką usługę można

otrzymać tylko darmo. Nie odegramy komedyi za pieniądze na wasz benefis. Do jutra.

— Po wyjściu Pomeranca redaktor podparł ciężką od skotłowanych myśli głowę. Po chwili szepnął:

— Życie ludzkie składa się z samych błędnych kół.

V.

Zebranie przedwyborcze, zwołane przez komitet centralny demokratyczno-postępowo-konserwatywno-ugodowo-bezpartyjny, miało być koncertem symfonii, harmonizującej wszystkie żywioły polityczne narodowe, chociaż otworzono wstęp również skrajnie radykalnym, targowicowym i terycyarskim. Wielka sala Disharmonii, która zwykle zaledwie w ciągu trzech kwadransy po oznaczonej godzinie zapełnia się publicznością na popisy artystyczne i odczytowe, teraz była przedwcześnie zapchana tłumem rozgorączkowanym, podobna do magazynu założonego beczkami prochu.

Gdy na estradę wszedł stary i szanowny bezpartyjnik, który na przewodniczącego zaproponował Galskiego, huknęła salwa krzyków:

— Prosimy!

— Nie chcemy!

— Kropicki.

— Gardziel.

— Rykowski.

— Wszystko jedno, który nicpoń!

Wreszcie po długich wrzaskach i protestach, przyjęty został Galski, który rzekł:

— Dziękując szanownemu zgromadzeniu za okazany mi prawie jednomyślnie (śmiech!) zaszczyt, proszę o pobłażanie dla możliwych błędów, jeśli ich nie zdoła uniknąć moja dobra wola. Otwieram obrady z nadzieją, że one toczyć się będą parlamentarnie.

Rozległy się gwizdy i wołania:

— Parlamentarnie! Burżujski knedel musi być okrągły, miękki i śliski.

— Dla uniknięcia nieporozumień—rzekł przewodniczący — proszę panów, żądających głosu, o wyraźne podawanie swych nazwisk.

Ponowiły się krzyki:

— Prosi o głos Przprztycki!.. Nonplusultrzyki!.. Bakteryja Ciuciubabska.

Przewodniczący do jednego z krzyczących:

— Pan chce mówić? Nazwisko?

— Prz... prz... prz. ty... ty... cki...

— Czy pan rzeczywiście się jąka, czy też z nas sobie żartuje?

— Ja... ja... ja... ja... jaja!

Wołania:

— Dosyć tych błazeństw!

— Głupi August!

Przewodniczący:

— Proszę się uspokoić i zaprzestać wymysłów! W takich warunkach dyskusja jest niemożliwa.

Wołania:

— I niepotrzebna! My bez niej wiemy, jak kundle burżujskie szczekają.

Przewodniczący:

— Pan von de Pielesz ma głos.

— Rodacy i rodaczki! Polacy i polki! Patryoci i patryotki! — bo do was się tylko zwracam. Zanim wygłoszę zasady mojego stronnictwa, proponuję, ażebyśmy zaśpiewali: „Boże coś Polskę“.

Wołania:

— Opera!

— Żydkom się nie podoba!

— Zaśpiewajmy majufes!

Sypnęły się wrzaski, gwizdania, obelgi, drwiny. Zaledwie po kwadransie przewodniczący zdołał uciszyć wrzawę.

— Okażmy złorzeczącym tu wrogom naszym tolerancję — mówił von de Pielesz i nie wyrzucał ich za drzwi.

Wołania:

— Za okna szynkarza narodowego!

— Krwiopijca robotników!

Znowu upłynął kwadrans na uśmierzaniu burzy.

— Winienem objaśnić pokątnych doradców proletariatu, że nie piję krwi robotników, gdyż do nich należę jako oficjalista kantoru przewozowego. Zresztą nawet nie lubię blutwurstu, który zapewne jest ulubionym przysmakiem przyszłych sędziów świata.

Wołania:

— Burek waruj!

— Cicho łobuzy!

— Zamknąć im gęby!

Tym razem przewodniczący czekał, aż grad wymysłów sam ustanie. Von de Pielez stał i uśmiechał się ironicznie.

— Przechodząc z bagna na arenę polityczną—rzekł—zaznaczam wyraźnie, że programem naszego stronnictwa jest zupełny brak programu. Tylko doktrynerzy, niewidzący rzeczywistości, tylko wyrabiacze systemów papierowych, nieuwzględniający rozwoju, mogą ujmować swoje poglądy w stałe normy. Myśl człowieka rozumnego posuwa się równoległe z życiem i do jego przemian stosuje swoje zasady. Polityk powinien być elastycznym a polityka plastyczną. Dlatego my nie budujemy żadnych niewzruszonych programów, które czas wywraca lub omija; dlatego nie zawieramy żadnych długoterminowych umów i nie przyjmujemy trwałych zobowiązań! *Panta rei*—słusznie mówił filozof grecki i my również za nim powtarzamy: wszystko się porusza. Wszystko musi być, a ściśle biorąc, jest inne codzień, niemal co chwila. Czyż tylko przekonania człowieka mają być zawsze jednakie? Wszakże jak dla spraw niebieskich jest najwyższa zasada, która pozostaje niezmienną i nad innemi panującą—Bóg, tak w sprawach ziemskich jest nią dobro narodu. Ono jest dźwignią i miarą naszych dążeń i czynów. Ono mi wskazuje, co mam myśleć, jak postępować, kogo i co kochać, kogo i co nienawidzić. Jeśli to dla niego okaże się korzystnem, zaprzeczmy najoczywistszym prawdom, zniewa-

zymy najświętsze cudze świętości, napiętnujemy uczciwych i zasłanimy łotrów, pokłonimy się bałwanom, uczcimy szczeną sukę hindów, siadziemy do wspólnej uczty z ludożercami, nie cofniemy się przed niczem. Zapytacie może, jakie są granice dobra narodu? Nieskończoność. Bo nie zamyka się ono w obrębie ziemi dziś uznanej za polską, ani w obrębie dawnej naszej ojczyzny, ani w obrębie jakiejkolwiek części świata a nawet kuli ziemskiej, gdyż może ono kiedyś rozpostrzeć się na inne planety. Mówiliśmy niegdyś: Polska od morza do morza, może w przyszłości powiemy: od bieguna do bieguna a jeszcze później: od kresu do kresu wszechświata. Tymczasem niech żyje Polska i niech co prędzej powie żydosocyałom: won z mojego domu!

Buchnęły oklaski i ryki, usiłujące nawzajem się zagłuszyć. Trwało to, dopóki nie ochrypły gardła i nie spuchły dłonie. Przewodniczący:

— Pan Maczug.

— Mój przedmówca, jak rozłuszczony wieprz, nakwiczał tu...

— Do chlewa socyał!

— Wyświęcić żydziaka!

Maczug próbował przekrzyknąć.

— Mój przedmówca skanalizował swoją brudną duszę do równie brudnej gęby...

Tupanie wraz z ulewą wyzwisk i obelg wytworzyło piekielny hałas, wśród którego widać było otwarte usta, ale nie można było rozróżnić pojedynczych głosów. Wreszcie Maczug, odpocząwszy, zapanował nad zmęczonymi przeciwnikami.

— Rodzaj człowieczy składa się z istot pracujących i ich pasorzytów, jak gdyby z pcheł i pluskiew, z burżujów. Sprawiedliwa zatem polityka winna dążyć do uszczęśliwiania pierwszych i tępienia ostatnich. Robotnik jest twórcą wszelkich bogactw i wartości kultury, kapitalista—próżnującym ich spożywcą. Gdyby nawet Bóg istniał, niepodobna, ażeby miał jakikolwiek cel w utrzymaniu przy życiu rozbastwionych darmozjadów, a tem bardziej nie może takiego celu mieć ludzkość, walcząca w krwawym trudzie o byt. Ten na zagładę skazany gatunek drapieżców twierdzi, że on przechowuje w swem zgniłym cielsku duszę narodu i dlatego stanowić ma najcenniejszą część jego organizmu. To jak gdyby wrzód twierdził, że on jest mózgiem człowieka. W imieniu mojej partii oświadczam, że plujemy na wasze obrady, plujemy na wasz patryotyzm, plujemy na wasze ideały, plujemy na was i na wszystko co do was należy i przez was powstaje, plujemy wszystkimi otworami naszego ciała i żałujemy, że ich mamy tak mało.

Von de Pieleś:

— W kwestyi formalnej. Ponieważ szanowny mówca wprowadził pewne zmiany do fizjologii swych towarzyszków, więc radziłyśmy wiedzieć, jak w języku socjal-demokratycznym nazywa się ten otwór, przez który wytrysło na nas tyle wonnej śliny?

Rozsypały się śmiechy.

— My mówimy ustami — odparł Maczug—dlatego nas nie rozumiecie.

— Nigdy bym nie przypuszczał—rzekł von de Pieleś—że usta mogą wydawać takie tony.

— Proszę o spokój—zawołał przewodniczący—pan Skrzypień ma głos.

— Jesteśmy dalecy zarówno od cynizmu obnażonego interesu narodowego, jak również od cynicznie obnażonego interesu proletaryackiego. Wogóle jesteśmy przeciwnikami wszelkich interesów i obnażeń. Nie znaczy to, że stoimy pośrodku między dwoma krańcami. Bynajmniej. Chylimy się głową na lewo, ale trzymamy nogi wsparte na prawo. Jesteśmy patryotami bez szowinizmu i demokratami bez furii. Pragniemy postępu powszechnego, wszechstronnego i radykalnego. Pragniemy, ażeby pracowity chłop jeździł automobilem a próżnujący pan — jednokonnym wózkiem, ażeby synowie stróżów zostawali ministrami a synowie ministrów — stróżami, słowem, pragniemy dla wszystkich światła, ciepła...

— I elektryczności—dodał ktoś.

— Tak—potwierdził Skrzypień—i elektryczności i każdego innego dobra kultury. Nie jesteśmy związani z żadną klasą społeczną, chcemy ogarnąć staraniem wszystkie stany...

— Tylko od robotników wara, panie Skrzypień!—zawołał Maczug.

— Niech panowie postępowcy — wtrącił von de Pieleś—opuszczą żywioły narodowe i ograniczą się do żydów.

Skrzypień poczerwieniał i rzekł:

— „Czy twój język—pyta bohater Shakespeare'a—stał się błaznem i bawi twoje zęby?”

Na wzniesienie wskoczył Delikat.

— Nie mogę być dłużej niemyym świadkiem tej ohydnej, bezprzykładnej, urągającej najwyższym ideałom ludzkim, policzkującej najszczytniejsze uczucia orgii antisemityzmu, jaka rozpętała się z wszelkich powściągów w tej sali. Wszak słyszeliście: jeden z poprzednich mówców w przepastnym, grzechotniczym, dzikim śmiechu posunął się tak daleko, że omal nie przypisał wodospadu Renu naporowi żydowskiemu. Drugi w „zwischenrufie“ bez żadnego powodu targnął wszystkich żydów za brody; trzeci zamienił swój język na miecz ognisty i wygnał ich z ziemi, gdzie spoczywają prochy ich ojców. Ostrożnie! Dawniej mówiono: „qui mange le pape en meurt“, obecnie zastosować to można do oszczerców naszych.

Wołanie:

— Panie Delikat, mów o rabinach, ale o papieżu „halte pisk“.

— Panie z konfederatką i orzełkiem—zaczął Delikat...

Wołanie:

— Nie umiesz pan po polsku! Mówi się z konfederatką i orzełką!

Śmiechy.

— Pan potrzebujesz wiedzieć—odparł Delikat—że chociaż osioł ryczy i lew ryczy — to oni nie są kuzyni.

— W piętę mierzył—w nos uderzył.

— Tak, tak—krzyczał wzburzony Delikat—dałem w nos prztyka... Panowie, wśród największych zagadnień wszechbytu, wszechżycia, wszechludźkości, wszechnarodzin i wszechśmierci jednym z najważniejszych jest kwestya żydowska.

— I myśla!—dodał von de Pieleśz.

— Dla pana! Kwestya ta bowiem ogarnia całą kulę ziemską, wiąże się nierozdzielnie z losami wszystkich narodów, leży na pierwszym planie światopoglądu każdego inteligentnego człowieka, stoi jak spłakana Niobe, do której tulą się nieszczęśliwe dzieci, zjawia się jak widmo w bezsennych nocach świata, skarży się w modlitwach i psalmach ludu tułaczego, w wichrach jesiennych, w szumach borów...

— Sprzedanych żydom!.. dorzucił von de Pieleśz.

— Kwestya żydowska—mówił dalej Delikat—jak granica przecina ludzkość na dwie połowy: postępową i wsteczną. Podczas gdy filosemityzm łączy się z najgłębszą mądrością i najgórnijszymi hasłami czasu, antisemityzm jest rdzeniem głupoty i upodlenia!..

— W kwestyi formalnej—przerwał von de Pieleśz.—Otrzymałem telegraficznie wstrząsającą wiadomość, że na Islandii jednemu tam żydowi, troskliwie przechowywanemu dla nauki pogładowej, nikczemna sroka ukradła krymkę i usłała sobie w niej gniazdo. Proponuję wysłanie skrzywdzonemu synowi

ludu wybranego wyrazów współczucia od Judeo-Polonii.

— Za nieprzyzwoity żart—rzekł przewodniczący—przywołuję pana do porządku.

— Dziękuję panu prezesowi—mówił Delikat—że wzniósł się na wysokość języczka wag sprawiedliwości bezwzględnej i nawiązuję mój wywód niebywale, sromotnie, brutalnie przerwany. Jak wspomniałem, kwestya żydowska jest probierzem kultury, cywilizacji, humanizmu, postępowości, dostojęstwa umysłowego, w odwrotnym znaczeniu jest objawem społecznej wivisekcji, moralnej infekcji...

Von de Pielesz:—konfekcji, inspekcji i innych fekcji.

— Panowie z tego drwicie, bo wasze bezskrzydłe dusze nie mogą wznieść się na takie czystopowietrzne wyżyny i umieją tylko pełzać po błotnych nizinach nacyonalizmu. Wy tych wzlotów nie potraficie nigdy ocenić. Co się zaś tyczy zmyślonego żyda w Islandyi, to gdyby tam rzeczywiście istniał i został w jakikolwiek sposób skrzywdzony, zasługiwałby na współczucie wszystkich uczciwych ludzi.

Z końca sali krzyknęła spazmatycznie młoda kobieta, z rozplómienną twarzą, w sukni z długim ogonem i trzema białemi liliami w ręku:

— Człowieku, synu prześladowanego ludu, ustąp mi na chwilę głosu.

Weszła na estradę, rozrzuciła po niej nogą tren, wyprostowała się jak pień palmy i z miną Judyty zagrzmiała:

— Żądam, aby zgromadzenie nasze wdziało natychmiast dziesięciodniową żałobę na znak smutku po zamordowanym żydzie na Islandyi i ogłosiło publiczną składkę dla jego rodziny.

— Nie mogę poddać pod głosowanie życzenia pani,—zauważył przewodniczący—bo o zamordowaniu żyda na Islandii nie było wcale mowy a wiadomość o jego przygodzie była prostym żartem.

— Ja jednak wniosku mego nie cofnę i proszę, ażeby był uchwalony jako nagły przed innymi.

— Czcigodna, wspaniałomyślna, szlachetna, grandiozna pani, — zawołał Delikat — jest ofiarą niecznej mistyfikacji, którą należycie przewodniczący skarcił i napiętnował.

— W takim razie stawiam inne żądanie: ażebyśmy przesłali telegraficznie najwyższą naganę dla sądu w stolicy Madagaskaru za skazanie na śmierć zbrodniarza, który zamordował swego ojca, matkę i troje dzieci swej siostry, wszystkich upiekł i z towarzyszami zjadł na uczcie weselnej.

— Przepraszam panią — odparł przewodniczący — ale nie mogę dostrzedz związku tej sprawy z celem naszego zebrania.

— Cóż to za zebranie, ironizowała mówczyni — które nie ma związku z cierpieniem ludzkim? Gdziekolwiek i komukolwiek stała się krzywda, uderza ona zawsze w dzwon, który powinien być słyszany na całym świecie.

— Brawo! Brawooo!

— Czy pan Delikat — zapytał przewodni-

czący — życzy sobie dokończyć swoje przemówienie.

— Protestuję — krzyknęła wysoka dama — przeciwko wszystkiemu, co tu będzie powiedziane i uchwalone, dopóki nie będzie przesłana depesza z oburzeniem w sprawie nieszczęśliwego madagaskarczyka. Czekam!

Wysunąwszy nieco przed siebie lilie, zeszła uroczyście z estrady i stanęła jak kolumna przy ścianie.

— Ja tylko chciałem jeszcze dodać—odezwał się Delikat—że właściwie kwestyi żydowskiej nikt dotąd dobrze nie zrozumiał i nie oświecił. Podejmując to trudne, ale wdzięczne zadanie, proszę o chwilę cierpliwości.

Wołania:

— Dosyc tej przeklętej kwestyi!

— Już nam obmierzła!

— Dosyc? już wam obmierzła największa zagadka świata cywilizowanego?

Wołanie:

— Słyszeliśmy: wszechświata, wszechbytu...

— Wynieście się do licha i zabierzcie z sobą waszą kwestyę!

— Dlaczego i dokąd mamy się wynosić? My jesteśmy u siebie, ten kraj tak należy do nas jak do was.

Sypnęły się krzyki i wymysły.

— Milcz, przybłędol!

— Za drzwi litwaka!

— Bezczelny parszywiec!

Tumult rósł coraz bardziej i groził bijatyką.

— Nie chcecie Judeo-Polonii, wolicie Chuliganię!

— Brawo, Delikat! — krzyknęła wysoka dama i zaczęła bić oklaski.

Kilku młodzieńców przyskoczyło do niego z zaciśniętymi pięściami i zapewne obrażonoby jego nietykalność obywatelską, gdyby wielbicielka nie przybiegła i nie zasłoniła go od napaści liliami. Ujawniła go pod rękę, wyprowadziła z sali.

Na estradę wszedł Przytułski.

— Ze szczerym smutkiem wszyscy poważni uczestnicy tego zebrania widzą ciągle naruszoną w nim równagę, co zresztą jest odbiciem głęboko zachwianej równowagi w całym społeczeństwie. Nie umiemy zachować spokoju i daleko łatwiej zdobywamy się na negację, niż na afirmację, łatwiej siadamy na areoplan, który nas unosi pod obłoki, niż na zwykłą brykę, która nas wiezie po ziemi. Tymczasem jeżeli pragniemy pojąć życie trzeźwo i osiągnąć korzyści realne, powinniśmy przedewszystkiem zarzucić w polityce aeroplany, odpiąć sobie skrzydła i stąpać nogami po twardym gruncie. Położenie jest ciężkie, warunki przygniatające. Ażeby w nich wytrwać, musimy możliwie się zredukować, zmniejszyć prawie do atomów, do niedziałek, ażeby mikroskop rzędu mógł nas zaledwie dostrzedz. W tem zmniejszeniu nie wolno nam niczem gardzić, lecz wszystko przyjmować z wdzięcznością i zadowoleniem, bez

dąsów, uraz iprote stów. Im bardziej będziemy zdrobnieni, niewidzialni, cisi w słowach i skromniejsi w żądaniach—tem będziemy bezpieczniejsi. Największa góra może być przebita lub zgładzona, pyłowi nic nie grozi. Bądźmy pyłami, sproszkujmy się i spolerujmy...

— Naoliwmy się... wtrącił Maczug.

— Tak, gdy zajdzie potrzeba, naoliwmy się, zamienimy się w parę...

Maczug:

— W gaz cuchnący, od którego wrogowie by uciekli—prawda panie rozpylaczu?

— Drugiem naszym usiłowaniem—ciągnął dalej Przytułski—powinno być ustalenie nierozzerwanej spójni polskości z katolicyzmem.

Wołanie:

— Jezuityzmem!

— Dla nas religia jest czemś więcej, niż dla innych narodów, bo nietylko zbawieniem duszy własnej, ale nadto obroną świata przed zalewem niewiary. Każdy katolik jest Sobieskim, a każdy bezbożnik—Mustafą. My ciągle walczymy pod Wiedniem. Z tego względu księża słusznie są u nas uważani za najprzedniejszą klasę w narodzie, młodzi i starzy całują ich w rękę, korząc się przed szatą kapłańską, która nie jest dla nas, jak dla innych narodów, mundurem stanu, lecz świętym symbolem. Kościół stoi na opoce Piotrowej, Polska na kościele katolickim...

— A hrabia Filut—rzekł Skrzypień—z księciem Moczygębą na Polsce. Piękna piramida cyrkowa.

— Dotychczasowe mowy—rzekł przewodniczący—wyjaśniły stanowisko rozmaitych stronnictw, ale nie dotknęły właściwego przedmiotu naszych narad, mianowicie wspólnej platformy politycznej, na którą zgodziłyby się wszystkie żywioły i na której by stanął wybrany przez nie poseł.

— Cóż my możemy mieć wspólnego—zawołał Maczug—z paraliżem postępowym, z narodową desperacją lub ugodową waseliną?

— My—rzucił się von de Pieleśz—uznajemy tylko jedną platformę—naszą.

— Wasza platforma—rzekł Skrzypień—toczy się na czterech odmiennych i kradzionych kołach.

Przytułski:

— Panowie, spokojnie. Patrzcie realnie a dążcie do ugody.

Kilkakrotnie powstawał z miejsca i dopominał się o głos Jacek Drygał. Wreszcie mu go udzielono.

— Szanowne panie, nasze matki, żony i córki, szanowni panowie obywatele, mężowie sławni i zwykli śmiertelnicy a wszyscy bracia w Bogu i Ojczyźnie. Przecie kamienie są mniej do siebie podobne i trudniejsze do złożenia a jednak robimy z nich bruk, wprawdzie nierówny, co jest podobno winą magistratu, ale zawsze lepszy od miękiej, grzą-

skiej i wyboistej drogi. „Concordia res... dilabuntur” to jest chciałem powiedzieć — „concordia magna charta”.

Odezwało się głębokie westchnienie Cyryaka.

— Czyli, mówiąc zrozumialej po polsku, lepsza słomiana zgoda, niż... Już klasyczny filozof grecki powiedział: „sic volo sic jubeo” Otóż, szanowne zgromadzenie niech krzyknie chórem: wybieramy posłem rzetelnego polaka-katolika, księdza prałata Żmijkę.

Rozległy się po sali fale śmiechu—i z mowy i z kandydatury. Ksiądz Żmijka, prostoduch rubaszny, ani sam nigdy o poselstwie swoim nie myślał i przyszedł na zebranie tylko z ciekawości, ani przez żadne stronnictwo nie był do tej roli upatrzony. Dla Jacka zaś miał tę wyższość na innymi, że mu ochrzcił dwoje dzieci. Usłyszawszy swoje nazwisko, ryknął:

— A no, jak trzeba, to trzeba!

Znowu śmiechy. Ktoś zawołał:

— Nie trzeba, pan Drygał tylko żartował.

— Ja żartowałem?—odparł ze zgrozą Jacek.— Nie pozwoliłbym sobie na to względem nikogo, a zwłaszcza względem osoby poświęcanej.

Stała przed nim Firmina z towarzyszem. Spojrzeli na niego wzgardliwie a Maczug szepnął:

— Niech tatuś nie barłóży, bo dzieci muszą zamiatać.

— Ja nie jestem pańskim tatusiem, bom polak z dziada pradziada a pan nie bądź moim błaznem, bo ja sam umiem się rozweselać.

— Jak to zabawnie wygląda—zaśmiał się Maczug—gdy okraglaczek chce być kanciastym.

— Odczep się pan ode mnie—syknął Jacek—bo, jak mi Bóg miły, rozbiję ci cyferblat.

Przewodniczący:

— Pan Drygał syn ma głos.

— Wszystko, co tu było powiedziane, miało tę okropną, zresztą zwykłą na zebraniach wadę, że stanowiło starą, zjełczałą frazeologię. Nie usłyszeliśmy ani jednej nowej idei, ani jednego nowego słowa. Programy socjalistyczne, postępowe, nacjonalistyczne, ugodowe i t. d.—są to nie świeże chorągwie, ale stare wyblakłe łachmany. Tymczasem naród polski, jak każdy inny, żyje dniem dzisiejszym a myśli o jutrzejszym. Nad tym świeci gwiazda przewodnia, która nadaje kierunek woli zbiorowej. Tę gwiazdę powinien dostrzedz i umieścić sobie na czole poseł. Poszukajcie wokoło siebie człowieka z gwiazdą.

— Może lepiej, jak w Egipcie, czarnego wołu z białą gwiazdą

— O ile wiem—odparł ironicznie Cyryak—mamy wybrać przedstawiciela ludzi a nie bydła. Jaką naturę, jakie przymioty powinien posiadać ów człowiek? Według mnie może nim być tylko nieuleczalny melancholik, który zdołał utrzymać się zdala od wszelkiej polityki. Jedyną bowiem polityką takiego idealnego posła byłaby głęboka, milcząca melancholia.

— Synu mój—krzyknął Jacek—co ty mówisz? Chociaż jestem twoim ojcem i kocham cię, muszę wystąpić przeciw tobie.

— To mojego zdania nie zmieni, przeciwnie nawet...

— Najwłaściwiej będzie — przerwał przewodniczący — gdy panowie spór rodzinny załatwią w domu. Zużyliśmy już kilka godzin czasu na rozprawach i sporach bezpłodnych. Proponuję więc naprzód przegłosowanie pytania: czy ma być określona wspólna platforma polityczna wszystkich stronnictw i przedstawiony jeden kandydat na posła skoncentrowany?

Von de Pieleś:

— Nie godzę się na takie pytanie, które nie wskazuje stosunkowego udziału w koncentracji nierównych liczebnie partyj. Należy poddać głosowaniu zasady.

Skrzypień:

— Ze wszystkich, nieraz wyłączających się stronnictw, niepodobna zlepić związku. Połączyć się mogą tylko mające jakąś spójność.

Maczug:

— Robotnicy nie mają z wami nic wspólnego i pluja na wasz bigosik wyborczy.

Delikat:

— Jestem za koncentracją, ale za taką, która na czele swego programu postawi bezwzględne równouprawnienie żydów, i zabezpieczenie im tych przywilejów, które obecnie posiadają.

Von de Pieleś:

— I z dodatkiem, że będą mieli monopol tajemnego szynkowania wódki, pożyczania na 100% i handlu żywym towarem.

Delikat:

— W równouprawnieniu zawierać się powinno zapewnienie żargonowi tych samych praw, których używać będzie język polski.

Skrzypień:

— Zapomniałeś pan o zobowiązaniu chrześcian do święcenia szabasu.

Delikat:

— Zgadzam się na wniosek pański. Odnosnie zaś żydów, napływających do tego kraju ze wszystkich stron świata a zwłaszcza ze Wschodu, wprowadzić należy jedno ograniczenie, mianowicie że oni stają się obywatelami pełnoprawnymi dopiero po załatwieniu wszystkich formalności meldunkowych.

Dama z liliami:

— Byłoby to aktem wysokiej kultury i współczucia, gdyby chrześcianie w sobotę wdzielali chałaty. Śmiejecie się? Jestem do tych odruchów wstecznicstwa przyzwyczajona. Wywołałam nawet wczoraj gwałtowniejsze, gdy na pewnym zebraniu rzuciłam projekt założenia uniwersytetu żydowskiego, do którego mieliby wstęp także chrześcianie. Chociaż byście jednak umierali ze śmiechu, ja nie przestanę wołać: Za grzechy, popełnione względem żydów, padnijmy na kolana, bijmy się w piersi i błagajmy przebaczenia.

Von de Pieleś.

— Możeby pani już przestała nam grać na żydowskiej katarynce.

Przytułski:

— Znowu się namiętności rozwichrzyły. Wpadliśmy w wir. Panowie, bądźmy realni i zgódźmy się na koncentrację polsko-katolicką.

Weszli do sali służący Disharmonii, a jeden z nich rzekł donośnie:

— Proszę wyjść, bo o 8-ej zacznie się tu koncert, a my musimy jeszcze po państwu salę zamieść i wywietrzyć.

Wołania:

— Dopiero kwadrans po siódmej!

— Cóż to za chamstwo!

Ale służący nie zwracali na to wcale uwagi.

Przewodniczący:

— Musimy za chwilę opuścić salę; więc proszę głosować: czy ma być utworzona platforma wyborcza?

— W kwestyi formalnej — odezwał się Ospanat. Tyle jest różnic pomiędzy stronnictwami, że nie zgodzicie się wszyscy na żadną formułę polityczną. Czy nie rozsądniej przeto byłoby zejść zupełnie z gruntu politycznego i stanąć na prywatno-moralnym? Wtedy znajdziecie łatwo wspólną platformę, zawarowawszy np., że wasz poseł powinien być zwolennikiem nierobienia majątku, niezdradzania żon i mężów, niewyzyskiwania cudzej pracy, nieubiegania się o dochodne posady, niebrania łapówek i t. d. Bo tego niewątpliwie żądacie szczerze i to wykonywacie sumiennie wszyscy bez wyjątku. Gdybyście zaś nie znaleźli posła, wyznającego te

zasady, ofiaruję wam moją kandydaturę, która ma kilka ważnych zalet. Jestem adwokatem, czyli bronić mogę z zapałem nawet najgorszej sprawy; nie należę do żadnego stronnictwa, bo wszystkie tyle mnie obchodzą, co polowanie pajaków na muchy; nie namawiam ludzi do patrzenia w górę, ażeby nie dostrzegli dołu, który im wykopałem pod nogami; nadewszystko zaś nie deklamuję wzniośle.

Woźny.

— Proszę państwa wynosić się.

— Nie mamy już czasu na rozprawę a tembardziej na drwiny — rzekł przewodniczący. Proszę tedy poraz ostatni: kto jest za koncentracją i platformą wyborczą, niech podniesie rękę.

Ręce się podniosły, ale nie można ich było policzyć, bo w tej chwili zgaszono światła w sali.

Uczestnicy wiecu wśród głośnych i splątanych rozmów rozeszli się w ciemności.

VI.

Mniej więcej od lat dziesięciu, to jest od czasu, kiedy Jacek Drygał zaczął wznosić się z zamożności do bogactwa, zaprzestał wycieczek wieczornych, przykrytych rozmaitymi pozorami i wykrętami przed rodziną. Nie było jednak w tych rzekomych „sesjach“, „naradach u adwokata“, „czytaniach gazet w cukierni“ i tym podobnych symulacjach cnoty nic nadzwyczajnego, nic, na co by sobie nie mógł pozwolić średnio moralny obywatel a Cyrjak nie wzruszał wzdargliwie ramionami. Były to bowiem najczęściej odwiedziny u kobietek syreniego rodzaju — pół szwaczek lub subjektek sklepowych a pół-horyzontalek (jak nazywają francuzi), wysłania kilku butelek porteru z przyjaciółkami, latem podróż na saską Kępę z byłą służącą Drygałów i t. d. Ta ostatnia wyprawa zdarzyła się tylko raz, bo jej przykre zakończenie zniechęciło Jacka do powtórzeń. Mianowicie, usnąwszy w krzakach, został napadnięty i ograbiony przez rabusiów nie tylko z pieniędzy i wierzchniej odzieży, ale nawet z towarzyszek. Chociaż szczęśliwym trafem zna-

laż się policyant, który ujął jednego ze złoczyńców, Drygał uniesiony wspaiałością, nie chcąc młodzieńców kompromitować, zrzekł się prawa do skargi, błagał o niespisywanie protokołu, prosił tylko schwytanego winowajcę, ażeby odebrał od współników i oddał mu kapelusz i marynarkę, a nadto dał 30 k. za opłatę przewozu łódką. Przedstawiciel porządku publicznego uznał to żądanie za słuszne i umiarkowane, rabuś je sumiennie spełnił, a skonfiskowana towarzyszka przyjęła zakończenie sporu z wielkiem zadowoleniem. Było to dla opinii publicznej wielką szkodą, że ona nie dowiedziała się o tym polubownym układzie, tak szybko rozstrzygającym zawikłaną sprawę i wskazującym tak prostą drogę wyjścia z podobnych trudności położań, w których ludzie zwykle nie znajdują żadnej.

Obecnie tedy Jacek wrósł zupełnie w swoją rodzinę i chętnie nie się otaczał zwłaszcza przy kolacyi. Wtedy lubił dużo mówić i być słuchanym, co go pobudzało do używania wyrażeń coraz szumniejszych i cytat coraz bardziej niespodziewanych. Dziś zasiadło z rodzicami przy stole troje dzieci — bez Firminy. Jej brak uprzytomniał waśń, która zamąciła życie Drygałów i groziła dalszemi niesnaskami. Jacek, oprócz niemiłego wspomnienia publicznej sprzeczki z synem, miał kilka zmartwień, które mu popsuły humor. To też nastrój był podobny do dnia, w którym słońce blado i rzadko przedziera się przez chmury.

— Wyobraźcie sobie -- rzekł Jacek, otwiera-

jąc upust gniewnemu żalowi — że zebranie gminy, w której znajduje się nasza kolonia, wyznaczyło mi 100 rb. składki na budowę szkoły. Przecie ja mam tylko dwie włóki ziemi a co ważniejsza, nie będę ze szkoły wcale korzystał. Czy to nie jest śmieszne, ażeby uchwały Dumy, w której zasiadają najmędrsi i najzacniejsi obywatele, wymagały zatwierdzenia Izby wyższej, a uchwały zebrania gminnego, w którym uczestniczą głupi chłopci, były od razu prawomocne bez apelacji?

— Czy ojciec napewno wie, że tak jest? — zapytał Polikarp.

— Naturalnie.

— W takim razie trzeba obwinać karmelek trzyrubłową, dać pisarzowi a on od składki uwolni.

— Mylisz się.

— Wcale nie: Pisarz gminny jest wszechwładną potęgą. Jeśli on może kasować wyroki sądów, których nie wprowadza w wykonanie, zawieszać prawa, powszechnie obowiązujące, a nawet odmawiać pomocy ukazom, to potrafi przekreślić postanowienie gromady chłopskiej.

— Wierz mi, że się mylisz. Prawa, wyroki i ukazy on może unieważniać, bo ich nikt nie strzeże, ale chłopci dopilnują swoich uchwał. Szkoda na próbę trzech rubli i karmelka. Samowola chamów jest rzeczywiście oburzająca, ale i przepis, zmuszający obywateli do płacenia na to, z czego niekorzystają, jest niepojęty. Rozumiem podatek na utrzy-

manie sądu, kościoła, gminy, policyi, drogi, bo z tego korzystam; ale dlaczego mam składać tak dużą ofiarę na szkołę, kiedy ani moje dzieci, ani moje wnuki i prawnuki uczęszczać do niej nie będą? Jest to zupełnie tak samo, jak gdyby mi kazano przyczyniać się do utrzymania zboru ewangelickiego lub bożnicy.

— Powtarzam — wtrącił Polikarp — wszystkie niesprawiedliwości wyrówna łapówka. Nie doko-
na tego trzyrublowa, to dokona pięcio lub dziesięciorublowa.

— Powiem szczerze: tatuś jest niedobry — odezwała się Jolanta. — Gdyby chłopci mieli fabryki i kamienice, jak my, to by sobie sami zbudowali szkołę, a jeżeli są biedni, to co? Muszą żyć w ciem-
nocie?

— Ty dzieciaku wiele rzeczy jeszcze nie rozumiesz — napomniął córkę dobrotliwie Jacek.

— Och, tatusiu, to takie proste!

— Moi państwo, możebyście wybrali do rozmowy coś bardziej zajmującego — zaznaczył Cyryak.

Rzeczą bardziej zajmującą okazała się szynka, która pochłoneła uwagę i narzędzia mówne wszystkich. Ale Jacek nie mógł znieść w milczeniu drugiej dolegliwości.

— Stanowczo za dużo mamy w Warszawie pomników, które, bądź co bądź, są przedmiotami zbytku. Nie przeczę, że Chopin był znakomitym muzykiem, ale to obchodzi tylko tych, co grać umieją.

— Hyacuniu — rzekła Eufemia — nie przystoi tak mówić o wielkim geniuszu i do tego rodaku.

— Moja kochana, to mu wcale nie ubliża, że nie wszyscy mają uszy tak muzykalne, jak on.

— Co ci to jednak przeszkadza, że ludzie z takimi uszami chcą mu wystawić pomnik?

— Nie wtrącałbym się do nich, gdyby oni nie zwracali się do mnie.

— Kto i o co?

— Rozumie się — o składkę. Te niezliczone składki stały się plagą naszego życia. Z boku, z przodu, z tyłu, z góry, z dołu, w domu, na ulicy, w kościele, w banku, wszędzie i nieustannie widzisz rękę wyciągniętą po datek! I jaki datek! Żebrak zwyczajny zadowoli się groszem, a jeśli dostanie dziesiętkę, zmówi pacierze na twoją intencję i za twoją duszę do Trójcy Świętej, Matki Boskiej i świętego Józefa. Tymczasem żebracy społeczni skrzywią się nawet na rubla i zaczynają się uśmiechać dopiero od pięciu rubli, a dziękują od dwudziestu.

— Nikogo nie zmuszają i zbierają ofiary dobrowolne.

— Ładnie dobrowolne! Gdyby do mnie przyszedł po kweście stróż z naszego domu, jakiś urzędniczek, albo magazynierka, miałbym swobodę działania. Ale gdy mi się wtoczy do pokoju hrabina albo księżna w towarzystwie jakiegoś prezesa albo dyrektora — czy im można zupełnie odmówić? Człowiek tylko przemyśliwa, jakimby fortelem wykreścić się najtaniej. I to nie zawsze się uda. Na tego

Chopina przysła do mnie z kwestą Rzeczycka z Trudnopolskim. Zobaczywszy ich na progu, od razu domyśliłem się, że będę poddany ciężkiej operacyi. Pomimo, że tłumaczyłem się stratami w fabryce, niewypłacalnością lokatorów i nieurodzajem, hrabina tak się do mnie wdziękzyła a ordynat tak się oświadczał z przyjaźnią, że wydobyli ze mnie 25 rub.

— Mało! — zawołała Jolanta, która z zarumienioną twarzą przysłuchiwała się rozmowie

— Jeszcze mało? Co, miałem oddać kamienicę?

— Byłoby to bardzo ładnie. Pani Rzeczycka jest taka zacna, taka dobra.

— Ja mam za to zapłacić? Sfiksowała dziewczyna!

— Och, jakie to wszystko banalne! — ziewnął i przeciągnął się Cyryak.

— Powiedz mi, Femciu — zapytał Jacek — kiedy ty ostatecznie wyjedziesz z Jolatką? Miało to nastąpić zaraz po sprzedaży kwiatka na przytułek św. Korduli. Tymczasem upłynął już drugi tydzień, a wy nie myślicie.

— Jolanta prosi, żeby odwlec.

— Cóż to się stało?... Przecież tu l'as voulu Zorżyna Dandina. Zgaduję! Panience trudno wyrzec się pieszczotek... W klasztorze zakonnice codzień nie wycalują, a żadnego chłopca, któryby z gustem to zrobił, nie wpuszczają.

— Hyacyncie — rzekła Eufemia — nie wy-

pada do takiej kombinacyi wprowadzać własnej, młodziutkiej córki.

— Cóż w tem złego? Czy ty uważasz za nieprawdopodobne i nieprzyzwoite przypuszczenie, że Jolanta mogłaby się podobać jakiemuś młodzieńcowi i że on z zachwytem przycisnąłby swe usta do jej cudnej buzi?

✓ — Mój drogi, wiele rzeczy jest prawdopodobnych i prawdziwych, o których nie należy głośno mówić.

— Nie cenzuruj.. „*Preterea censeo...* Carthaginam delendam esse“. Jesteś-
my w swoim kółku. Tyle mnie robaków gryzie, że radbym bodaj na chwilę o nich zapomieć. A ty nie pozwalasz zażartować... Tak, Jolutku, gdybym nie był twoim ojcem i miał o połowę lat mniej, musiałabyś być moją, jeśli nie dobrowolnie, to gwałtem. Ospat twierdzi, że my wszyscy nie jesteśmy warci ciebie.

Eufemia zrobiła ruch niespokojny i widocznie powstrzymała się od jakiegoś słowa. Polikarp wzruszył ramionami.

— Czy państwo — ziewnął Cyryak — nie znajdziecie już dziś jakiegoś znośnego tematu?

— Nikt cię nie zmusza do słuchania naszych pospolitości — odparł urażony Jacek. — Tylu masz znajomych niepospolitych, więc idź do nich.

— Pójdę... ale jeszcze trochę zawczesnie.

— Czemu to Jolutka wcale się nie odzywa? Na zachwyty ojca wcale nie odpowiada? Przecie niedługo już go odjedzie...

Jolanta spojrzała na ojca rozszerzonymi żrenicami, zdradzającymi głęboko utajony, ale mocny ogień i rzekła stanowczo:

— Ja, tatuniu, wcale nie pojadę...

— A to nowina! — zawołał Jacek, podczas gdy Eufemia otworzyła szeroko oczy na córkę i spytała:

— Skądże ta nagła zmiana?

— Nie jest ona nagłą... — odrzekła Jolanta. — Walczyłam z sobą... nie mogę...

— Cóż cię odstręcza? — badała matka.

— Ból i trwoga.

— Wyłomacz się jaśniej...

— Sama myśl odjazdu sprawia mi straszne cierpienie... A przytem boję się odległego miejsca, obcych ludzi, klasztoru... Może później... teraz nie żądajcie, bo bym umarła.

— To przynajmniej coś niespodziewanego — bąknął Cyryak.

— Grymasy rozpieszczonej dziewczyny — dodał Polikarp. — Czy ci czasem hrabia nie zapachniał?

Jolanta zaczerwieniła się jak piwonia, spojrzała błagalnie na Polikarpa i szepnęła ustami, które drgały powstrzymywanym płaczem.

— Za co ty się pastwisz nademną?...

Zakryła twarz rękami, z pod których wybiekły ciche łzy.

— Doprawdy, zapowiada się coś nowego! — mówił Cyryak.

Jolanta jako najmłodsza wśród dzieci, z duszą, z której życie nie starło jeszcze puszkę świeżości, miła i dobra, była pieszczona przez rodziców i ubóstwiana przez służbę. Nawet bracia i siostra ją lubili, o ile im na to pozwalała tępa wrażliwość, zwyrodnienie lub hipnotyzacja ideowa. Rozszlochanie się dziewczynki, które przypisano głównie grubemu żartowi Polikarpa, mniej lub więcej wzruszyło wszystkich. Matka przycisnęła ją do siebie, objęła ramionami, całowała i uspakajała.

— No, niema znowu o co się tak zapłakiwać. Polikarp jest niegrzeczny, ale nie powiedział przecie nic tak bardzo obrażającego. Młodzi mężczyźni podobają się pannom — rzecz naturalna i zwykła.

— Jolutko — mówił przysunawszy się Jacek — popatrz no na ojca. Prawda, że tak pięknego mężczyzny nie widziałas?

Koncept ten chybił celu i nie rozśmieszył dziewczynki. Siedziała ona z zamkniętymi oczami, oparłszy głowę na piersiach matki.

— Pozostawmy je — szepnął Jacek do synów — ona przy matce się uspokoi.

— Ja pożegnam państwa do dnia, w którym złapany zostanie bandyta Pietrzak.

Jacek z Polikarpem usunęli się do sąsiedniego pokoju.

— Czy ty nie jesteś chora, Jolanto? — pytała Eufemia, głaszcząc głowę córki.

— Nie mam.

— Może cię spotkała jakaś przykreść u Rzeczyckich?

— Ach, nie. Oni są tacy delikatni, tacy dla mnie czuli.

— Moje dziecko, wytłomacz mi, dlaczego oni codzień cię zapraszają? Ani dla matki, ani dla syna nie jesteś właściwym towarzystwem...

— Gdyby mama nas widziała razem, nie wydałoby się to dziwnem. Hrabina tak mnie polubiła, że wątpię, czy byłaby czulsza dla własnej córki. Pan Andrzej także okazuje mi wiele sympatii. Teraz przyjechała do nich kuzynka w moim wieku, panna Zena Girycz, która sama się nudzi i prosi, ażeby z nią ciągle przebywała.

— Nic o tem nie wiedziałam, że masz tam towarzyszkę.

— Bardzo miłą... Pokochałyśmy się serdecznie... obiecała mnie odwiedzić.

— Powinna.

— Jest trochę niezdrowa.

— Czy to może ta panienska, którą podobno hrabina wybrała na żonę dla syna?

Jolanta drgnęła i spojrzała na matkę bolesnie.

— Chyba nie, mamusi. Naprzód, oni ciągle z siebie żartują, a przecie, gdyby się kochali, to by tego nie robili. Powtóre, pan Andrzej raz powiedział przy mnie, że... dotąd żadnej kobiety nie kochał. A on nie kłamie... Ja mu wierzę, jak sobie...

Eufemii coraz natarczywiej cisnęło się na usta pytanie, którem bała się zranić córkę, a które uważała za nieuniknione.

— Wyznaj mi, dziecko moje, z zupełną szcze-

rością i zaufaniem, że twoja odpowiedź zostanie między nami: czy hrabia Andrzej nie zdradza dla ciebie żywszego uczucia?

— Nie wiem, mamusi. Czasem zdaje mi się, że tak jest. Kilka razy mówił do mnie czule... i patrzył serdecznie. Potem jego wzrok ciągle mi stał w pamięci.

— A ty, Jolanto?

— Ja.. ja... jestem przy nim bardzo nieśmiała. I to od niedawna.

— Widzę, że ci się podobał a może i ty jemu. Dałby Bóg, ażeby wasza znajomość zamieniła się w miłość. Nie byłoby w tem nic nadzwyczajnego. Kobieta jest zawsze równa stanowiskiem mężczyźnie, który ją kocha, chociażby on stał jak najwyżej. Ale muszę się upewnić, że tak jest... Tymczasem bądź ostrożna... nie narzucaj się... Z wielkimi panami, jak z ogniem: łatwo się sparzyć i spalić... Głowę masz bardzo gorącą... Połóż się dziś wcześniej do łóżka.

Jolanta objęła matkę za szyję, uściśnęła mocno i długo, pocałowała kilkakrotnie i odeszła, ślaniając się, do swego pokoju.

Pomimo tajemnych obaw i przebłęskującej od czasu do czasu świadomości rzeczywistego położenia, usuwającego prawdopodobieństwo związku małżeńskiego między skromną mieszcanką a młodym hrabią, Eufemia z przyjemnością pograżyła się w tę myśl. Przedewszystkiem osiągnęła pewność, że Jolanta niema żadnego udziału w zuchwałym za-

miarze Ospata poślubienia jej; powtórę wyrwała ze swego serca bolesny cień zazdrosnej niechęci do córki: potrzebie zyskała nadzieję, że okrutny, ciągle jednak nad nią panujący kochanek pozostanie przy niej; wreszcie obraz Drygałówny, połączonej z Rzezyckim, lechtał jej wielkoskrzydłą, wysoko wzlatującą wyobraźnię. Widziała ona w nim poezję, której zawsze szukała w życiu.

Podczas tych idealnych rojeń Eufemii w obocznym pokoju Polikarp pokonywał resztki oporu ojca w zupełnem odstąpieniu mu fabryki. Byстрым wzrokiem sępa przemysłowego dostrzegł on w niej tłusty interes i pragnął ją posiąść, zanim ojciec się zorientuje w ciąglem rozszerzaniu się pola zbytu jej wyrobów.

— Z wielu drobnych spostrzeżeń domyśliłem się że robotnik Kuchczyński jest w stosunkach z policją. Wołam go tedy i mówię: Ja także chciałbym wiedzieć to, co pan donosisz rewirowemu. Pana to nie obchodzi — odrzekł — co my czytamy i do jakiej partji należymy, ale ja mogę panu również donosić, co dotyczy pryncypałów. Jeden z robotników chodzi do jakiegoś mistrza na naukę agitacyi. Ten mistrz jest okropnie bojaźliwy, spotyka się ze swym uczniem tylko w parku Praskim, gdzie mu wbija w głowę socjalistyczne gwoździe. Chłopiec jest już nieźle wytresowany. Gdy zacznie wyrzucać z gęby słowa: nadwartość, materyalistyczne pojmowanie dziejów, czystość klasowa proletaryatu i tak dalej, to jakby kulami przestrzeliwał mózgi ro-

botników. Zdaje mi się, że on tego dobrze nie rozumie, ale gada świetnie. Z tego ojciec widzi — dodał Polikarp — że nasza fabryka jest mocno podgrzewana i że się wkrótce zagotuje.

— Ty ją będziesz ostudzał, bo ja nie mam do tego ani zdrowia, ani sposobów. Dawniej umiałem z robotnikami postępować: to byli często leniwczy, złodzieje, szachraje, ale to byli ludzie. Dziś są to dzikie zwierzęta, które chcą fabrykanta rozszarpać i pożreć.

— Mnie jest bardzo trudno ich poskramiać, bo po za mną oni widzą ciągle ojca, który jest dla nich wyższą instancją. Wczoraj zagroziłem jednemu, który ciągle kręci papierosy i próżnuje, że go odprawię. „Pan mnie nie przyjmował, to i nie odpraw — odburknął zuchwale. — Dla nas pracodawcą jest ojciec pański“. Taak! — potwierdzili inni. Im się nie podoba moja silna ręka, więc się odwołują do ojca. I tak będzie ciągle.

Jacek się zamyślił, długo chodził po pokoju, wreszcie stanął i zapytał:

— Ile według ciebie jest warta fabryka?

— 40,000 rb.

— Żartujesz. Ona mi w tym roku da na czysto 10,000.

— W tym roku! Dwa duże obstalunki rosyjskie powiększyły dochód, ale to może już nie powtórzyć się nigdy. Budynek stary, maszyny zniszczone, wszystko się wali, rozpada... Chcąc ją uczynić sprawną, odpowiadającą dzisiejszym wyma-

ganiom techniki, trzeba by w nią włożyć co najmniej 20,000 rb.

— Gdybym ci ją odstąpił, skądże byś wziął na poprawę?

— Ojciec by mi pożyczył na niski procent.

— Policzmy. Cały mój majątek bez fabryki oceniam na 260,000 rb., z fabryką 300,000. Na każde więc z was dzieci po naszej śmierci przypadnie 75,000. Czyli należałoby ci się 35,000, a jeżeli dopożyczę 20,000, pozostałoby jeszcze dla ciebie 15,000. Zgadzam się, ale ponieważ my jeszcze z matką żyjemy, więc z fabryki i od pożyczki będziesz nam płacił 5,000 rb. rocznie.

— Gdyby ojciec zrobił taki układ z kimś obcym, nazwałbym to dobrym interesem, ale z synem — byłoby to zdrzectwo. Ojciec liczy 5 proc. od 2,000 rb. i 4,000 rb. z fabryki, to znaczy, że w zwykłych latach oddam cały dochód, a w niepomysłnych — dołożę. Za takie dobrodziejstwo dziękuję.

— Ileż chciałbyś płacić?

— Razem — najwyżej 2,000 rb.

— Za mało.

— Ażeby zaś ojciec nie był napastowany przez inne dzieci o podział majątku, radziłbym sprzedać mi fabrykę aktem rejentalnym.

— Byłaby to symulacja zbyt przejrzysta a przytem dla mnie niebezpieczna: pozostałbym na twej łasce.

— Czy to ja jestem oszust? Jestem takim, jakim mnie wychowaliście, a przecie chyba nie wszczepialiście we mnie szachrajstwa.

— Ja jeszcze nad tem zastanowię się i odpowiem ci później.

— Oby nie zapóźno.

Pożegnawszy ojca, wyszedł.

Jacek doznawał szczerzej obawy zawierzenia synowi. Znał on bowiem Polikarpa, lekceważącego pedanterię w moralności, a w sobie samym czuł leżący kłębuszek pokus, którym nigdy nie mógł się oprzeć, gdy mu obiecywały korzyść materyalną. Nie uświadamiając sobie tego całkowicie, rozumiał, że na miejscu syna starałby się wyprowadzić w pole ojca, a w każdym razie swój udział spadkowy powiększyć z możliwą ujmą dla reszty rodzeństwa. Czemu Polikarp miałby być lepszym, bardziej sentymentalnym? Z drugiej strony Jacek byłby rad pozbyć się coraz kłopotliwszej fabryki i osadzić na trwałem stanowisku syna, który za długo był przy czepem ojca.

Z żoną Jacek zwykle nie naradzał się w interesach, nie dlatego, ażeby ona czuła wstręt do czynów moralnie wątpliwych lub nawet nagannych, ale dlatego, że musiała codziennie wyrzucić z siebie pewną, dość znaczną ilość idealistycznych frazesów, którym zwykle otwierała upust przy zamiarach męża, wymagających całkowitego lub częściowego mroku. Z faktami spełnionemi godziła się ona tak łatwo, że włożyłaby na szyję bez skrupułu sznur pereł, nieuczciwie zdobytych, ale deklamowałaby niezmordowanie, usłyszawszy, że one mają być kupione za cenę niższą od rzeczywistej wartości. Jacek o tem wie-

dział i uwiadamił żonę tylko o tem, co zrobił. Tym razem nie posiadał zwykłej swojej tęgości, był jak gdyby rozklejony i pragnął, ażeby go ktoś radą skleił.

Ciekaw jestem—rzekł do wchodzącej Eufemii—ak by ci się wydał projekt Polikarpa, ażeby mu odstąpił fabrykę i pożyczył 20,000 rb. na wyrestaurowanie jej...

— Na takich sprawach—odparła—nie znam się, ale to wiem, że Polikarpowi nie powierzyłabym się bez zabezpieczenia. Przykro to mówić o własnem dziecku, ale, niestety, trzeba przyznać, że on za mało się wacha w wyborze dróg, które go prowadzą do celu. Bezwzględnie nie ufaj mu. Byłoby to szkodliwe nawet dla niego, bo pobudziłoby go może do nadużyć.

— Jak się ma Jolanta?

— Zdenerwowana trochę; teraz śpi.

— Czy rzeczywiście hrabicz jej w główce zamącił?

— Zamącili sobie oboje.

— Więc i on? To dobrze... Może z tego coś być... Nikt się nie zdziwi. Dziewczyna jak róża bez kolców... Takiej nie znajdzie, chociażby przetrząsł całą arystokrację. Bądź co bądź wyjazd do klasztoru trzeba odłożyć.

— Zobaczymy... Gorszy kłopot z Cyryakiem.

— Cóż takiego?

— On poprostu bzikuje. Czy uważałeś, że odchodząc, pożegnał się z nami do czasu, kiedy będzie złapany Pietrzak?

— Co to znaczy?

— Nowy pomysł. Umówił się z czterema kolegami, że zaczną dziś grać w bridge'a i nie przestaną dopóty, dopóki policya nie schwyta tego bandyty.

— Zwaryował! A jeśli nie schwyta nigdy?

— Zaręczają, że gry nie przerwą.

— Ciekawa rzecz z czego będzie żył i czem płacił przegranę. Ja go także zawiadomię, że wtedy mu dam pieniędzy, kiedy Pietrzak znajdzie się w więzieniu.

— On to przewidywał—i wiesz co zapowiedział? Że będzie wystawiał weksle i fałszował na nich twoje podpisy.

— Ten chłopiec zbliża się do przepaści... Mój Boże, a ja łudziłam się, że on naszą rodzinę okryje blaskiem! Bo nawet nieprzyjaciel mu nie zaprzeczy genialności. Bolesny zawód! I co ja mam począć? Wyrozumiałością pomagać mu do upadku, czy surowością wtrącić do kryminału? Niedługo będę krzyczał jak Makbet: las idzie!

— Co za las?

— Rozmaite nieszczęścia...

— Za duży wyraz na zmanierowanego młokosa, który, strzegąc się snobizmu, wpada w idyotyzm.

— Ach, moja droga, jak to dobrze, żeś wspomniała słowo, które mnie dręczy. Wiesz, że namięt nie lubię wyrażenia z obcych języków a zwłaszcza łacińskiego. Ale denerwują mnie zawsze w polskim wyrazy zakończone na „izm“. Nigdy bowiem nie mogę ich dokładnie zrozumieć a zawsze, dopóki ich

nie pojme, wydają mi się niebezpieczne. Socjalizm, komunizm, masonizm, altruizm... wszystko to są brzmienia złowrogie.

— A chrześcijaństwo?

— Każda reguła gramatyczna ma wyjątki. Ale mnie chodzi o co innego: powiedz mi, kochanie, co znaczy wyraz „snobizm“. Użyłem go już kilkakrotnie, ale nie jestem pewien, czy właściwie.

— Mój Hyacencie, czy to nie wstyd, ażebyśmy wtedy, kiedy każde z naszych dzieci spada nam na serce wielkim ciężarem, zastanawiali się nad znaczeniem cudzoziemskich wyrazów?

— Prawda, masz słuszność. Zamiast płakać, jak król Lear, ja gramatykuję. Ale ostatecznie co zrobić z Cyrykiem?

— Czekajmy.

— Wiesz, użyję fortelu: zawiadomię go, że ty jesteś ciężko chora.

— On i to przewidywał. Gdyby kto ciężko zachorował w domu—powiedział mi—przyjdę na chwilę, podczas przerwy, kiedy będę wychodzący w bridge'u. Ale uprzedzam, że dłużej nie zabawię.

Drzwi z trzaskiem otworzyły się, wszedł Cyryk.

— Nic mi się nie wiedzie. Od miesiąca nie miałem jednego mocnego przeżycia. Pietrzak złapał! Nawet nie skończyliśmy partyi.

VII.

Hrabina Rzeczycka była prawdziwą opatrnością przytułku św. Korduli. Bo chociaż—jak przystało Opatrzności—nie dała mu nigdy własnego rubla, ale umiała z wielką zręcznością wyciągać ofiary z kieszeni wyższego i średniego mieszczaństwa, które barykadując się skąpstwem przed zwykłymi natrętami kwestarstwa, otwierało na oścież swe kasy przed tą czułą i uprzejmą panią. Zaledwie zebrała obfity plon z ulicznej sprzedaży kwiatka, postanowiła urządzić w swym ogrodzie przy pałacu niezwykłą zabawę dobroczynną—maskaradę dzienną na dochód zakładu. Wszyscy demokraci, wyrabiający lub zbyszający towary, zajmujący posady rządowe i prywatne, leczący lub procesujący ludzi, topnieją jak lód w słońcu pod blaskiem arystokracji. Nie jest wcale rzadkością radykał, który gardzi książętami, dopóki się z nimi nie zetknie; wtedy zgina się bardzo elastycznie, uśmiecha się bardzo wdzięcznie a potem, o ile może najczęściej, wtrąca do rozmowy z każdym: zapewniał mnie o tem... powiedział mi... książę X. Rozkupiono też biletów daleko więcej, niż mógł wygodnie pomieścić osób ładny parczek Rzeczyckich,

wonny kwieciami i chłodzący cieniem drzew. Tłum składał się prawie wyłącznie z tej masy ludzkiej, która wypełnia ogromną większość każdego społeczeństwa miejskiego: z gapiów, próżniaków i modnisiów. Nie wiadomo, co by tego dnia wybrała elegancka pszczołka, wysysając miód z życia: nową suknię, czy bilet na maskową „garden party“, o której wszystkie dzienniki pisały przez dwa tygodnie.

Według programu zabawa rozpoczęła się o godzinie 6 po południu i miała trwać do ukazania się gwiazdy Wenery. Takie oznaczenie terminu wywołało powszechny zachwyt: patronka miłości bowiem posiada najwięcej czcicieli, spodziewano się przytem, że dobra bogini dla przedłużenia wieczornych upoiń wejdzie na niebo z pewnością później, a może odsłoni się dopiero rano jako Jutrzenka... W każdym razie swoim różowym światłem nie rozjaśni tak dalece cieniów ogrodu, ażeby w nich nie ukryły się tajemnice błogosławionych przez nią rozkoszy.

O godzinie 7-ej było już bardzo rojno i gwarno. Z tłumu wyłoniły się odosobnione pary, w których zamaskowane kobiety używały do syta rzadkiej przyjemności mówienia szczerze i napastowania mężczyzn otwarcie. Jedne, już porzucone, zjadliwie się śmiały; drugie, jeszcze broniące się słabym oporem, zdobywały sobie nieopatrznie prawo do przyszłej zemsty. Od drzew bił zapach, od ludzi—woń namiętności.

Chociaż maskarada wyzwala człowieka tresowanego z pęt banalności, nie może odrazu manekina

zamienić na istotę żywą. Więc w znacznej części to, co na niej mówiono, należało do owego znanego szabru, którym są ubite najszersze drogi stosunków ludzkich.

Tu i owdzie wszakże można było usłyszeć wyrazy, jeśli nie głębokie lub dowcipne, to w każdym razie charakterystyczne.

Przejdźmy się po ogrodzie.

— Czy kocham męża? Średnio. Ale przepadam za lekarzami. Od trzech lat gdziekolwiek jestem, udaję się kolejno do wszystkich po radę na tę samą chorobę. Rozumie się i u ciebie byłam. Każdego proszę, ażeby mi nie tylko przepisał kurację, ale również szczegółową dyetę i sposób życia. Zebrałam dotąd 157 recept i nie ma między nimi dwu jednakowych. Te ciekawe dokumenty, świadczące o waszej bladej, pokazuję znajomym. Odczytując je, śmiejemy się z was, jak z najweselejszej farsy.

— Przyznaj się, maseczko, że jakiś lekarz porzucił cię w chwili, kiedy miałaś dla niego najwyższą gorączkę.

— Mylisz się.

— Bynajmniej. Bez tego powodu nie zawzięłabyś się tak na całe nasze plemię. Co do różnicy zaś w receptach, nie masz racji. Spróbuj popieścić się ze 157 mężczyznami a zobaczysz, że każdy zrobi to inaczej, chociaż każdy poprawi ci zdrowie.

— Głupi jesteś.

— Nie gniewam się, bo wiem, że w języku kobiet mężczyzną głupim nazywa się mądry.

— Teraz marzę tylko o tem, ażeby zobaczyć toreadora w walce z bykiem. Wyobrażam sobie jaki on musi być piękny, dobrze zbudowany...

— Dobrze zbudowany—rozumiem, ale dlaczegoż ma być koniecznie piękny?

— Czyż to jedno z drugim nie wiąże się ściśle?

— Ach tak!

— Tak, panie. My jesteśmy klasyczne grezynki.

— Od ilu też funtów zaczyna się według gustu pani klasycyzm mężczyzny?

— To, jak i brutalstwo, nie zależy od wagi.

— Czy cię obrażam, maseczko?

— Mnie—nie, ale nas. To wasz nałóg. Co zaś do piękna fizycznego, to wy, mężczyźni, jako posagowcy, prawie zatraciliście jego odczucie. Nawet jako nabywcy ciała zdradzacie brak odpowiedniego zmysłu. Dla was piękna żona—to kobieta bogata, a piękna utrzymanka—to zalotnica głośna. Pomimo przechwałek, nie znacie się wcale na kobietach, jak samcy zwierząt nie znają się wcale na samicach. Każda dla nich jest równie dobra. Natomiast my zachowywałyśmy wrażliwość na piękno. Jestem przekonana, że zwycięzców na odtworzonych w Szwecyi igrzyskach Olimpijskich umiały należycie ocenić tylko kobiety. Mężczyźni traktowali ich jak maszy-

ny, mierzyli sprawność ich nóg i rąk. Nie wiedzieli wcale, jak najwspanialszy z tych bohaterów wyglądał, tylko obliczali dokładnie i porównawczo, z jaką szybkością przebył oznaczoną przestrzeń. Ale po co ja to wszystko mówię panu, który z całego rodzaju niewieściego wybrałeś sobie 10,000 rb. posagu? Bądź zdrów nudny fraku!

— Przepraszam, że nieznajoma zaczepiam. Pan podobno był w Rzymie?

— Byłem.

— Czy pan przypadkiem nie trafił na pogrzeb kardynała?

— Dlaczego pani o to pyta?

— Bo ja oddałam niedawno swoją rękę człowiekowi, którego niebardzo kochałam, z warunkiem, że mnie zawiezie na pogrzeb kardynała. Jak chowa ją biskupa, widziałam. Bardzo pięknie. Ale kardynała to zapewne bajecznie!

— Mogę panią objaśnić. Naprzód idzie pięćdziesiąt tygrysów z cielećkami w gębach. Za nimi tyleż wielbłądów pokrytych, zamiast sierścią, skórkami brzoskwiń. Potem stu osłów ryczy w trąby, które trzymają przed nimi młodzieńcy, mający u ramion po jednym skrzydle. Dalej idą na rękach, z nogami wzniesionymi do góry, wszyscy rektorowie uniwersytetów z całej Europy...

— Co znowu!

— Dalej 100,000 kanoników sunie się na wrotkach..!

— E, pan drwi sobie ze mnie... To niegrzecznie...

— Gdzież ja bym śmiał, szanowna pani! Pogrzeb kardynała jest czemś tak nadzwyczajnem, że tylko ci mogą uwierzyć w jego pochód, którzy go widzieli własnymi oczami. Niech pani koniecznie jedzie, gdy się nadarzy sposobność, i niech pani nie ustąpi mężowi.

Młody Rzeczycki do przyjaciela:

— Nie kapryś! Nic nie szkodzi od czasu do czasu wziąć „*bain de multitude*” — jak mówi Beaudelaire. Nazwij to sobie zresztą „*un brin de rigolade*”... Minister Turkuł, przysłany do Warszawy, zakupywał ze złotą młodzieżą cały bufet „Srebrnej sali”, resursy służących, kazał gasić światła i przewodził zabawie. Mój stryj widywał go nieraz w suterenowych sklepikach, leżącemu na stole i flirtującego z ładną dziewczyną...

— Omal nie zapomniałem cię zapytać. Szep-tano sobie wczoraj w klubie, że nie przychodzisz, bo cię odciąga jakaś rusalka z mieszczańskiego stanu. Co to takiego?

— „*Une de ces petites cailles qui se mangent sur canapé avec beaucoup de baisers autour*”.

„*Beaucoup de baisers*” świadczy, że jest trochę sentymentu z twojej strony.

— Warta.

— Czy jest tutaj?

— Po części to dla niej. Mama spłotła moją przyjemność z pożytkiem św. Korduli.

— — — — —

— Wszystko mi jedno, czy mnie znasz, czy nie znasz, ja w każdym razie kolacyi ci nie zafunduję; bo nie tylko jestem goły, ale bez nadziei i z humorem psa wściekłego.

— Cóż cię tak usposobiło?

— Wyobraż sobie... a chociaż byś mnie po raz pierwszy widziała, łatwo sobie wyobrazisz, co następuje: reszta mojego życia i radość moich wierzących—obie te wagi wisiały na jednym sznurku, na nieuleczalnej chorobie mojego bezdzietnego wuja, którego jestem a raczej byłem jedynym spadkobiercą. Co prawda, nigdy nie podpierałem tego mojego prawa żadną zasługą a nawet kilka razy posłałem wujaszкови do zapłacenia moje weksle ze źle naśladowanym przeze mnie jego podpisem. Ale na-przód mogłem przecie uważać jego majątek za mój własny a powtórę miał mój kuzynek w głowie zajączki, do których zaliczałem słabość dla mnie. Po długich cierpieniach wreszcie umarł i całe swoje mienie zapisał — zgadnij duszko najdomyślniejsza komu? Nie zgadniesz!... Kawalerom—ojcom, brunetom, wylegitymowanym szlachcom powiatu hrubieszowskiego. Kawalerem jestem, ojcem,—od biedy udowodniłbym, ale ani brunetem, ani hrubieszowiankiem, czyli, że nie dostanę z legatu nawet na wykałaczkę do zębów. I ja nie mam się złościć, mam słuchać paplania masek?!

— Prawda, mój drogi. Żal mi cię bardzo. Jeżeli puścisz się na loteryę, wezmę jeden bilet i zrzeknę się wygranego fantu. Dobrze?

— — — — —

Jacek Drygał, rozpromieniony, prowadził pod rękę dwie zamaskowane, tęgie kopuły, którym mru-
czał do uszu tłuste słówka.

One się śmiały, jak waltornie.

— Być ukrzyżowanym między dwiema ładnemi niewiastami, jak między Scyllą i Charybdą — to przyjemne męczeństwo.

— Chybabyś pan wolał być ukrzyżowanym z jedną?

— Ma pani dobrodziejka najświętszą rację! Nie spostrzegłem się. Jak to zaraz znać wesołe doświadczenie,

— To wskazuje prosta logika, bez doświadczenia, którego panu chyba nie brak.

— O złośliwal... Tylko logiki mi brak! Zgadza się, bo gdybym ją miał, tobym przecie nie chodził z dwiema paniami, ale z jedną i nie po głównej alei ogrodu, ale po bocznej. Stało się, nie opuszcze żadnej, zwłaszcza że mi to daje przedsmak haremu.

— Dlaczego?

— Bo tylko sułtan może przyciskać do siebie jednocześnie dwie kobiety, jak ja w tej chwili. Ach, ze wszystkich godności na świecie najbardziej pragnąłbym być sułtanem.

— Chyba nie teraz?

— Pani mnie uważa za *quantité né-*

g l i g e a b l e... Gruba omyłka! Ja jestem tak młody, że mógłbym być swoim własnym synem. Panie patrz na moją łysinę?... Proszę mi powiedzieć, na co włosy są potrzebne dla okazania młodości? Jest to przeżytek zwierzęcy, który już golimy nawet na głowie. Dzisiejsza młodzież prędko się zestarzeje, nie myl!... Ja należę do pokolenia zdrowego, jędrnego żylastego, którego żadna choroba nie potrafi nadgryźć i na którym śmierć wyłamuje sobie zęby.

— Pan nigdy nie chorował?

— Kilka razy zasłałem krótko i przyzwoicie. Panie znają moje dzieci? Okazowe produkty — co? Młodszy trochę zacherlał, ale to z pracy i oryginalności.

— Panie Froszblum, co pan tu robisz?

— Dlaczego pani nazywa mnie Froszblumem?

— Bo pan tak wygląda.

— Mylisz się, masko, jestem Wierzba-Wikliński, obywatel ziemski z Mokrej Wólki.

— To pańska matka pochodziła z Froszblumów...

— Mylisz się, masko, moja matka była Gryczyńska.

— Jeżeli nie matka, to babka, prababka, praprababka, może jeszcze odleglejsza babka, w każdym razie jakaś antenatka pańska wyszła z Froszblumów.

— Jeszcze raz mylisz się, masko. Słowo honoru daję, że jestem czysty szlachcic herbu Przyszwa.

— To skądże u licha wzięłeś pan taki palestyński nos?

Do Wierzby-Wiklińskiego nachylił się jakiś osobnik, którego uszy uciekały od głowy, nos od twarzy, a stopy od nóg — i szepnął:

— Pan potrzebujesz jej tylko powiedzieć, że zawołasz stójkowego, a ona się zaraz odczepi.

— Idź no sobie asan do wszystkich dyabłów ze stójkowym! W co ja tu wpadłem?! Ta mnie bierze za żyda, ten mi nastrecza policyanta... To ma być zabawa czysto arystokratyczna! Tylko jeszcze zdechłego konia położyć na stół i zasiąść koło niego z nożami i widelcami. Tfu! Gdzie ta maska? A! Moja pani, za co mi wyrządziłaś taką przykrość?

— Przepraszam, serdecznie przepraszam. To był żart, którego tak żałuję, że pocałowałam pana w skrzywdzony nos.

— To znowu nie wypada w przyzwoitem miejscu, ale rękę podać mogę.

— Chętnie, Augustynku...

— Ja nie Augustynek, ale Onufry od urodzenia.

— Dobrze, Onuferku, podaj mi swoją prawicę i przyciśnij mocno moją lewicę.

— Niech ojciec wsunie mi niepostrzeżenie w kieszeń dziesięć rubli — rzekł kątem ust Cyryak Drygał do Jacka.

— Na co?

— Powtarzam, włożyć mi zgrabnie dziesięć rubli.

— Ale na co?

— Dosyć tego głupiego pytania! Dziecko moje oddaję na garnuszek i muszę zapłacić za pierwszy miesiąc.

— Rozumie się, żartujesz.

Wetknął synowi do kieszeni paperek bardzo widocznie. Cyryak odszedł do oczekującej go w pobliżu kobiety.

— Przepraszam — rzekł. Więc mówisz, że masz sytuację bez wyjścia? Nie wyobrażam sobie.

— No, na przykład okręt rozbija się na morzu i tonie...

— Może nadpłynąć drugi i uratować całą załogę.

— A jeśli nie nadpłynie?

— Zapewne... Wymień mi jednak taką sytuację, z której nie byłoby bezwzględnie żadnego wyjścia.

— Jesteś tajemnie u cudzej żony... Niespodziewanie wchodzi mąż...

— Biorę go za kark, odrzucam na bok...

— A jeśli on ciebie weźmie za kark, czego przy twojej postawie dokona bez trudu, i ściśnie cię tak, że ci oczki na wierzch wyleżą; ty go będziesz błagał o litość, dopóki nie wydasz ostatniego tchnienia. Gdzie tu wyjście?

— To nie jest przykład, bo człowiek martwy nie może wyjść, chociażby leżał na gościńcu publicznym. Mówię o żywych...

— Bardzo mnie to cieszy, że umiesz wypro-

wadzać z ciężkich kłopotów, bo właśnie w tym celu cię zaczepliłam.

— Daruj, moja droga, ale na maskaradzie nie myślę udzielać rad z wyjątkiem jednej — jak najprzyjemniej przepędzić dzisiejszy wieczór.

— I o tem pomówimy — później. Tymczasem co innego. Poinformowano mnie, iż jako prezes bardzo wpływowego Towarzystwa, posiadasz znaczenie i stosunki w teatrze — czy to prawda?

— Tak. Gdybym chciał, wszystkie aktorki zaofiarowały by mi swoje względy.

— Mnie chodzi o operę, a raczej o jej dyrekcję.

— Ile mi się podoba, tyle jutro mogę w niej mieć przyjaciół.

— W takim razie nie będę dłużej zachowywała mojego incognita... Jestem Szpileska.

— Ach! Bardzo mi przyjemnie.

— Pan zauważył, jak niegodziwie obeszła się ze mną krytyka tutejsza. Śpiewałam w Bibrich na koncercie; sprawozdawca miejscowego dziennika, jeden z najpoważniejszych znawców w Europie, nazwał mnie skowronkiem, ogłaszającym wiosnę... Niech pan się przekona, mam przy sobie wycinek...

Wyjęła z torebki i podała okropnie zmięty kawałek zadrukowanego papieru.

— Przeczytam w osobnym gabinecie — odrzekł Cyryak — w którym będzie pani łaskawa zjeść ze mną kolację?

— I owszem... Daremnie odgaduję, za co ci krytycy warszawscy tak się uprzedzili do mnie... Bo

żeby to zrobiło kilku, którzy są protektorami zazdrosnych artystek, to bym jeszcze rozumiała; ale wszyscy bez wyjątku — to wprost niepojęte! W tem musi być jakaś intryga.

— Zbadamy — odezwał się Cyryak znacząco

— Niech pan tę sprawę wyświeтли i pomoże mi — błagała wzruszona Szpileska, a ja panu odpłacę całą wdzięcznością, na jaką tylko kobieta zdobyć się może.

— Nie ręczę za wyniki, ale że poruszę wszystkie stosunki, jakimi rozporządzam, to może pani być pewna. A teraz chodźmy co zjeść i roześmiać się.

— Jestem przyjaciółką twojej siostry, dobrze ci zyczę, więc radzę: dopóki jesteś jeszcze młody, zmień zawód.

— Czy to tak haniebne zajęcie, według ciebie, leczyć zwierzęta?

— Ba! Żeby to leczyć! Jestem starą panną, chowam psy, koty, ptaki, kocham je bardziej, niż ludzi, więc nie lekceważę, przeciwnie, uważałabym za dobroczynię tego, ktoby je ratował w chorobie. Ale wy wcale tego nie umiecie, wszystko inne udaje wam się lepiej... a zwłaszcza świetnie gracie w karty i robicie różne ułatwienia na posadach urzędowych. Widziałam was przy koniach, bydło, świniach, drobiu — zawsze staliście bezradni, a nawet niechętni do badania. Doświadczwszy waszych usług, doszłam do przekonania, że najniepo-

trzebniejszą istotą na świecie jest weterynarz. Jeżeli macie pozostać tem, czem jesteście, to lepiej zamknąć wszystkie wasze szkoły i przeznaczyć je na kształcenie zwierząt. Tresowany pies jest daleko mądrzejszy, niż najuczeńszy doktor weterynaryi. Powtarzam, porzuć pan ten oszukańczy zawód, dopóki jesteś prywatnym. Bo jak zostaniesz powiatowym, to będziesz pracował tylko nad tem, ażeby zostać gubernialnym i doskonale poznać sposoby surowego stosowania przepisów bez łapówki i zręcznego omijania ich z łapówką. Umyślnie tu przyszedł, ażeby ci to powiedzieć szczerze pod maską.

— Czy dużo, masieczko, straciłaś Azorków, po których nosisz żalobę w sercu, a gniew w wątrąbie?

— Straciłam wielu, ale żadnego z nich nie leczył konował. Umarły własną śmiercią, więc cię ostrzegam bez osobistej urazy do twoich kolegów, którzy co najwyżej są zdolni do obdzierania zdechłych zwierząt ze skóry. Bądź zdrow i rozważ moje słowa.

Zasunęły się pierwsze mroki wieczoru. Rozmieszczone po drzewach kolorowe latarki chińskie otaczały się małemi krążkami jasności. Potrzebujący gęstych cieniów, mieli zapewnioną osłonę. Przewidziała pocziwa hrabina, że ten warunek zabawy będzie przez wielu błogosławiony i że gdyby ją zechciała powtórzyć na korzyść św. Korduli,

może bez ryzyka powiększyć cenę biletów i ściągnie tłum liczniejszy. Znalazła obfite źródło pewniejsze, niż kwiatek, który już zaczął się wyczerpywać.

Wraz z nocą ukazały się jej śmy: artyści, subjekci handlowi, literaci obojga rodzajów. Reporterzy zdumieni się imponującym skutkiem szczęśliwego pomysłu hrabiny i ich „wzmianek”. Nie wątpili, że musi w jakiejś formie wyrazić im swą wdzięczność. Wysłali natychmiast do swych redakcyj entuzjastyczne notatki dla pomieszczenia w numerach porannych, czem zaciekawieni ich towarzysze wyższej rangi, kierownicy rozmaitych działów, pośpieszyli na zabawę. Ponieważ wejścia sprzedawano ciągle, więc napłynęło z ulicy wielu ciekawych, poszukujących nowej rozrywki lub nowej kieszeni.

— Dobry wieczór, Józik.

— I ty tutaj?

— Ja wszędzie, gdzie się bawią. Mój kochany, czy ty mógłbyś na chwilę zapomnieć, że byłam twoją żoną, która cię trzymała w cierniowych objęciach, że jestem z tobą rozwiedziona, że ci mimo wolnie zepsuję niejedną chwilę gorzkim wspomnieniem — czy mógłbyś o tem wszystkim zapomnieć a pamiętać jedynie o tem, że jestem kobietą piękną, której warto wiele przebaczyć i wiele poświecić?

— A do jakiej sumy ma się wznieść to przebaczenie i poświęcenie?

— Niewielkiej: potrzeba mi koniecznie dziś stu rubli.

— Nie pytałem jako mąż, ale zapytam jako znajomy: na co?

— Szkoda, że zatracasz swój dawny, ładny zwyczaj dyskretnej hojności, zwłaszcza że powiedziałam ci sama. Mój malarz nie ma ram do obrazu i butów do pójścia na wystawę.

— Żyjesz z malarzem? Sądziłem, że z bankierem...

— Dałam sobie kilkomiesięczny urlop od obrzydliwości. Używam sielanki, napełnionej szczerą miłością i biedą. Mój chłopiec ogromnie mi się podoba, a co najważniejsza jest bardzo wrażliwy na piękność kobiecą, umie ją wskazać, rozebrać i ocenić. Codzień przez kilka godzin wyklada mi moje wdzięki, których nie dostrzegłam nawet w połowie. Taka dokładna znajomość siebie jest mi niezbędna, ażebym mogła zorjentować się w moich środkach, w mojem bogactwie. Gdy skończą się lekcye a zaczną się nudy, pożegnajm mego mistrza.

— Do czego ty właściwie dążysz? Bo przecie chyba nie zamierzasz zostać...

— Chcę stworzyć nową sztukę. Jestem — jak anglicy nazywają — professional beauty. To znaczy: mam talent piękności. Co najmniej taki talent, jak każdy inny, a według mnie większy. Gdyby Michał Anioł objechał ze mną całą Europę — pokazując swego Mojżesza a ja tylko moją buzię —

kto z nas wbudziłby więcej zachwyty? Uroda sprawia taką samą przyjemność jak rzeźba lub obraz; dlaczego ja nie mam z niej korzystać tak, jak artyści ze swoich talentów? Oni ukazują lub sprzedają swoje utwory, ja — mój widok.

— Z tej nowej sztuki rozumiem tylko to, że ci potrzeba sto rubli dla ładnego malarza.

Wyjął z pugilaesu i podał jej. Ona odbiła jego rękę.

— Zatrzymaj sobie tę jałmużnę, schowaj ją do kasy oszczędności, za rok urodzi ci kilka rubli. Nie umiesz być wspaniałomyślny. Drwię sobie z twego miłosierdzia!.. Gdybym chciała, dziś wieczorem dostałabym paczkę takich papierków i wyrzuciła je przez okno żebrakowi, a ty jednego nie możesz dać bez brutalnego docinka kobiecie, z której zerwałeś pierwszy kwiat czaru. Ach, parobasek, parobasek!..

— Nie gniewaj się i weź pieniądze. To przecie nie nowina dla ciebie, że cię uważam za wariatkę.

— Prawda, daj banknot.

— Chcesz, żebym cię pocałowała?

— Nie.

— — — — —

— Nie fatyguj się pani, już ja wiem, co chcesz mi powiedzieć: że jestem paser, że handluję żywym towarem, że moja żona jest Salcze a mój syn Hersz — znam te wszystkie dowcipy.

— Panie szanowny, nic podobnego przez myśl

mi nie przeszło. Ja tylko chciałam uprzejmie zapytać pana, która jest ściśle godzina?

— Ja doskonale rozumiem, dlaczego pani mówi: ś c i ś l e, która godzina. Bo według pani żydowski zegarek, jak żydowska miara i waga, nie może być sprawiedliwy, a jeżeli chodzi dokładnie, to nie dla gojów. Pani taka sama dobra, jak wszyscy antisemici i bojkotowcy.

— Broń Boże, panie szanowny, strzegę się tego bardziej, niż najcięższych grzechów, i dla tego zwróciłam się do pana...

— Ja doskonale rozumiem, pani chcesz ode mnie usłyszeć, która jest godzina, potem ją porównać z zegarkiem chrześcian a jeśli będzie bodaj minuta różnicy — gadać albo do gazety napisać: „Czego to już żydzi nie fałszują, nawet czas“!

— Przysięgam, że do nikogo ani pisnę. Niech pan zrobi mi tę grzeczność i dla mojej osobistej wiadomości powie: która jest godzina?

— Czemu pani mnie się uczepliła? Czy tu mało jest zegarków nawet z krzyżykiem albo Kościuszką? Pani mnie chce złapać a ja się nie dam.

— Pierwszy raz w życiu zdarza mi się, ażeby przyzwoity mężczyzna odmówił takiego drobiazgu.

— Ot, widzi pani, wylazło antisemickie sztyldo z nacyonalistycznego worka. Pani przez życie zwracała się tylko do chrześcian i oni zawsze byli dla pani bardzo eleganccy; pierwszy raz zaczepiłaś żyda i spotkałaś się z brutalstwem. A co on takiego grubego wymówił? Poradził: Niech pani się uda do

prawdziwego polaka, w konfederatce, to on pani powie rzetelnie, która godzina.

— Przepraszam: pan wcale nie wspominał o konfederatce.

— Ale ja tak myślałem a pani wiedziała, że ja myślę. Jeżeli zaś pani nie wiedziała, to dlatego, że pani nie raczyła spojrzeć w głąb duszy żydowskiej i zobaczyć, jakie tam w niej leżą ukryte, prześladowaniem stłumione uczucia...

— Owszem, spojrzę, ale przedtem chciałabym dowiedzieć się...

— Znowu godzina? To jest prowokacya! Niech pani odejdzie, ja nie potrzebuję z panią rozmawiać... mnie się wcale nie podoba... Pani jest zamaskowana antisemitką i bojkotówką.

— Ja jestem telefonistką i muszę wrócić na dyżur a pana zagadnęłam dlatego, że jesteś zegarmistrzem i pewnie masz przy sobie dokładny chronometr.

— — — — —
Ospata się bano, nieraz gardzono nim, ale zawsze słuchano chętnie jego zuchwałych i ostrych cięć języka — zwłaszcza teraz za maską. Ona uwalniała od rumieńca i gniewu.

— Czego panie ode mnie chcecie? — mówił, siedząc na ławce pod drzewem, otoczony kobietami. Nie powiecie mi złośliwości tak wielkiej, ażebym ja sam nie powiedział sobie większej. A zając was nie potrafię, bo nie jestem ani atletą, ani szarlatanem, ani mistykiem.

— Nie umiesz się już podobać — stąd gorczy.

— Wam się podobać? Zobowiązuję się rozkochać w sobie każdą po kilku godzinach mówienia jej górnych i tajemniczych bezsensów. Zresztą pod tym względem nie stoicie znacznie niżej od uczonych krytyków, których każdy rymujący lub pozujący mag potrafi steroryzować i ubezwładnić im rozum przez dziesiątki lat zagadkowym bredzeniem.

— Nie mówisz nic nowego. Już dawno napisał jeden z autorów francuskich: *Les charlatans ont pour eux les femmes*. Ale mogłabym przytoczyć stu innych...

— Na litość, chodząca biblioteko, nie przytaczaj! Wiem, domyślam się, kim jesteś. Wiem, że czytasz tak, jak glista je — połyka wszystko wraz z ziemią i zatrzymuje w sobie tylko pożywną drobinę. Ty również pochłaniasz wszystkie książki, jakie dostaniesz do rąk, przyswajasz sobie z nich troszeczkę a resztę nieprzetrawioną wyrzucasz w rozmowach. Jesteś znaną zmorą wszystkich ludzi rozumnych, których napastujesz, a przedmiotem podziwu głupców. Uprzedzam cię, że im więcej wytrzęsiesz z siebie cytat, tem większe sprawisz mi mdłości.

— Nienawidzisz kobiet ukształconych... słyszałam. To także gust, jak każdy inny. Dziwi mnie tylko, dlaczego zostałeś adwokatem a nie drwalem lub lepiej karczmarzem wiejskim, bo do

tej roli twoje bryzgające usta doskonale by się nadawały. Na tych stanowiskach spotykałbyś kobiety, które, jeżeliby coś przytoczyły, to najwyżej jakiś aforyzm w rodzaju: „stul głowę“, albo „gdy chłop baby nie bije, to jej wątroba gnije“ — lub coś podobnego.

— Pani zapewne zdaje się, że ja jestem potomkiem Chama a ty pochodzisz od tego archanioła, który wypędził pierwszych rodziców z raju. Ja wcale nie żałuję kobietom nauki, tylko stwierdzam, że ona je wynaturza. Wszelkie zaś wynaturzenie jest wstrętne, chociażby było najniezwyklejsze. Panią zachwyca gadająca papuga lub tańczący słoń a dla mnie są to widoki obrzydliwe. Gdy słowik kryje się w gałęziach drzew i śpiewa, jest zachwycający; ale gdyby na zawołanie wlatywał w nocy do sypialni pani i skrzydełkiem gasił świecę — straciłby swój wdzięk. Wy stworzone jesteście tak, ażeby pozostać zdala od mądrości męskiej i cały swój rozum zamknąć w instynktach, które są u was przedziwne i które nieopatrznie zatracacie. Tak, czytana papużko.

— Jesteś rzadkim już dziś w Europie okazem barbarzyńcy. Przyznaj się, że byłbyś zwolennikiem bicia żon.

— Dlaczego tylko żon? Wogóle kobiet złych i nieposłusznych. To są półzwierzęta, a półzwierząt nie można przekonać rozumowaniem, tylko batem. Czy zauważyliście panie, że do najwyższej kultury i potęgi wzniosły się te narody, które

przeszły przez tyranię? Widocznie strach jest środkiem kształcącym dla ludzi wogóle, dla kobiet niezaprzecanym. Nie obrażajcie się! Wy macie zawsze większy apetyt, niż możność strawienia; żądacie wszystkich praw a z żadnego nie umiecie porządnie skorzystać. Stąd tak często chorujecie na niestrawność swobody.

— Macie skuteczne sposoby leczenia pojedynczych wypadków i niedopuszczania epidemii.

— Powszechnej zarazy nie wytrzymalibyśmy. Ale co w waszych główkach czasem się roi! Zaproponowałyście przecie niewinność przedślubną i wierność posłubną. Maluczko, a uznacie, że powinniśmy się upodobnić do owych samców u owadów, które spędzają życie nieruchomo na odwłokach samic. To są najcnotliwsi monogamiści! Jeden z waszych faworytów, a przytem jeden z najgorętszych ogierków literatury, d'Annunzio, chcąc podobać się wam, jako najliczniej pochłaniającym jego powieści, napisał takie głupstwo: „Wymagamy od kobiet wierności dla naszej niewierności“. Jak gdyby męczyzna mógł być niewiernym, powietrze — ociosaniem, a morze odrutowaniem.

— To jest oszczerca, który powinien być ukarany! — zawołała jedna maska.

— Ostatecznie — zapytała energicznie druga — czem według ciebie jest kobieta?

— Butelką alkoholu, który z początku rozwesela i ożywia a w końcu upadla i zabija.

Parasolki, wachlarze, torebki, jak gdyby jedną sprężyną ciśnięte, spadły na Ospata z rąk otaczających go, kobiet, które, uderzywszy go, uciekły.

A on zaśmiał się:

— Głęboko wzruszyłem słuchaczki!

Przysunęła się do niego nowa maska.

— Za cóż tak się pomściły?

— Za powodzenie, jakie mam u nich.

— Tak to nazywasz? A jakżebyś nazwał moją chęć urzędu z tobą schadzki?

— Ha, ha, ha! Niepoprawne w swej naiwności! Przedewszystkiem wiedz, że cię poznałem. Jesteś cnotliwą kokietką, która mi przypomina pewne zwierzęta, używane do wynajdywania węchem trufli. Od takich kokietek niejeden mężczyzna dowiedział się, że ma w sobie obfite trufle namiętności. Ja tego nie potrzebuję... Idź do młodszych.

Powstał, ziewnął i chciał iść do domu, gdy spostrzegł przechodzącego Rzeczyckiego z maską, która go odciągnęła w boczną ulicę.

— Co ja więcej mogę powiedzieć, co jeszcze mogę zrobić, co by pana przekonało o mojem uczuciu, co by ci było przyjemnem? Jestem nie tylko bardzo młoda, ale niedoświadczona. Zdaje mi się, że moje serce jest skarbczykiem kryształowym, w który włożyłam i zamknęłam cudną perłę — miłość dla pana. A pan?

— Ja cię kocham, kocham szczerze, mocno,

gorąco... W tej chwili dusza moja płonie tylko dla ciebie...

— I płonąć będzie zawsze tylko dla mnie — prawda?

— Naturalnie.

— Niech pan mnie nie opuści, niech pan mówi zawsze do mnie szczerze, nic nie udaje... O mojem kochaniu nikt jeszcze nie wie, ale czasem usłyszę coś, co mi jęczy w uszach jak straszna przestroga. Nie mam kogo się poradzić, sama nie jestem dosyć mądra... To się cieszę, to płaczę, to czuję taki strach, że omal nie wołam o ratunek.

— Uspokój się, dziecko drogie, nic ci nie grozi, to jest tylko przeczulenie nerwów... Struny, na których gra miłość, są zawsze nadmiernie wrażliwe. Więc ty mnie tak bardzo kochasz?

— O bardzo mój sokoliku, całym życiem, każdym drgnieniem serca.

— I wszystko zrobiłabyś dla mnie.

— Wszystko, czegobyś zapragnął, bo ty byś mógł pragnąć tylko tego, co piękne, szlachetne, boskie.

— A gdybym poprosił moją różyczkę, ażeby teraz pojechała do mnie?

— Do pańskiego mieszkania?... Dobrze, ale nie na długo. Ojciec tu jest, z nim muszę powrócić do domu.

— Odwiozę cię zaraz.

— Ach, Boże, ja przyrzekłam, ale to jest nieprzyzwoite. Gdyby ktoś zobaczył, gdyby rodzice

dowiedzieli się... Mój gołąbku najmilszy, lepiej zostań, nie jedźmy. Tobie na tem niewiele zależy, a mnie wziętoby za złe.

— Jesteś w masce, nikt cię nie pozna, zabawimy chwilkę.

— Boję się ciągle, tak okropnie się boję, jak gdyby do mnie szło nieszczęście.

— Czego?

— Nie wiem... Przytul mnie... obroń... bo złe idzie za nami.

— Właśnie dlatego chcę cię zawieść do mojego mieszkania, ażeby tam mógł cię swobodnie przytulić, obronić od złych przywidzeń, uspokoić...

— Już przeszło... Nie pojedziemy... prawda? Nie gniewasz się na mnie?

— Przykro mi. Ale już nie nalegam... Powiem ci tylko szczerze, dlaczego chciałem cię mieć u siebie. Ogarnął mnie szal miłości, pragnienie wpicia się mojami ustami w twoje, odczucia pocałunkami tych samych zapewnień, które mi dajesz w słowach, rozkosznego zapomnienia w jednej krótkiej chwili o wszystkim, prócz o tem, że cię kocham i mam...

— Dobrze, jadę z tobą... Pospieszmy się... Och, Powiedz mi, dlaczego przed oczami zamigotała mi błyskawica a w duszy słyszę grzmot?.. Co to jest? Mój najmilszy, czegoż ja się lękam przy tobie!.. Jedźmy!..

Podążyli do wyjścia.

Ospat nie słyszał ich rozmowy, ale spostrzegł biegnących. Zrobił kilka kroków, jak gdyby chciał ją zatrzymać.

Stanął...

Na jego twarzy wy błysł dziki uśmiech, który szybko znikł w bolesnym jej skurczu.

VIII.

Nieszczęście, równie jak szczęście, rozwija się podobnie do kwiatu: naprzód jestem małym, zwartym pączkiem a następnie staje się wielkim, pełnym kielichem.

Dla Jacka rosło ono i dojrzewało szybko.

Jeszcze los nie wbił mu ani jednego pazura, ale już z kilku stron odzywały się około niego złe pomruki.

Oprócz niepomysłnych zdarzeń dokuczały mu złe przecucia. W spokojnej i czystej atmosferze swego życia słyszał ciągle jakieś drażniące szmery i czuł duszące wonie. Niemal codzień bardziej.

Dziś wstał śtrapiony.

Wypił kawę bez smaku, chodził nieustannie po pokoju, palił papierosy i od czasu do czasu wyrzucał z ust oderwane słowa. Zwykle, gdy weszła do niego Kasia, żartował z nią bardzo swawolnie; teraz jak gdyby nie chciał jej widzieć, pomimo że potraçała go, zatrzymywała się przy nim bez potrzeby i usiłowała zawiązać rozmowę.

On uparcie milczał.

Wreszcie zniecierpliwiona usiadła na fotelu, skrzyżowała nogi, rozłożyła gazetę i zaczęła czytać.

— Co to ma być?—zapytał niezadowolony.

— Myślałam, że pan mnie nie widzi.

— Wstań, bo mógłby kto wejść i zobaczyć.

— A dlaczego pan nie słuchał, gdy ja mówiłam: niech pan da spokój, bo mógłby kto wejść?

— To było co innego...

— O, ja wiem, że to było co innego.

— Wreszcie, przyznaję, że źle robiłem...

— Nie rychło Marychno po śmierci wędrować.

Ładny, lalusz!

— Dlaczego ty tak brzydko do mnie mówisz?

— Dlatego, że mi źle, mdło, głupio... Pan o tem nie wie—co?

— Owszem.

— Ażeby pan dobrze zapamiętał, otworzę drzwi i wykrzyknę na cały dom (krzyczy): pan Jacek Drygał...

— Cicho, na miłość boską, cicho! Co tobie się stało? Kasiu, przecie ty jesteś dziewczyna dobra, pocziwa, do mnie przywiązana, i taką mi robisz przykrość...

— Co mi pan tam będziesz wyjeżdżał ze swoją przykrością, jak z łysą kobyłą na targ! Niech pana tak brzuch zaboli, jak mnie, to nie będziesz się pan skarżył na swoją niestrawność po mizeryi. E, co tam gadać, jestem tak wściekła, że wydrapałabym panu te drobne ślepie, które tak do mnie przymrużałeś. Nie układaj pan gęby słodko i nie przysuwaj się do mnie, bo kopnę.

— Jak tobie nie wstyd...

— Nie mam wstydu, boś mi go pan zabrał.
— Powiedz wyraźnie, bez brutalstw, czego chcesz ode mnie?

— Chcę, żeby mnie nie bolało.

— Na to ja przecież nie poradzę...

— Chcę wiedzieć, co się stanie ze mną i z tym przeklętym bachorem, który pewnie będzie do pana podobny. Będzie miał taki sam łeb okrągło-spiczasty, jak wyrośnięta kapusta, takie same usta, jak rozporek u starej spódnicy, takie same kabłąkowate nogi. Brr! Co to za uroda! To chyba nie było za widoku, kiedy dla pana zgłupiałam. Ja mam odejść spokojnie z moją hańbą? Niedoczekanie twoje, antalku?

— Nie troszcz się ani o siebie, ani o dziecko. Oboje was zabezpieczę... Pomówimy o tem w wolnej chwili. Teraz muszę widzieć się z panem Ospatem, który — słyszę — przyszedł.

Roześmiała się złośliwie.

— Ten jest mądrzejszy, bo rogi panu na łeb nasadził, rozkoszy użył i kłopotu nie miał.

— Mnie możesz nawet nawymyślać, ale tej świętej kobiety nie tykaj. Ona ci nic złego nie zrobiła.

— To czemu ja mam cierpieć a ona nie?

Minęła się we drzwiach z Ospatem, który ją obejrzał uważnie.

— Dzień dobry! Co za zmiana! Dawniej Kasieńka wychodziła z pokoju pańskiego rumiana jak jabłuszko, a dziś — żółta jak cytryna. W którym miejscu jest jej smutek?

— Między innemi sprawami chciałbym właśnie

i o tej zmianie z panem pomówić. Nie będę przed przyjacielem obwijał w bawełnę: zgrzeszyło się i teraz trzeba pokutować. Chodzi tylko o to, do jakiej sumy sięgnie ta pokuta?

— Do takiej, jakiej ona zażąda. Jeśli mądra — dużej, jeśli głupia — małej.

— Nie mogę zdać się na jej łaskę i niełaskę.

— Nie mogę, ale muszę! Mężczyzna, który pod żadnym warunkiem nie chce ujawnić swego romansu, musi się zgodzić na wszelką cenę.

— Gdyby nawet dziewczyna zażądała całego mojego majątku?...

— Nieinaczej, o ile pan bezwzględnie nie chcesz odsłonić światu tajemnicy waszych czułości, których ona posiada żywy dowód. W takim razie musisz pan zdecydować się bez wybiegów, do jakiej sumy szanujesz swój wstyd.

— Rozumie się, pragnę uniknąć rozgłosu. Mam żonę, dzieci, pozycję — za dużo do stracenia. Ach, po co ja w to wpadłem! Chłop stary, doświadczony, ostrożny i złapał się w samotrzask, jak młokos. Ona chyba mi procesu nie wytoczy...

I to zależy od jej inteligencji. Jeżeli pójdzie do adwokata, dobrze pana podgoli.

— O ile się dam. Przecie pan będzie mnie bronił.

— Owszem, ale co ja tu pomogę? Stanę przed sądem i skłamię: Jest to bezczelna rozpustnica, która chce groźbą skandalu wymusić na niewinnym człowieku swoje usługi, komu innemu wyświadczona.

Mój klient jest nie tylko człowiekiem bardzo surowych zasad, ale tak zniedołężniałym fizycznie, że mógłby być bezpiecznie stróżem haremu.

— Czy ja rzeczywiście tak wyglądam?

— Wyglądasz pan wątpliwie, ale chociażbyś miał minę wydobytego z grobu po trzech miesiącach nieboszczyka, to adwokat przeciwnej strony zrobi z pana wypuszczonego gwardzistę. Powie: Cudzołózca, Jacek Drygał, jest znanym rozpustnikiem i uwodzicielem sług. Z ostatnią swoją ofiarą, Katarzyną Dzbańską, postępował jak dziki knur. Tu opowie gorszą scenę, które od niej usłyszysz i stokrotnie powiększy, wreszcie zakończy: Na tego rozjuszonego samca, zamaskowanego pozorami patryarchalnej surowości, na tego zezwierzęconego starca, znieprawiającego młode dziewczęta, które mogłyby być jego wnuczkami, na tego niepoprawnego zbrodniarza, trzeba kary... nielitościwej, druzgoczącej jego nikczemne instynkty, kary, która by...

— Nie kończ pan—przykro słuchać... Aż mi słabo... Kochany przyjacielu, pomów z Kasią, zaoferuj jej sowite wynagrodzenie, ale bez wielkiej dla mnie szkody. Wytłomacz jej, że kłótnią nic by nie wskórała, że... Pan to lepiej zrobisz, niż ja potrafię projektować. Czy pan nie potrzebujesz pieniędzy?

— Nie znałem konia, któryby nie łaknął owsa i nie znałem człowieka, który by nie potrzebował pieniędzy.

— Wystarczy sto rubli?

— Na co? Czy to ma być zaliczka na rachunki, dotąd między nami nieuregulowane, czy też jednorazowy prezent pod wpływem wzruszenia, wywołanego obawą o zachowanie się Kasi?

— Sądziłem, że stosunek ścisłej i dawnej przyjaźni między nami wyłącza zapłatę za wzajemne usługi a jednocześnie pozwala nam w potrzebie wzajemnie korzystać ze swych środków.

— Ta wzajemność jest tak nierówna, że trudno na niej oprzeć stosunek ścisłej przyjaźni: pan bardzo często potrzebujesz mojej pomocy a ja pańskiej—nigdy. Niema zatem innego sposobu zachowania równowagi, tylko żeby pan za moje usługi dawał odpowiednią ilość swoich środków.

— Jeżeli pan tak wolisz...

— Będzie to wygodniej dla nas obu: ja nie będę potrzebował przypominać, a pan nie będziesz potrzebował pamiętać.

— Dobrze, zrobimy generalny obrachunek. Tymczasem proszę pana o pomoc w drugiej sprawie. Może panu kiedyś wspomniałem, że przy ulicy Cienkiej kupiłem plac. Otóż, urządziłem na nim pułapkę, w którą wpadł bogaty żydek, Cynaderluft. Kupił on obok mnie drugi plac. Dowiedziawszy się, że jest bardzo chciwy i że przy rozgraniczeniach posiadłości różnemi sztuczkami urywa paski gruntu, kazałem zrobić dokładny pomiar i opasałem swoje terytorium parkanem od strony żydka o 12 cali odsuniętym na moją niekorzyść. Cynaderluft włączył natychmiast ten mój pasek do swojej przestrzeni i zaczął wznosić

kamienicę. Kazałem zdjąć przylegający do niej bok parkanu i czekałem aż budowa dojdzie do szóstego piętra. Wtedy zawiadomiłem go przez rejenta, że zajął 20 łokci kwadratowych mojego placu i żądam, ażeby usunął swoją ścianę. Żyd się broni, że zawie-rzył mojemu ogrodzeniu i wyciągnął mur wzdłuż parkanu, który uważał za rzeczywistą granicę, wreszcie oświadcza, że gdyby po ścisłej rewizji okazało się nieprawne wejście w moją posiadłość, gotów jest mi wynagrodzić stosunkowo do zapłaconej przeze mnie ceny. Naturalnie, odpowiedziałem mu, że o takim wykwitowaniu mnie nie chcę słyszeć, że mnie potrzebny jest plac w całkowitym rozmiarze i że domagam się bezwarunkowo zburzenia części muru na moim skrawku.

— Doskonały pomysł! Przepadam za takimi prawdziwie ludzkimi figlami.

— Gdyby to był porządny chrześcianin, nigdy bym tego nie zrobił, ale pogańska dusza niech płaci.

— Ile pan z niego chcesz wydobyć?

— Wycisnę tyle, ażeby najwyżej 100 rb. zarobił w porównaniu z kosztami rozebrania i zbudowania nowej ściany. Nie obrachowałem dokładnie, ale około 15,000 rb. musi dać.

— Czy nie za grubą skórę myślisz pan zerwać?

— Jeśli będzie można tyle uzyskać, nie daruję ani grosza. Przyłączę to do posagu Jolanty. Postanowiłem ją uprzewilejować w podziale majątku.

— Dlaczego?

— Naprzód jest to dziecko najlepsze i sercu mojemu najmiłsze; powtóre może biedactwo znaleźć się w tem przykrem położeniu, że po jej rękę sięgnie człowiek z wyższej sfery; niechże ona tę różnicę wyrówna przynajmniej dużym wianem.

— Czy to na to się zanosi?

— Prawie... chociaż jeszcze nie można powiedzieć nic stanowczego.

— Jeżeli konkurentem jest jakiś młody arystokrata, to jego zamiar łatwo odgadnąć. Zanim chłop kupi kosę, będzie ją przez godzinę wybierał, oglądał, stukał w kamień, targował się... Tak samo długo namyśla się nad wyborem kobiety.

Im wyżej stoi człowiek społecznie, tembardziej przyspiesza tempo romansu. Monarchowie zużywają na zdobycie kobiet kwadrans, książęta—parę dni, hrabiowie—parę tygodni a zwyczajni śmiertelnicy mordują się nieraz lata, zanim dojdą do pocałowania w dekolt. Otóż, jeżeli wielbicielem panny Jolanty jest hrabia Rzeczycki, odrazu wiadomo, dokąd idzie, podczas gdyby tym wielbicielem był adwokat Opat...

— Pan? — spytał zdumiony Jacek, nie wierząc własnym uszom.

— Tak, ja. Wahałem się przez cały rok, zanim zwierzyłem się żonie pańskiej.

— Nic mi o tem nie wspomniała.

— Widocznie uważała to za tak niedorzeczny i szalony pomysł, że wolała o nim zamilczeć.

— Więc pan chciałeś się żenić z Jolantą?

— Najrzetelniej.

— Prędzej mógłbym się spodziewać, że ucieknę od Femci z Kasią do Ameryki. Nie, to niepodobna. Pan, jak zwykle, grasz z nami farsę. Przecie pan masz 40 lat, a Jolanta 16...

— Czego te dwie głupie cyfry uczą? Tego że mniejsza, odjęta od większej, dałaby w reszcie 24. Wyobraź pan sobie, że stajesz wobec pary koni i mówisz: na połączenie wasze nie dozwolę prędzej, aż ty będziesz miała lat 16 a ty będziesz miał 21. dziś macie zaledwie 5 i 6, jesteście jeszcze dziećmi. Jakże by one parsknęły... śmiechem.

— Cokolwiek by tam konie odpowiedziały, to jednak dobrze się stało, żeś pan porzucił myśl zaślubienia mojej pieszczoszki. Porzuciłeś pan—prawda?

— Tymczasem—tak. I dziś już przestanę o tem mówić, bo przypuszczam, że nie długo pan zaczniesz. Zatem wytoczyć proces Cynaderluftowi?

— Proszę. Skoro chciałeś pan być moim zięciem, to poradź mi jeszcze w innych sprawach.

— Och!

— Drobiazgi! Paskidnik proponuje mi udział w spółce do fabrykacyi proszków z pieczonej kukurydzy, które mają pomagać na migrenę. Ze strony analizy lekarskiej nic nie grozi, bo produkt całkiem nieszkodliwy. Powodzenie zaś jest zupełnie pewne, gdyż podobny proszek z pieczonej fasoli, ogłaszany przez kilka lat jako specyfik przeciwko katarowi, dał 25 proc. od nakładu. Główny koszt stanowią re-

klamy w gazetach. Wyrób proszku kukurydżowego zamierzony jest na wielką skalę, co wymaga dużego kapitału. Inicjatorami są dwaj żydzi i jeden niemiec, ja mam być czwarty. Interes wydaje mi się pewny i korzystny, ale jak się obwarować w kontrakcie? Moi spółnicy, zauważywszy, że bałbym się ujawnienia tajemnicy wyrobu, mogliby urządzić ze mną taki sam szantaż, jak Kasia.

— Panie Jacku, żądasz za wiele. Trzeba wybrać jedno z dwojga: albo cnotę, albo korzyść. Obie razem nie dadzą się utrzymać, bo wzajemnie się zjadają. Ja takiego kontraktu nie wymyślę, ażebyś pan handlował fałszowanym proszkiem i nikt nigdy nie zdradził jego pochodzenia. Najtajniejsze układy dyplomatyczne prędzej, czy później przesiąkają do gazet, a pan chcesz, ażeby nieprzeniknionem milczeniem pokryta była kukurydza, o której wiedzieć będą wszyscy dostawcy i robotnicy.

— Do gazet—mówisz pan. O, tego bardzo bym sobie nie życzył! Być wywleczonym przez prasę na widok publiczny, ochłostanym, napiętnowanym... na samą myśl dostaje febry.

— To zrzeknij się pan proszku. .

— Szkoda, ładny zysk.

— Więc spiszemy taką umowę, że pan przystępujesz do eksploatacyi leku, którego skuteczność jest panu poręczona przez spółników a którego skład chemiczny jest im tylko znany.

— Doskonale! Ja nic nie wiem o kukurydzy, wierzę w cudowne działanie proszku—basta! Wy-

glądam nawet tak, jak gdybym dbał nie o własną korzyść, ale o dobro ludzkości. Gdyby przyszło do procesu, sąd z pewnością uznałby, że nadużyto dobrej wiary poczciwego człowieka i prawego obywatela kraju. Kochany panie Janie, zdjąłeś mi z serca ogromny kamień. Skoro dziś jesteś pan dla mnie tak nadzwyczajnie dobry, to uczynisz zadość jeszcze jednej mojej prośbie.

— Pańskie prośby dna nie mają.

— Ostatnia, przysięgam — ostatnia! Paskidnik namawia mnie do nabycia 20 garncowej beczki wody cudownej z Lourdes. Sprowadził ją pewien świątobliwiec, przywódca pielgrzymek do Częstochowy, ale nie ma pieniędzy na opłacenie cła i kosztów przewozu. Tłomaczy on, że z jednej beczki można przez dolewanie zwyczajnej wody zrobić tyle, ile się podoba — tysiąc, milion, dopóki będzie odbył. Za oryginalną żąda 100 rb., za następne po 5 rb. Ryzyko niewielkie a zysk zdaje się niezawodny. Bo przecie społeczeństwo nasze, słynące z pobożności, spożyje co najmniej tysiąc beczek. Gdyby dostać za każdą po 10 rb., a można więcej, byłoby brutto 10,000, a netto 4,900 rb. Ładny grosik!

— Zyskawszy markę handlową, możecie pod nią sprzedawać potem wodę wiślaną...

— A nigdy! Powiedziałem, że będę miał do czynienia z człowiekiem świątobliwym a i ja nie dopuściłbym do fałszerstwa. Chociaż kieliszek cudownej wody lub zmieszanej z cudowną musimy dolać do beczki.

— W tysiącnym rozcieńczeniu tyle będzie Lourdes'u, ile w wieży filtrów warszawskich.

— Tak daleko badać nie będę. Postaram się tylko być formalnie w porządku. Otóż, drogi przyjacielu, jak zreagować umowę, ażeby mój spółnik nie rozpoczął fabrykacji na własną rękę? Trudno byłoby mi dochodzić moich praw sądownie, tembardziej że on miałby poparcie księży.

— Zastrzeż pan sobie wyłączną sprzedaż.

— Nie mogę, nie posiadam tak wielkiego kredytu u dewotów, jak on. To jest pierwszorzędną firmą.

— Trzeba grać w loteryę. Sto rubli zawsze pan odbierzesz, możesz tylko stracić coś z zysku. Najprościej i najbezpieczniej będzie oszukiwać ludzi w zgodzie z nim, dopóki geszeft się nie popsuje.

— Dlaczego pan mówi: oszukiwać ludzi? Z mojej strony nie widzę żadnego podstępu. Nabynam oryginalną wodę z Lourdes, przez zmieszanie jej, jak święconej, ze zwyczajną, otrzymamy płyn tych samych własności — więc gdzie tu jest kręctwo?

— Nie mnie probuj pan wyciągać robaki z nosa — jak się wyrażają francuzi — bo ja się znam na tej sztuce. Jeżeli pan umalujesz psa w pręgi, to nie będzie tygrys. Lekarza duszy okłamać można, ale lekarzowi ciała i kieszeni trzeba odkryć całą prawdę. Powiedz no pan szczerze: wierzysz w cudowne działania wody z Lourdes?

— Stanowczo twierdzić tego nie będę, bo ja

w rzeczach religii jestem bardzo przezorny i nie rozumuję. Jeżeli nawet czasem coś w niej wyda mi się niedorzecznem, mówię sobie: co to szkodzi wierzyć, a nuż... Tak samo z tą wodą. Bóg wie, co tam w niej tkwi; rozumem biorąc, zdaje się, że tyle warta, co każda inna; ale czy mi korona z głowy spadnie, jeżeli przypuszczę, że ona pomaga?

— Od czasu jak ludzie myślą, nie było tak znakomitego filozofa, jak pan. Gdybym ja mógł zaszcześcić sobie pańską mądrość! Gdyby to nawet miało ten skutek, że zostałbym świnią, nie wahałbym się ani chwili.

— Według pana ja jestem nierogaczyną?

— Ach, nie. Bezwzględnie szczerzy nie jestem i nawet najlepszym przyjaciółom nie mówię całej prawdy, lecz zachowuję bodaj ułamek jej dla własnego użytku. Sądzę jednak, że w każdym człowieku jest większy lub mniejszy kawałek nierogaczyny i że gdybym połączył swoją część z pańską, złożyłby się z tego okazały wieprz.

— Może panu sprawiają przyjemność takie porównania, mnie — nie.

— Gdybyś pan nie był sobą, lecz swoim adwokatem, nasuwałyby się one panu tak często, że musiałbyś je polubić.

— Kiedy panowie już przestaną gadać? — zapytała Kasia, uchylając drzwi, — bo ja mam pilny interes.

I cofnęła się.

— Tę jejmościuchnę trudno będzie zadowolić!

Śmiała — rzekł Opat, i podawszy rękę Jackowi, wyszedł.

Kasia wpadła zaraz.

— Nie mogłam się doczekać, żeby pan już był sam. Lokaj od hrabstwa przyniósł ten list do panny Jolanty i prosił o odpowiedź. Ponieważ panienska śpi, więc mu powiedziałam, ażeby przyszedł za godzinę.

Jacek wziął list, obejrzał i rzekł:

— Zostaw go, ja panience oddam.

— Ba! To i ja potrafię. Przyniosłam, myśląc, że pan zgrabnie otworzy, przeczyta i dowie się, jak gołąbka grucha.

— Nie wypada...

— Nie wypada? Ojcu? Pan jest bardzo zabawny.

Jacek zawahał się przez chwilę, wreszcie przeciął scyzorykiem krótszy brzeg koperty, wysunął liścik i czytał, podczas gdy Kasia usiłowała sylabizować, patrząc przez jego ramię. „Bóstwo drogie! — pisał Rzeczycki. Gdy ciebie niema, niebo moje zamienia się w piekło. Donieś, kiedy cię zobaczę. Nie daj mi długo czekać — długo, to znaczy godziny. Słowkiem pomyślnej odpowiedzi uszczęśliwisz... Twego...” — na końcu zygzak. Nie przypuszczałem, że tak goreje w miłości. Jak on ją strasznie kocha! Teraz, Kasiu, mogę napewno powiedzieć, że wkrótce będziesz wbiegała do mojego pokoju i wołała: „Pani hrabina Rzeczycka przyjechała, albo ja będę posyłał przez ciebie list z adresem. „Jaśnie Wiel-

można hrabina Jolanta Rzeczycka“. Należał się naszemu aniołkowi taki los. Hrabia prawdę pisze, że ona stworzyła mu niebo. Uważasz, z jakim on ją traktuje nabożeństwem! „Bóstwo drogie!“ Jolanta będzie miała rozkoszne przebudzenie. Trzeba jednak list nazad włożyć w kopertę.

Umoczył pędzelek w gumie i zręcznie skleił przecięty brzeg koperty.

— Proszę cię, Kasiu, nie wspominaj ani słowem nikomu, żeśmy ten list czytali. Niech Jolanta wierzy, że tajemnica ich miłości jest zamknięta w ich sercach. Takiego uczucia, jak pięknego kwiatu, nie można pokazywać ludzkim oczom. Kto by się po nim spodziewał takiego ognistego kochania?

— Patrzcie państwo, co za dziw — zawołała złośliwie Kasia. — Pan już zapomniał kochać a może nawet nigdy nie umiał. On młody — to się w nim krew gotuje. On hrabia — to umie szlachetnie z kobietą postąpić. Nie tak, jak inny dziadyga ze łbem oskubanym, stary lis, który dziewczynę zbałamuci a potem dopiero rozmyśla, którą dziurą do nory się schować. Tamtemu to warto wszystko oddać, a temu nie warto dać spódnicy do powąchania. Ach, jak bym się biła i kopała za moją podłą głupotę! Ja nie chcę urodzić pańskiego bękarta — rozumiesz pan? Nie chcę za nic w świecie, a jak mi pan nie pomożesz, będę latała po ulicach i krzyczała: Jacek Drygał tak mnie skrzywdził, unieszczęśliwił! Idźcie i obejrzcie tego łotra w jego własnym domu!

— Kasiu, Kasieńku — błagał Jacek — wszystko zrobię, co zechcesz, tylko nie krzycz.

— Co tu się dzieje — zapytała, wchodząc Eufemia, — że Kasia tak krzyczy?

— Opowiada mi — odrzekł Jacek, jękając się — jak ksiądz w niedzielę mówił z ambony o sędzie ostatecznym.

IX.

Jacek, zsumowawszy dochody ubiegłego miesiąca, uczuł głęboką radość życia. Fala bowiem wpływu była niezwykle wysoka.

Nic dziwnego; wszystkie stronice swych książek rachunkowych niejako pobłogosławił napisem u góry: „Z Boską pomocą“ i uważał Boga za troskliwego opiekuna swych interesów.

Największego zysku dostarczyła fabryka. W zasadzie był on zdecydowany oddać ją starszemu synowi, jako posiadającemu silne młoty w pięściach, potrzebne do rozbijania przeszkód, tylko rozmyślał nad warunkami tej transakcji, którą zarówno z przeczności, jak z nałogu przewlekania i wyczyszczenia przeciwnika znużeniem, pragnął uczynić najkorzystniejszą dla siebie. Od pośpiechu wstrzymywały go nadto poważne obstalunki, z których zarobki chciał sam zgarnąć i odstąpić Polikarpowi fabrykę, gdy one — jak przewidywał — zmaleją. Tu nie dla frazesu często powtarzał i zawsze stosował: „Kochajmy się jak bracia, a liczymy się jak żydzi“.

W chwili gdy nad kwiatem jego duszy unosiły się rojenia jak barwne motyle, które z niej miały

wypić słodycz, nagle drzwi z trzaskiem rozwarły się i wszedł chwiejny, z zamglonym wzrokiem, z oślinionymi ustami Cyryak.

— Dzień dobry, życiodawco, monetodawco... Niech twórca dni moich i wspaniałomyślny kasjer będzie spokojny: schylę się, głową nie trącę i gładko przejadę na wielbłądzie przez ucho igielne. Od dziewiętnastu wieków nie udało się to nikomu — dopiero mnie, Cyryakowi Dryg... Nie Dryg... Jakże?... Do miliona Josków i Weronik, niech papa podpowie... Mówię: trzymać igłę prosto, ażeby nie zawadził! Nalać mi w szklaną salaterkę koniaku i wpuścić kilka sardynek... Nie! Włożyć kawioru, wylęgnać się jesiotry. W koniaku — doskonale!

— Pijany jesteś — rzekł Jacek — idź do swego pokoju.

— Czy ojciec nie słyszał, że jadę na wielbłądzie? On się tam nie zmieści.

— Gdzieś się tak uraczył?

— W Kastalskim zdroju, którego Jasek dostarczył dla Weroniki. Tyle dla informacji. Zresztą proszę się wyrażać z należnym szacunkiem. Papie się zdaje, że wlewaliśmy wino w gardła jak w butelki. To była synteza różnych soków z gron Bachusa, która pomnożyła różnorodność bytu o jedną wspaniałą postać. Mówię wyraźnie a bez przesady: wspaniałą! Ojczulku, najmilszy i najpotrzebniejszy mi tworze, ja cię kocham i dowiodę tego. Gdy umrzesz, zamarynuję cię w koniaku i zachowam cię do mojej śmierci. Wtedy zobowiązę moich przy-

jaciół i Weronikę, ażeby mnie złożyli w czcigodnym alkoholu obok ciebie.

— Co ty pleciesz, głupcze!

— Dopóki będę żył, w dzień twoich imienin wypiję jedną butelkę szampana a drugą ci wleję. Będiesz używał w rozkosznej kąpielce!

— Przestań bredzić, chodź do łóżka.

— Gdzie mój wielbłąd! Wypędziłeś go, świętokradco, niecny fabrykancie... hm... wiesz czego? Ty myślałeś, że to był zwyczajny wielbłąd... Biblijny, ewangeliczny!... Daj tłustej gęby stwórcy chudego Cyryaka Dryga... nie!.. de Ryga... Nie martw się tam głupiem bezrobociem... To także jest przeżycie...

— Jakiem bezrobociem?

— Kochany chłopuś jeszcze nie wie, że prawie zięć z prawie żoną urządzili mu strajk.

— Kto ci powiedział?

— Ze względu na mój stan żądasz za wiele, szanowny fabrykancie. Zażyłem tę nowinę w kieliszku Chartreuse'y, ale kto mi ją tam wypił — nie pamiętam.

Przewrócił się na szezłąg i zasnął.

Jacek zaczął pośpiesznie ubierać się, ażeby pojechać do fabryki i sprawdzić niemiłą wiadomość, gdy weszła Firmina, która od paru tygodni nie odwiedzała rodziców.

— Przychodzę do ojca... przepraszam — do pana Jacka Drygała, właściciela fabryki, w imieniu robotników z oświadczeniem, że oni przerwali pracę i podejmą ją nie inaczej, jak po przyjęciu przez pana następujących warunków. Chce pan je wysłuchać?

Jacek nie odpowiedział ani słowa, tylko patrzył na nią pół-zdumionemi i pół-gniewnemi oczami.

— Pytam, czy pan chce wysłuchać warunków, jakie stawiają robotnicy dla dalszej pracy w fabryce? Przypuszczam, że tak.

Rozwinęła papier i czytała:

— „Punkt pierwszy. Płaca podwyższona będzie we wszystkich oddziałach i przy wszelkich zajęciach o 90 proc.

Punkt drugi. Dzień roboczy trwać ma godzin cztery.

Punkt trzeci. Całą administrację, poczynając od dozorców a skończywszy na dyrektora, wybierają lub zatwierdzają robotnicy.

Uwaga do tego punktu. Dotychczasowy dyrektor, który wywieziony został w taczkach za bramę, a także majstrowie, którzy w zawiązanych workach wrzuceni zostali do dołu po wapnie, nie mogą być ponownie przyjęci.

Punkt czwarty. Nikomu z administracji nie wolno się żenić bez pozwolenia robotników, którym być winna ukazana narzeczona.

Punkt piąty. Zebranie robotników określa ilość dzieci, którą mieć wolno każdemu członkowi administracji, a w każdym razie żaden z nich nie może mieć więcej, niż czworo.

Uwaga do tego punktu. Warunek ten wywołany został potrzebą ograniczenia płodności burżujów, którzy w miarę rozmnażania się zwiększają wyzyskiwanie pracy najemnej.

Punkt szósty. Po śmierci obecnego właściciela fabryki żaden z jego następców nie może mieć więcej dzieci, niż dwoje a warunek ten powinien być zapisany jako serwitut w hipotecznej księdze fabryki.

Punkt siódmy. Ponieważ z całej religii, robotnicy uznają tylko święta, więc wszystkie dnie uroczyste dla wszystkich wyznań w kraju mają być wolne od pracy w fabryce, ale płacone połową zwykłego zarobku.

Punkt ósmy. W każdą sobotę wieczorem odbywać się będą zebrania robotników miejscowych i obcych pod przewodnictwem towarzyszków z inteligencji, którzy będą uświadamiali słuchaczy i wskazywali im sposoby wywoływania i kończenia zatargów z administracją.

— Punkty mniej ważne tymczasem omijam, za nim się dowiem, czy pan przyjmuje główne, które odczytałam.

Jacek dalej milczał. Firminę to jego milczenie drażniło i zbijało z tropu; wstała i rzekła.

— Przyjdą po mnie tacy, do których pan przemówisz.

— Niepotrzebnie fatygowałiby się do mnie— odparł Jacek spokojnie.—Niech ich pani zwróci do mojej córki, Firminy Maczug, której moją fabrykę oddałem jako posag.

Firmina osłupiała wobec tego nieoczekiwanego obrotu rzeczy. Nic nie odpowiedziałwszy, wyszła. Ale natychmiast wróciła.

— Teraz przychodzę nie jako delegatka robot-

ników „Aurory“, ale jako córka. Co miało znaczyć oświadczenie ojca, że fabryka należy do mnie?

— Rozdzieliłem mój majątek między dzieci; dla pani przeznaczyłem fabrykę, zastrzegłszy niewielki czynsz na rzecz rodziców, o czym dowiesz się w tych dniach u rejenta. Przedtem pozostań pani dla mnie tylko delegatką robotników i prawie żoną żydka, znanego mi pod pseudonimem Maczuga. Żegnam.

— Proszę mi jeszcze powiedzieć...

— Żegnam, a jeśli pani zapomniałaś, którąś stąd się wychodzi, to objaśniam: przez te drzwi!

Na to zakończenie buntu przeciw ojcu zabrakło Firminie energii. Wywlokła się zmęczona, bezradna. Natomiast Jacek, chociaż oburzony i zraniony wrogiem wystąpieniem córki, zdobył się na wybieg i gniewną stanowczość.

Coprawda te przymioty objawiały się w nim zawsze, ile razy chciano zbyt szeroko rozpruć mu kieszeń i narazić go na wielką stratę. Wtedy bywał według potrzeby: mądrym, przytomnym, przebiegłym, groźnym, nawet dowcipnym. Postanowiwszy odstąpić fabrykę starszemu synowi, nie miał ani na chwilę zamiaru oddania jej córce; ta myśl zjawiła mu się w głowie nagle dopiero po przybyciu Firminy z wiadomością o bezrobociu. Znając wielką wrażliwość swego egoizmu, zrozumiał odrazu, że najskuteczniejszym środkiem odbicia ciosu będzie skierowanie go ku napastującym. I nie omylił się a, spostrzegłszy doskonały wynik swej taktyki, był tak roz-

radowany, że zapomniał o przykrych stronach tego zdarzenia. Już miał podzielić się z żoną (Kasi unikał) dobrym humorem, gdy służąca zawiadomiła go, że przyszedł i chce się z nim widzieć — Maczug! Nie mógł się powstrzymać od wybuchu:

— Czego ten padalec dobija się? — rzekł ledwie stłumionym głosem — Czy chce koniecznie, ażebym go zrzucił ze schodów? Niech wejdzie.

— Kiedy pan przestanie mnie nachodzić? — krzyknął do Maczuga.

— Czynię to nie dla przyjemności. Musimy zakończyć...

— Ja z panem już zakończyłem i zaczynać nie myślę.

— Niech pan ochłonie i pomówi ze mną spokojnie, bo to również dla pana jest potrzebne.

— Mnie potrzeba przede wszystkim, ażebym pana nigdy nie widział i nigdy o panu nie słyszał. Ja panu z całego serca życzę, ażeby cię pierwsza choroba zadusiła. Zhańbiłeś i odebrałeś mi córkę, wniośłeś do mojego domu smutek i niesnaski, a teraz zaburzyłeś fabrykę. Ile pan żądasz, ażeby od nas się odczepić? No, ile? Nie bój się pan wysokiej cyfry! Czemu milczysz?

— Czekam, aż pan przestaniesz wymyślać.

— Słucham.

— Naprzód co do córki pańskiej, jest ona pełnoletnia i uświadomiona.

— O tak, uświadomiona doskonale.

— Co do pańskiego domu, gotów jestem nie być w nim nigdy nawet chwilowym gościem.

— Będę za to bardzo wdzięczny.

— Co zaś do robotników, to ja nie mogę się odczepić, dopóki jestem ich instruktorem a pan — ich... mówiąc najdelikatniej — dłużnikiem ich pracy.

— A mówiąc prościej — wyzyskiwaczem, złodziejem, krwiopijcą i tak dalej. Otóż, wkrótce wszystkie te tytuły przejdą na Firminę i jej prawie męża. Bardzo jestem ciekaw, jak właściciele socjalistyczni poradzą sobie z bezrobociem.

— Robotnicy nam ufają...

— Będą jednak żądali spełnienia tych warunków, które mnie podano.

— My wiemy, że one są niemożliwe do przyjęcia, ale jak w każdym targu, tak i w tym, wymaga się więcej, ażeby było z czego ustępować. Zresztą zaszło tu nieporozumienie... Zredagowano punkty bez rozmysłu i bez naszej wiedzy...

— Trzeba, panie władco proletaryatu, to nieporozumienie usunąć, warunki złagodzić albo nawet całemu strajkowi łeb ukręcić, dopóki fabryka pozostaje jeszcze własnością burżuja. Bo gdy przejdzie do socjalistów, trudno im będzie łamać opór robotników albo ich prosić: zaniechajcie wszystkich waszych pretensyi, bo teraz wyzyskiwać was będą towarzysze.

— Nie taję, że położenie nasze byłoby bardzo kłopotliwe. Ale też mam nadzieję, że robotnicy dziś lub jutro wrócą do pracy.

— A, rozumiem. Tylko nie sądźcie, że sprawa będzie ostatecznie zakończona. Gdy wy obejmiecie

fabrykę, wtedy ja wystąpię jako agitator i nakłonię robotników do żądania od was tego samego, czem mnie chcieliście obdarzyć.

— Oni pana nie usłuchają...

— Oni mnie usłuchają, bo ja potrafię przemówić do ich interesu.

— W takim razie Firminie nie pozostaje nic innego, jak zrzec się fabryki.

— Wolna wola! Może ją zamknąć, darować, spalić... To jest jej posag.

Maczug zamyślił się, szukając sposobu zmniejszenia teścia, który okazał się niebezpieczniejszym, niż przypuszczano.

— Niech Firmina sama zdecyduje—rzekł, ukłonił się i wyszedł.

— Złapał kozak tatarzyna a tatarzyn za łeb trzymał—rzucił Jacek za Maczugiem.

Polikarp śledził bardzo pilnie rozwój bezrobocia w fabryce, wcale go nie hamował a nawet lekko podniecał, obliczając, że ono nagnie mocno ojca ku jego zamiarowi. Dowiedziawszy się od Firminy o dziwnym skutku jej delegacyi i o bytności Maczuga, czekał niecierpliwie na jego wyjście i zaraz wpadł po nim.

— Wiem wszystko. Czy to był ze strony ojca zręczny szach, czy rzeczywiście?..

— Szach! Gdybyś wiedział, jak prawie małżeństwo skrzywiło się, kiedy im oświadczyłem, że będą w fabryce sami uszczęśliwiali robotników! On wyglądał jak po wypiciu octu siedmiu złodziejów.

— Na czemże ostatecznie stanęło?

— Nie wezmą fabryki, bo zapowiedziałem, że urządzę bezrobocie i namówię robotników, ażeby postawili im te same żądania, co mnie.

— Cóż teraz?

— Jestem przekonany, że strajk zduszą, będą czekali i próbowali układów.

— Metternich z ojca! Fabryka jednak jest przez nich podminowana i chociażby strajk przecięli, może on każdego dnia się odnowić. Robotnicy, raz wprowadzeni na tę drogę, będą do niej ciągle zawracali. Nadto, dyrektor wywieziony taczkami a majstrowie wrzuceni do dołu. Bez nich praca dalej iść nie może a pozwolić na taki gwałt niepodobna, bo on powtórzyłby się przy każdym starciu z robotnikami, Wobec tego straciłem chęć nabycia fabryki od ojca.

— Weź ją, ty sobie poradzisz; zniżę ci cenę, dam tanią i długoterminową pożyczkę.

— Zryzykuję w 30,000 rb. szacunku, z czego płacić będę rodzicom 1,500 rb. dożywocia a 20,000 rb. dostanę na 5 lat bez procentu.

— Mniejsza o nas, inne dzieci bym skrzywdził.

— Kogo? Firminę, kochankę żydo-socyała, która z nim buntuje ojcu robotników; Cyryaka, który tyle przechula, ile będzie miał? A Jolantę może ojciec przecie wyposażyć hojnie z innych źródeł.

— Ha, weź fabrykę—rzekł Jacek podając synowi rękę.—Niech ci w niej Bóg tak dopomaga, jak mnie dopomagał. Akt spiszemy, skoro tylko bezrobocie ustanie, inaczej Maczug z Firminą mogliby ci nawarzyć gorącego piwa.

— Niech tylko robotnicy wrócą do pracy— przez jeden dzień zamienię te bodliwe barany na niewinne jagnięta.

Rozstali się—Polikarp wesoły, Jacek smutny, bo strapiiony przekonaniem, że fabrykę sprzedał za bezcen a właściwie ją stracił.

Maczug z Firminą pospieszyli do robotników, zgromadzonych na dziedzińcu fabrycznym od rana— a było już południe—obradujących nieustannie. Dziwiło ich to wielce, że ani właściciel, ani jego syn nie ukazał się wcale, ale nie wątpili, że córka wyjedna u ojca zgodę na wszystkie ich żądania. Niektórzy z nich żalowali nawet, że nie wymagali więcej. Paru starszych przestrzegało przed złudzeniami, ale ich zakrzyczano i złajano. Gdy wszakże prześlókł się szereg godzin a wysłańcy nie przybywali, optymiści zaczęli się gniewać, pesymiści — zapadać w zniechęcenie, a niezdecydowani—tych i tamtych krytykować.

Nareszcie ukazała się dorożka a w niej Maczug z Firminą. Ich poważne miny były złą wróżbą.

— Towarzysze—przemówił Maczug, stanąwszy na pustej pace — zdamy wam dokładnie sprawę z naszej misji a wy rozstrzygniecie, co należy dalej czynić. Pan Drygał, nie wchodząc zupełnie w słuszność przedstawionych mu warunków, oświadczył i udowodnił rachunkami, że fabryka daje mu straty i że jeśli dotąd wahał się, czy ma ją dalej prowadzić, to teraz, wobec podwyższonych z waszej strony żądań—postanowił ją zamknąć. Nie tylko nie ma do

was żadnego żalu, ale owszem jest wam wdzięczny za przyspieszenie jego decyzji. Co do gwałtu, popełnionego na dyrektorzce i majstrach, to ponieważ fabryka dalej funkcjonować nie będzie, pozostawia tym panom dochodzenie swej krzywdy przed sądem. Dziękując wam, towarzysze, za sumienną i owocną pracę, prosi o zgłoszenie się do kantoru po odbiór należności.

Zmroziła słuchaczów lodowata cisza.

Zamieniono pytające spojrzenia, głębokimi oddechami ulżono ściśniętym piersiom, tu i owdzie poruszyły się usta do wydobycia słów, które na nich zamarły.

Ale powstrzymana chwilowo śmiałość, która zawsze daje hasło do skakania w przepaść nawet wtedy, kiedy sama się cofa, odzyskała swój rozpęd

— W górę serca, towarzysze!—krzyknął młody robotnik, który był dotąd kamertonem nastroju strajkowego. — Nasz złodziej nadwartości, podobnie jak wszyscy z jego rodzaju, prowadzi podwójne rachunki: dla siebie i dla pokazu. Waszym delegatom przedstawił on te drugie, w których naturalnie są tylko straty i ofiary. Nie wiercie temu oszustwu i wytrwajcie przy swoich żądaniach. Fabryka daje ogromne zyski, obstalunki wzrastają, w ciągu bieżącego roku podwoiła swoją produkcję, mimo to nam nie podniesiono zapłaty. I gdybyśmy przynajmniej pracowali w zakładzie, urządzonym według wymagań nowoczesnej techniki. Ale my zabijamy się powoli w budynku zrujnowanym, brudnym i wilgotnym, przy

maszynach rozklekotanych i grożących nieustannie naszemu życiu. Czy to jest porządna fabryka? To jest wstrętne budo, rzeźnia dla robotników.

W tej chwili wyszedł z kantoru Polikarp i krzyknął:

— Mówca ma zupełną szłuszość! To nie fabryka, w której by szanujący siebie i swoje zdrowie robotnicy pracować mogli. Ona powinna być natychmiast zamknięta. Taką radę dałem mojemu ojcu, który ją przyjął. Więc moi panowie, nie macie nad czem dalej obradować, bo kwestya jest rozstrzygnięta zgodnie przez obie strony: wy nie chcecie pracować, a my nie chcemy korzystać z waszej pracy w dotychczasowych warunkach. Niema pomiędzy nami żadnego sporu.

Była to nowa niespodzianka dla robotników. Znaleźli się oni w położeniu człowieka, który z wielkiem naprężeniem sił chciał coś obalić a nie znalazłszy oporu, sam się przewrócił. Zniknęły im z przed oczu przedmioty ataku, otworzyła się próżnia, która nie dawała pola do walki. Zapatrzeni hypnotycznie w cele swego buntu, które nagle usunęły się im z przed oczu, nie wiedzieli, co począć, czego pragnąć, jak zużytkować nagromadzone a obecnie bezużyteczne żale, pretensye, złorzeczenia i wymysły. Czuli jednak, że dla nich kwestya nie została ostatecznie rozstrzygnięta, jak dla Polikarpa, że oni mają jeszcze niezafatwioną sprawę — jutra.

— Jakże to tak być może? — rzekł jeden ze

starszych robotników. — Panowie zostaniecie sobie w dostatku a my — w nędzy. Wy tylko nie będziecie mieli zysku a my nie będziemy mieli chleba. To się nie nazywa rozstrzygnięcie kwestyi nawet dla chorych wołów, które się wypracowały, bo one zostaną sprzedane na mięso i nie będą głodowały. A nam nikt życia nie zabierze — musimy je dźwigać. Jeżeli mamy być uwolnieni, to trzeba nas było o tem w porę uwiadomić.

Zabrał głos Polikarp:

— Kochani panowie...

— Najlepiej bez „kochanych“ — przerwał mu ktoś z gromady.

— Położenie, w którym obecnie znajdujecie się, wytworzyliśmy nie my, lecz wy. Tego, co się stało, chcieliście sami. Nie uprzedziwszy nas o tem nawet na 24 godziny, oświadczyliście przez swoich delegatów, że na dotychczasowych warunkach pracować nie będziecie i żądacie innych. My przyznaliśmy wam zupełną rację a ponieważ waszym nowym żądaniom nie możemy uczynić zadość, zwłaszcza że fabryka przynosi nam straty, więc ją zamykamy. Gdzie tu jest jakakolwiek nasza wina?

— Toć wiadomo oddawna — odezwał się ktoś — że fabrykanci są zawsze niewiśni.

— Miłe kotki — dodał inny głos. — Skądkolwiek je zrzucisz, zawsze na łapy padną.

— Nie przygryzać — wtrącił inny.

Młody robotnik, który pierwszy przemawiał

a obecnie porozumiewał się szeptem z kilkoma, rzekł do Polikarpa:

— Niech pan się usunie, chcemy naradzić się sami.

Maczug i Firmina stali przez jakiś czas na uboczu, powstrzymani od udziału w dyskusji niedość czystym sumieniem. Następnie schronili się do wnętrza fabryki, gdzie ich odnalazł Polikarp.

— Moja siostro — rzekł z udaną obrazą — czemu ja mam jeść gorącą kaszę, której nie gotowałem i nie lubię? Ty ze swoim towarzyszem urządziliście bezrobocie, tobie ojciec przeznaczył fabrykę, więc po co mnie wystawiacie na napaść robotników?

— My z żoną — rzekł Maczug — nie możemy...

— Przepraszam pana — odparł Polikarp — ja wtedy dopiero uznam pana mężem Firminy, gdy uzna nim pana ksiądz. W tej sprawie jest pan dla mnie agitator.

— Wszystko mi jedno, tu nie o mnie chodzi. Chcę uświadomić pana, że Firmina, jako socjalistka, właścicielką fabryki żadnej być nie może.

— To przecie powinieneś zrozumieć — odezwała się Firmina — i pomódz mi.

— Naprzód co do rozumienia — odrzekł Polikarp — to nie pojmuję, dlaczego odtrącasz sposobność spełnienia wszystkich życzeń robotniczych, jeśli je uważasz za słuszne.

— Dlatego — wyręczył w odpowiedzi towarzyszkę Maczug — że my znamy niemożliwość

uwzględnienia tych życzeń bez zrujnowania przedsiębiorstwa. Namawiając robotników do najdziwniejszych wymagań, nie dążymy do naprawy i lepszego układu obecnych stosunków, lecz do zniszczenia ich podstawy i podtrzymania walki, która ostatecznie sprowadzi zupełny przewrót. Dzisiejsza fabryka jest urządzeniem z istoty swej niemoralnem i może być z zyskiem prowadzona tylko w sposób niemoralny. Dlatego my jej nie weźmiemy.

— A ponieważ w obecnym zaburzeniu nikt jej nie weźmie, więc zostanie zamknięta i Firmina straci kilkadziesiąt tysięcy rubli z posagu.

Ideowość doznała mocnego dreszczu pod wpływem tego wniosku.

— Polikarpie — rzekła Firmina — chociaż nie podzielasz moich przekonań, musisz przyznać, że one nie mają na widoku korzyści osobistej i że wszystko, co zrobiłam, było przeciwne mojemu interesowi. Zawarłam związek nielegalny, rozgniewałam ojca, zraziłam sobie całą rodzinę, zrzekłam się posiadania dochodnej fabryki — chyba nie z samolubstwa. Zważywszy to wszystko, zapobiegij katastrofie, której ja odwrócić nie mogę i nakłoń ojca, ażeby ci oddał fabrykę. Ty jesteś dla niej, jak gdyby umyślnie stworzony.

— Nawet darmo, nawet z dopłatą jej nie chcę w obecnym stanie zawichrzenia.

— Bezrobocie zobowiązujemy się uspokoić.

— Nie podołam bez dyrektora i majstrów.

— Może robotnicy zgodzą się przeprosić przynajmniej dyrektora, a majstrowie dadzą się ugłaskać.

— Przez litość dla ciebie, Firmino, dźwignę ten ciężar, ale z zastrzeżeniem, że robotnicy jutro a najdalej pojutrze przystąpią do pracy, że przez miesiąc nie będą stawiali żadnych nowych żądań i że umożliwią powrót dyrektorowi i majstrom. Po miesiącu próby dam robotnikom i tobie ostateczną odpowiedź, nie zobowiązując się do niczego i pozostawiwszy sobie zupełną swobodę działania.

— Zgadzam się najchętniej i dziękuję ci! — odrzekła uradowana Firmina, a zwracając się do Maczuga, dodała: — Idźmy przekonać towarzyszków.

Gdy się znaleźli za drzwiami, Polikarp roześmiał się.

— To mają być tygrysy!

Nie czekając uchwały robotników, udał się do ojca. Jacek, słuchając opowiadania syna, podziwiał jego zręczność.

— Jakież masz teraz plan? — zapytał.

— Niech pracują spokojnie przez miesiąc — odrzekł Polikarp — wykonają mi wszystkie obstacki i stworzą zapas towaru. Wtedy ich pożegniam. Powiem, że fabryka nie opłaca się i że zmuszony jestem ją zamknąć a ich wszystkich odprawić; co też uczynię. Następnie szybko ją wyrestauruję i udoskonale, podniosę technicznie na wyższy poziom i zwerbuję świeży zastęp robotników, do którego włączę z dawnych tylko najchętniejszych. Tym sposobem zgaszę doszczętnie zarzewie strajkowe,

któreby się ciągle tliło w dotychczasowym ich składzie; wobec nowych ludzi stracą moc przyrzeczenia, zrobione starym i fabryka z odmetu i skał wyjdzie na bezpieczną wodę. Dopóki jednakże tego nie przeprowadzę, nie może nikt, oprócz nas dwóch, wiedzieć, że „Aurora“ jest moją własnością. Odślonięcie mojego planu równałoby się zupełnemu jego udaremnieniu. Wtedy porzuciłbym całe przedsięwzięcie bez względu na następstwa.

— We mnie tajemnica jak w grobie.

— Ale niech to nie będzie grób familijny...

— Nie obawiaj się. Skąd jednakże masz pewność, że robotnicy ustąpią?

— Wnoszę z ich spuszczonej nosów i kwaśnych min. Oni wszystkiego raczej spodziewali się, niż tego, co ich spotkało. Przygotowali się do walki i nie znaleźli żadnego oporu. Liczyli wiele na śmiałość swego wodza — a on zatrafił do odwrotu. Ach co to za kanalia ten Maczug! Gdyby to stado baranów wiedziało, ile on kłamstwa i przebiegłości ukrył w swym sprawozdaniu. Ojciec miał mu rachunkami udowodnić, że fabryka daje straty, miał oświadczyć, że wahał się z zamknięciem jej, ale bezrobocie go zdecydowało, że co jest robotnikom bardzo wdzięczny i nie ma do nich żalu, przeciwnie dziękuje im za pracę i żegna.

— To nicpoń!

— Ja jestem z tej jego szacherki bardzo rad, bo on już mi swego nosa do robotników nie wsadzi. Wtedy zerwałbym mu maskę z gęby. Zresztą sądę,

że nie długo będzie „robił w socyaliźmie“. Gdyby ojciec wiedział, jak mu oczy błyszczały, gdy usłyszał cyfrę posagu Firminy! Założyłbym się, że za rok — dwa otworzy handlowy lub bankowy interes przy jakiejś „strasse“ w Wiedniu lub Berlinie.

— Biedna Firmina!

— Sfanatyzowała się do obłędu. Ona dziś je, śpi, pończochy nosi dla idei. Prawdziwa idyotka! Nadto — co jest daleko trudniejsze do uwierzenia — ten pokraka rzeczywiście się jej podoba. Nie zaręczyłbym, że nie przejdzie dla niego na judaizm, nie ogoli głowy i nie włoży peruki.

— Tak, stracona dla nas bezpowrotnie! — westchnął Jacek. — Co ten przeklęty socyzm zrobił spustoszenia w narodzie. Ile zrujnował fortun, ile zerwał węzłów rodzinnych, ile rozsiał występku! Czy kto słyszał dawniej, ażeby panna z uczciwego i bogobojnego domu żyła na wiarę z żydem i mówiła o tem otwarciu? Czy z domu rodzicielskiego wyniosła najdrobniejsze ziarneczko niemoralności? Miała często przed oczami wzór w matce czystej i świętej jak zakonnica. I co się z niej zrobiło wśród tych bandytów? Amazonka, markietanka, emancypantka, anarchistka!.. Ni pies, ni wydra, ni panna, ni mężatka, ni córka, ni siostra... Niby uczona, ciągle mędrkuje a cała jej filozofia streszcza się w przykazaniu: „*Hom o hom i n i e s t l a p s u s l i n g u a e*“. Ale wracając do fabryki, jeżeli utrzymujesz, że obecnie jej powodzenie nie jest trwałe, to dlaczego chcesz ją przebudować i kupić nowe

maszyny, na co — mojem zdaniem — nie starczy 20,000 rb., które ci pożyczę? Czy warto taką sumę wkładać w interes, który gnije?

— On gnije dziś, gdy niema środków do rozwoju — odparł Polikarp — ale uzdrowi się, gdy je otrzyma. Taką, jaką jest obecnie nasza fabryka, tylko kopnąć nogą, żeby się rozpadła. Ale gdy się stworzy inną, w którą wejdzie trochę pieniędzy a dużo energii i pracy, można jeść chleb. Nie prędzej wszakże, niż za lat pięć, nawet dziesięć.

Służąca wniosła list i oddała Polikarpowi, który przeczytawszy go, rzekł z uśmiechem:

— Nie wątpię, że robotnicy na wszystko się zgodzą. Wyobrażam sobie, jak Maczug pocił się i łgał!

Polikarp był młody, niezupełnie jeszcze zmechanizowany; kłamał, kręcił, zastawiał sidła świadomości. Nie wmawiał w siebie, że oszukanie ojca i siostry było czemś lepszym, niż oszukanie obcego, ale sądził, że takie sposoby są w pewnych wypadkach usprawiedliwione a dla zwycięstwa w walce o byt — niezbędne. Inaczej Jacek. Ten przyzwyczaił swój umysł do mechanicznego wytwarzania gęstej lub rzadszej gazy, którą pokrywał swoje szpetne czyny. Jego niecnota nosiła stale wualkę i stale nazywała się cnotą. Czasami w chwilach wewnętrznego rozstroju nazywał się grzesznym, wątpił, czy wykręci się od piekła i dostanie miejsce w czyście. Ale w swem zwykłym usposobieniu, w którym winy leżały gdzieś głęboko pod świadomością a ona cała wypełniona

była odważaniem praktycznych wartości życia — uważał się za człowieka uczciwego, porządnego, nie gorszego od innych, używających szacunku. Deklamować lubił nie dla samego popisu. Wyblakłej i zeszkłej frazeologii ze szczypiącą wonią używał on jako ziela przeciw robakom swego sumienia. Usilnie starał się o to, ażeby ono ciągle spało a natomiast przebiegłość nieprzerwanie czuwała.

Te cechy nie czyniły zeń bynajmniej człowieka wyjątkowego. Przeciwnie. Jacek Drygał nie miał w swym charakterze ani jednego rysu, który mógłby nazwać własnym a wszystkie łatwo było odnaleźć u najpospolitszych ludzi. Dzięki tej wspólności z masą społeczną nie uczuwał w sobie nigdy najlżejszych drgnień rewolucyjnych i wogóle upodobania do starć z bliźnimi. Nieraz wyrzekał się korzyści, którą mógłby osiągnąć, dlatego tylko, że musiałby łamać z hałasem twardy opór. Gdyby mu kazano określić najbardziej pożądane warunki życia, wybrałby z pewnością takie, w których mógłby zabrać ludziom wszystko, czego by zapragnął, bez wyraźnego z ich strony protestu. Tacy mężowie, ojcowie, obywatele są zawsze szanowani i kochani, zawsze utrzymują dobre stosunki w rodzinie, mają prawo do najwyższych urzędów i do najzaszczytniejszych wspomnień pozgonnych. Jeżeli zaś w ostatnich czasach powodzenie opuszczało Jacka, to tylko jeszcze raz stwierdza oddawna znaną prawdę, że szczęście nie jest przywilejem zasługi.

Rozstawszy się z synem, który wsączył w jego serce ojcowskie dużo słodczy swą wygraną kampanią, nie czuł jednak wesela. Zapaliła się na chwilę w jego duszy radość i zgasła, pozostawiając przykry swąd. Coś go gryzło.

X.

Od pewnego czasu państwo Drygałowie lubili przebywać z sobą i prowadzić długie rozmowy.

Sprawiali oni wrażenie ludzi zziębniętych, którzy przytulają się do siebie, aby się wzajemnie rozgrzać.

Mieli przecie wiele marzeń, zabiegów i kłopotów wspólnych, nad którymi trzeba było radzić, mieli nadto w swych duszach osobiste nacięcia, które spodziewali się w uczuciach przyjaźni wygoić. Dziś dostroili się do siebie tak harmonijnie, jak gdyby między nimi nigdy nie odezwał się mocniejszy rozdźwięk.

— Dałby Bóg — mówił Jacek — żeby Paryż go zmienił. Z początku zdawało mi się, że Cyryak jest filozofem, obecnie widzę, że jest raczej artystą. Dla obu tych uzdolnień stolica nadsekwańska posiada wiele doskonałych instytucyj kształcących. Martwi mnie tylko, że on nie mówi wcale o nauce, lecz o przeżyciach. Te przeżycia wcale mi się nie podobają. Może w Paryżu są inne, niż w Warszawie...

— Niema wątpliwości. Zapewne są tam ot-

chłanianie złego, ale są głębokie krynice najczystszych upojeń, są tak wysokie szczyty życia, że z nich można widzieć Boga.

— Ładnie to powiedziałaś, moje dziecko.
A ve Mary a!

— Chodzi o to, ażeby Cyryak nie wpadł w piekło, ale wznosił się do nieba. Niestety, obie te sfery w Paryżu sąsiadują z sobą.

— Gdyby on się ożenił!

— Nie chce o tem słyszeć.

— Szkoda! Chłopiec dorodny...

— Na mężczyznę za wąty i powiedzmy to między sobą — bardzo zniszczony. Uważałeś, jak teraz powłóczy nogami?

— To przejdzie. Ale zostanie największa potęga i największy wdzięk jego istoty — genialna oryginalność. Co za niewyczerpane bogactwo pomysłów w tej głowie! Ręczę, że on każdą pannę poprostu ogłusza i oślepia. Małem staraniem mógłby dostać piękną z krociovym posagiem.

— Porządnych panien nie lubi...

— Żartuje i sprzeciwia się, a ty bierzesz przekorność na seryo. Czy to podobna uwierzyć, ażeby młody człowiek nie lubił porządnych panien? Taki gust byłby zrozumialszy u człowieka starego, który potrzebuje ostrych podniet i dla którego gąski są za mdłą potrawą. Pomimo wszystkich złych pozorów a nawet rzeczywistych przewinień Cyryaka jestem głęboko przekonany, że on będzie pociechą rodziców, chlubą narodu, a może nawet dumą ludzkości.

— Ja tak wysoko w życzeniach moich nie wzlatam. Pragnęłabym tylko, ażeby on wreszcie stał się swoim własnym odkupicielem, włożył białą, długą szatę i poszedł w przestrzeń, pozostawiając za sobą świetlaną smugę...

— Ślicznie to powiedziałaś. Ale jak myślisz, dokąd by on szedł?

— W dal bezkreślną, nieskończoną, zasnutą promieniami niby pajęczyną aniołów...

Służąca podała list Jackowi.

— O wilku mowa... Od Cyryaka zawołał! — spojrzawszy na kopertę, którą pośpiesznie rozerwał. — Dowiemy się wreszcie, jak tam sobie chłopiec poczuł.

— „Kochane moje przeżytki, matko i ojcie” — pisał geniusz Drygałów. — Ten tytuł jest trochę łobuzerski — zauważył Jacek — ale oryginalny, zupełnie w stylu francuskim. „Przez całą drogę — czytał dalej — rozmyślałem nad tem, jak wjechać do Paryża. Bo przecie nie mogłem wysiąść banalnie na dworcu św. Łazarza, wziąć dorożkę i udać się do hotelu. Łazarza i hotel mam w Warszawie — nie po to przybyłem do Francji. Więc wysiadłem na przedostatniej stacyi pod Paryżem, zawołałem samochód i kazałem się zawieźć do biura policyi. Oprócz zużytkowania tej społecznej służącej do wszystkiego, miałem jeszcze ku temu osobliwy powód: ponieważ przewidywałem, że ona będzie musiała nieraz zaopiekować się mną i to może w stanie, w którym będę chwilowo pozbawiony zdolności udzielania objaśnień, więc chciałem, ażeby odra-

zu zaznałomiła się z moją osobą. Komisarz był bardzo zdziwiony mojem żądaniem, ażeby mi wskazał odpowiednie mieszkanie; ale gdy mu powiedziałem łamaną francuszczyzną, że jestem cudzoziemcem, do Paryża przyjeżdżam po raz pierwszy, mieszkania sam sobie nie znajdę a policyę uważam za opiekunkę ludzi, nieumiejących sobie poradzić, roześmiał się i wysłał stójkowego, który wkrótce powrócił z wiadomością, że w sąsiednim domu jest ładny pokój do wynajęcia. Wziąłem go i zapłaciłem mojej gospodyni za 1000 godzin z góry. Początkowo nie chciała zgodzić się na taką rachubę, ale ustąpiła, gdy jej wytłumaczyłem, że Francya, która wprowadziła system dziesiętny do wszystkich miar, powinna go również zastosować do mierzenia czasu i odrzucić niedorzeczny podział dnia na 24 godzinny. Widocznie podobałem się jej, bo pomogła mi rozpakowywać tłomoki, przyczem paplała nieustannie. Gdy wreszcie zapytała, czego jeszcze potrzebuje: *Je voudrais avoir une belle couturière* — odrzekłem. Wyprostowała się, popatrzyła na mnie zdumiona, buchnęła śmiechem i wybiegła, rzuciwszy mi: *ce drôle de jeune homme*... Byłem tak zmęczony podróżą, że chętnie przespałem noc sam. Nazajutrz rano udałem się do kawiarni i kazałem podać sobie kawę z mlekiem, do której wlałem kieliszek wermutu. Kellner wytrzeszczył oczy, a byłbym zadowolony zupełnie z tego efektu, gdyby wstrętna mieszanina nie sprawiała mi mdłości. Wogóle wermut, którego

dotąd nie znałem, jest płynem ohydny i jestem bardzo rad, że go motłoch pije, bo nie będę potrzebował go używać. Powłóczywszy się przez godzinę po ulicach, zaszedłem do Luwru, ażeby złożyć wizytę „pani Wenus“ — jak Heine nazywał Milońską. Starałem się dosztukować i ożywić ją w wyobraźni: stała przedemną gruba i tęga dziewczka, do której nie miałem najmniejszego pociągu. Po południu znowu się włóczyłem... Zlatywały się do mnie na ulicy z różnych stron długolinijne i karminowane dziewczyny, jak kolibry do kielicha kwiatu. Wybrałem sobie taką, która miała kształt i ruchy węża: cienka z małą główką i szeroko rozciętymi ustami. Dalszy ciąg tego wyboru was nie interesuje. Zresztą ręka mi zemdląła od pisania. Jeżeli długo nie otrzymacie ode mnie listu, to nie znaczy, że zginąłem, lecz że pochłonięty jestem nowymi przeżyciami. Natomiast wy korespondujcie regularnie, zwłaszcza przed pierwszym każdego miesiąca, bo ja na oczekiwany w tej porze przekaz zawsze będę zaciągał terminowe długi. Zobaczycie, ile wam zato przywiozę ciekawych doświadczeń. Wasz C. Boule de Regal“.

Oboje Drygałowie nie wiedzieli, jak mają przyjąć ten list. Pocieszającym on nie był, nadewszystko nie otwierał wesołych widoków na przyszłość. Jednocześnie wszakże nie mogli odrazu rozstać się z wiarą, że ich syn jest człowiekiem niezwykłym, uprawnionym do korzystania z życia w swój właściwy sposób.

— Musi się wyszumieć — rzekł Jacek — i iść swoją drogą.

— Jakie to dziwne i okropne — mówiła Eufemia — że największe zdolności rodzą się na gruncie chorobliwym. Prawie wszyscy znakomici ludzie byli psychopatami.

— Trudno, moja droga, jeśli to jest konieczny warunek genialności, trzeba się z nim pogodzić. A chyba lepszy jest chory geniusz, niż zdrowy kretyń. *Mens sana in corpore sano*.

— Ileż to jest konieczności, które uznajemy i z którymi nie przestajemy walczyć! Każdy z nas wie, że śmierć nikogo nie ominie a jednak przeciw niej protestujemy bólem a nieraz złorzeczeniem. Pomimo niezłomnych praw natury ciągle pragnąć będą, żeby ze świata zniknęło błoto i ubrukani w niem ludzie, ażeby wszyscy, wielcy i mali, geniusze i prostoduchy, zaledwie stopami dotykali ziemi, unoszeni po nad nią braterstwem i miłością dusz, zapominających o tem, że są obleczone w ciało i usiłujących rozkuć kajdany zmysłów.

— Możemy o to prosić Boga codziennie w pacierzu, ale to jest marzenie nieziszczalne. Albo raczej będzie ono zawsze ziszczalne tylko w istotach wyjątkowych, idealnych, niedostępnych namiętnym pożądaniam, jaką ty jesteś... Większość ludzi pozostanie ułomna. Oto nasza Jolotka z pewnością nie okurzy się pyłem ziemi. W ciebie się wrodziła... Ze mnie chwala Bogu nie wzięła nic w dziedzictwie. Chyba może szacunek dla cnoty, rzetelność, pra-

wość, miłość ojczyzny, poczucie honoru. Te sztandary zawsze trzymałem wysoko i miałbym prawo umieścić w moim herbie: honny soit qui maly pense. Tego mi nikt nie zaprzeczy.

— Jakże ona dziś się ma?

— Niezdrowa, mizerna i — co najbardziej mnie martwi — codzień smutniejsza.

— To zwykle przypadłości w kochaniu. Może o jakiś drobiazg się posprzeczali, może ją drażni brak stanowczej decyzji z jego strony.

Wpadła służąca z krzykiem:

— Panienka zemdliała!

Drygałowie pobiegli do pokoju córki. Leżała ona przewieszona przez poręcz sofki, trzymając w ręku papier. Błada twarz barwiła się tylko przy ustach i oczach ciemnymi sińcami. Podczas gdy matka wtrząsała nią, skrapiała wodą i nacierała octem, ojciec wyciągnął jej papier, usunął się do obocznego pokoju, gdzie przeczytał list niepodpisany, wskazujący jednak swą treścią wyraźnie autora: „Kochanko moja! Już dawno czułem potrzebę i obowiązku dania ci ogólnej odpowiedzi na wiele pytań, z którymi zwracasz się do mnie coraz częściej. Wahałem się, czy to zrobić ustnie, czy piśmiennie. Wybieram ostatnią drogę, bo ona oszczędzi mnie i tobie tych nieprzyjemności, jakie zawsze wypływają z bezpośrednich wyjaśnień. Nie powinienem dłużej ukrywać, że zaślubić cię nie mogę. Na to nie zgodziłaby się ani moja matka, ani moja rodzina, która według przyjętego u nas zwyczaju ma głos w sprawach mał-

żeństwa każdego ze swych członków. Wiedząc o tem, nie występowałem nawet do nich z odpowiednim żądaniem. Nie umiem wypowiedzieć, jak cierpię, poddając się tej nieugiętej konieczności i przesyłając ci przykrą wiadomość wtedy, kiedy w twem łonie rozwija się owoc naszej wspólnej miłości, którego nie będzie mi wolno nigdy nazwać moim. Gdy przejdzie pierwszy, najostrzejszy paroksyzm bólu, donieś mi, kiedy mógłbym przyjechać przed twój dom, bo do siebie nawet tajemnie zapraszać cię nie mogę. Twój wierny...“ i zygzak.

Jackowi tak się ręce trzęsły, że ledwie w nich utrzymał list do końca czytania. Uczuł on w swoim wnętrzu, jak gdyby zupełne zamarcie, chłód, ciszę, bezruch. Tę martwość przerywały nagle jakieś szумы, krzyki, wycia, które plątały się i kręciły szalonym wiry. Poraz pierwszy w życiu doznał tak głębokiego wrażenia, że w niem właściwie zatonął i nie mógł się wydobyć. W tej chwili nie odpowiedziałby, ile lat posiada swoją kamienicę lub jak się nazywa.

Usiadł bezwładnie w fotelu i myślał a raczej kruszył swoje myśli na kawałki bez żadnego związku.

Tymczasem Eufemia doprowadziła córkę do przytomności, rozebrała i położyła do łóżka. Z głębokich westchnień dziewczyny, z jej gwałtownych szlochań, z upartego milczenia odgadywała, że zaszło coś bardzo ważnego, że zjawilo się jakieś złe, które nie odejdzie bez pozostawienia fatalnych skutków.

Skoro tylko pozwolił względny spokój Jolanty, poszła do męża, przypuszczając, że w zabranym przez niego papierze znajduje się rozwiązanie zagadki. Zapytany Jacek przez chwilę milczał, wreszcie podał jej zmięty w dłoni list. Eufemia zaczęła czytać złowrogie pismo. Zdawało się, że każdy jego wyraz uderza ją coraz mocniejszym grotem a każda sekunda dodaje jej rok wieku. Skończyła—na twarzy i w całej postaci o kilkanaście lat starsza.

Długo małżonkowie nie przemówili do siebie ani słowa. Ogarnął ich bezwład, musieli odzyskać siły, zebrać i skleić swoje rozbite dusze.

Nagle Jacek zerwał się, zaczął biegać po pokoju i pokrzykiwać:

— Ja na to nie pozwolę... nigdy nie daruję! Dlatego, że hrabicz to musi bezkarnie popełniać łotrostwa? Zabiję, jak psa zabiję! I brat ujmie się za siostrą! Nie puścimy płazem, o, nie! Biedne, niewinne dziecko tak nikczemnie sponiewierać! A, hycell! A, łajdak!

— Mój drogi—odezwała się Eufemia—pojmuję twoje oburzenie, bo i mnie ono rozsadza, ale ani gniew, ani zemsta tu nic nie pomoże. Nie o to nam powinno chodzić, ażeby Rzeczycki był ukarany, lecz o to, ażeby ją wyratować z przepaści. Przypuszczam, że w tym ratunku weźmie udział jego matka, która zrozumie i odczuje krzywdę, wyrządzoną uczciwej dziewczynie przez jej syna. Ja do niej zaraz pójde.

— Zrób to, najukochańsza towarzyszeko życia mojego. Ty zachowałeś rozum, który ja pod uderze-

niem piorunu postradałem, ty masz instynkt macierzyński, którego najlepszy ojciec nie posiada. Idź, jedź co najprędzej. Może się to złe odmieni na dobre, może hrabina każe synowi spełnić przed ołtarzem dług zaciągnięty względem naszej córki, może Jolanta zajmie stanowisko żony człowieka wysoko stojącego, które jej się słusznie należy...

Ostatnich słów Eufemia już nie słyszała, bo wyszła, ażeby się ubrać.

Tylko nadzwyczajną uniżonością i skromnością wymagań towarzyskich mieszczaństwa wobec arystokracji można wytłomaczyć dziwny fakt, że z całej rodziny Drygałów nikt, oprócz Jolanty, sam nie ośmielił się pójść i nie był zapraszany do Rzeczyckich. Eufemia też znalazła się w ich przedpokoju po raz pierwszy. Lokaj, który czytał „Kuryera“, na żądanie, ażeby ją zameldował, odpowiedział „zaraz“ i, dokończywszy jakiejś ciekawej wiadomości, wszedł do pokoju.

— Pani hrabina prosi—rzekł, wróciwszy i otworzywszy drzwi do saloniku—ażeby pani poczekała.

Rzeczycka powitała gościa wdzięcznym uśmiechem.

— Bardzo mi przyjemnie widzieć panią w moim domu. Domyślam się, czemu zawdzięczam tę miłą niespodziankę: przychodzi pani po rewanż z mojej strony na jakiś cel dobroczynny.

— Nie, przychodzę prosić panią hrabinę o pomoc w nieszczęściu.

— Na Boga, co państwa spotkało?

— Syn pani nadużył naszego zaufania i łatwości naszej córki, doprowadziwszy znajomość z nią do takiego stosunku, z którego ona wyniosła hańbę.

— Czy to nie zasilny wyraz? I nadużycia zaufania nie widzę. Bo czyż państwo nie przewidywaliście a raczej nie powinniście byli przewidywać, jak tego rodzaju znajomość prawdopodobnie się skończy?

— Nigdy.

— Dziwię się bardzo. Dla mnie było to od początku niewątpliwe, że pomiędzy moim synem a córką państwa zawiąże się stosunek bardzo bliski.

— I pani nas nie ostrzegła?

— Powtarzam, że przypuszczałam u państwa zupełną świadomość rzeczy, przecinanie zaś tego stosunku nie było ani moim obowiązkiem, ani moją potrzebą...

— Nie wiem, czy ja dobrze panią rozumiem...

— Wytłomaczę się jaśniej. M o i m obowiązkiem, jako matki, było strzedz, ażeby m ó j syn nie zaplątał się uczuciowo i nie popełnił jakiegoś ciężkiego błędu—w tym wypadku nie dostrzegłam z jego strony lekkomyślności. M o j ą potrzebą, jako matki, było pragnąć, ażeby on utrzymywał bliższe stosunki z kobietami pewnemi. Pod tym względem córka państwa, niewinna i uczciwa dziewczyna, przedstawiała najwyższą rękojmię.

— Dlatego pani ją ściągnęłaś do siebie?

— Naturalnie.

— Boże, co za potworność.

— Matka, dbająca o dobro swego dziecka, nie może być potworną. Zamiast oburzać się na mnie za to, że czuwałem nad moim synem, powinno byś pani raczej oburzać się na siebie, że nie czuwałaś nad swoją córką.

— Czy pani wyłącza zupełnie możliwość naprawienia przez syna krzywdy...

— Owszem, ofiarę pieniężną, nawet hojną, musi on ponieść.

Pod tą zniewagą Drygałowa straciła ostatnią resztę wytrzymałości nerwowej. Ujął ją w kleszcze tężec moralny. Powstała, nic nie odpowiedziawszy, i wyszła krokiem chwiejnym, szepcząc ustami skrzywionemi w bolesnym grymasie:

— Jolanta była jego dziewczyną... Zapłacą jej... Ja zawiniłam.

Jak lunatyczka wysunęła się na schody i na ulicę. Szła bez wiedzy o tem, gdzie się znajduje i dokąd dąży. Zamilkło w niej poczucie i pragnienie jakiegokolwiek celu. Patrzyła na przechodniów, zatrzymywała się przed wystawami sklepowemi, nie widząc nikogo i niczego. Instynktownie oddalała się od kierunku drogi ku domowi, błądząc, i znalazła się w Ogrodzie Saskim. Usiadła na ławce. W głowie jej obracał się młyn dyabelski, na którego kołowrocie widziała młodego Rzeczyckiego i Jolantę, siebie, męża, hrabinę a potem wykrzywione złym śmiechem maskary.

Przechodził ogrodem Ospat, który spostrzegłszy ją, zbliżył się.

— Co pani tu robi?

Podniosła na niego zgasłe oczy i odpowiedziała.

— Nic...

Zauważył, że jest nieprzytomna.

— Odwiozę panią do domu—rzekł—bo jadę w tamtą stronę.

Podał jej rękę, na której ona się oparła i, niema, szła obok. Wsiedli do dorożki. Ospat już nie pytał, więc całą drogę przebyli w milczeniu. Gdy podeszli pod drzwi mieszkania, Eufemia wzdrygnęła się, ale Ospat przytrzymał ją i wprowadził. Jacek, ujrawszy żonę, podbiegł z pytaniem.

— Jakże tam?...

— Nic—odrzekła machinalnie i schroniła się do swego pokoju.

— Gdzie pani Eufemia była?—zagadnął Ospat.

— U Rzeczyckiej...

— Po co?...

— Jolutka chora...

— Aaa! Stało się, co się stać musiało.

Weszli do gabinetu. Drygał miał twarz głupio cierpiącą. Ospat smutną. Pierwszy chciał się na oścież otworzyć, drugi szczelnie zamknąć.

— Wierny przyjacielu—odezwał się podniosłe Drygał—tyle dobrych rad nam dałeś, daj jeszcze jedną w nieszczęściu, które nas zmiażdżyło.

— Mam być lekarzem umarłego? Czemużes pan nie żądał mojej rady wtedy, kiedy w swoją córkę, jak w przynętę, wsadziłeś haczyk wędki na

hrabiczę? Narzucałem się nawet z przestrokami, które puszczałeś mimo uszu. A teraz chciałbyś, ażebym wymyślił coś takiego, co unicestwiłoby w rzeczywistości i w pamięci ludzkiej fakty spełnione—prawda?

Drygał utkwiał wzrok w podłogę i milczał.

— Zmarnowaliście dziewczynę waszą próżnością—mówił Ospat dalej—rzuciliście ją niemal na łóżko pankowi.

— Łotr, nikczemny łotr!—krzyknął Jacek.

— Bynajmniej, to jest prawdziwy arystokrata, dla którego chłopka lub mieszczańska stanowi zawsze tylko zwierzynę do polowania. On nie udaje, nie łudzi, nie tai, że jest uwodzicielem, że im czystsza istota, tem bardziej chce ją zbrukać, że znieprawiając święta, nie czuje nad nią większej litości, niż nad połykaną ostrygą. Wy to widzieliście i słyszeliście w tysiącu przykładów, nie zawahaliście się jednak użyć córki jako stawki w nierozsądnej grze o utytułowanego zięcia. Okropnością w tym hazardzie jest to, że nie winowajcy płacą przegranę, ale ich niewinna ofiara.

— Wymysław pan—wołał Drygał—kop, pluj, bij, zasłużyliśmy na to. Tak my, my zgubiliśmy naszą Jolutkę. Nam zawdzięcza to, że jest zhańbiona, że urodzi hrabiowskiego bękarta...

— Ach, więc już wiadomo, że urodzi? Powinnować wnuczka, a nadewszystko jego papy, który nie jest nawet, jak Maczug, prawie mężem i prawie zięciem. W śliczne gałęzie rozrósł się pień Drygałów!

— Nie mów pan tak, ulituj się... Nie wytrzymam, oszaleję!..

— Skarżysz się pan, jak położnica a ja, jak lekarz, pocieszam, że to poboli i przejdzie. Za miesiąc zapomnisz pan o tem cierpieniu.

— Za miesiąc będę miał to samo nieszczęście, które dziś mnie przygniata, tylko jeszcze większe.

Przyzwyczaj się pan. Człowiek jest rzeczywiście stworzony z gliny. Życie tak go przygniata i urabia, jak potrzeba dla okoliczności. Pocziwca przekształca na złoczyńcę, rozrzutnika na skąpca, westalkę na rozpustnicę. On nigdy nie jest utrwalony, lecz ciągle staje się. W chwili, kiedy uroczyscie zapewnienia, że jest aniołem, już zaczyna się przemieniać na dyabła. Zdawało się, że panna Jolanta spoczywać będzie zawsze na białym obłoku, wypieszczona promieniami słońca—i oto leży w kałuży, zdeptana stopami pospolitego lubieżnika. Więc i pan przestanie być wkrótce zrozwyczajonym ojcem. I może nawet uczujesz się zadowolonym, jak po wyrwaniu bolącego zęba. Jolanta może również zapomnieć o obecnej przygodzie. Jeszcze nie prorokuję, bo jej nie widzę, ale nie wątpię, że nie pozostanie do końca życia brzozą, płaczącą na grobie swego dzieciństwa.

— Niemiłosierny jesteś, panie Janie, dla nas wszystkich a dla niej za okrutny. Tylko bardzo mściwa ręka może na nią rzucić teraz kamieniem.

— W tym smutku rozweleś pana dobrą nowiną: z Kasią ułożyłem się ostatecznie.

— Na ile?

— Tysiąc rubli zaraz i 300 rocznie przez 6 lat po urodzeniu dziecka.

— Drogo mnie będzie kosztowała ta marna przyjemność. Nie mogłeś pan nic utargować?

— Nawet nie próbowałem, bo to były warunki dość umiarkowane. Na szczęście pańskie wezwałem ją jako obrońca pana. Gdyby była sama do mnie przysłała jako do adwokata, byłbym ją namówił do procesu i do żądania za odstąpienie od skargi sumy dziesięćkroć większej. I musiałbyś pan tyle zapłacić w każdym położeniu a w obecnem bez namysłu.

— Prawda, drogi panie, prawda. Wszystko złożyło się dla mnie fatalnie. Ale czy przynajmniej mogę być spokojny?

— O tyle, o ile ona nie zetknie się z mądrym adwokatem, który zacznie wyciągać z pana żyły.

— Da mi przecie jakiś oblig.

— Nie o to chodzi, co ona może od pana wydobyc procesem—to niewiele, ale co może wymusić skandalem—to bardzo dużo.

— Więc niema żadnego sposobu pozbyć się tej przeklętej dziewczki i do śmierci muszę się z nią pasować?

— Taka to smutna konieczność wszystkich lękliwych Don Żuanów, którzy mają chęć tajemnie pomnażać ludzkość a nie mają odwagi jawnie do tego się przyznać.

— Wszystko to drobiazgi wobec nieszczęścia mojej biednej Jolutki..

Weszła Eufemia spokojna, blada, z bruzdami na twarzy, wyżłobionemi przez wyschłe potoki łez. Po duszącem milczeniu, w którym wszyscy troje odychali coraz ciężej, rzekła:

— Chciałabym wyjechać z Jolantą za granicę — jak najprędzej i na długo.

— Doskonale zrobisz, moja duszko — powiedział Jacek. — Na Jolantę zmiana miejsca dobrze wpłynie i ty się wzmocnisz.

— Nie myślę o do brych wpływach i wzmocnieniach, ale o ukryciu hańby i uwolnieniu od pręgierra mojej córki.

— Dziwne nieporozumienie! — odezwał się Ospat. — My tu wszyscy, objęci rodziną i stosunkami znajomości Drygałów, chociaż zapewne nieraz dopuszczaliśmy się czynów, za które — gdyby zostały ujawnione — kodeks by nas ukarał a opinia napiętnowała, my grzesznicy, my wymknięci z rąk sprawiedliwości przestępcy, my pokalani na ciałach i duszach — nie jesteśmy obarczeni hańbą, nie obawiamy się pręgierra i używamy powszechnego szacunku. Natomiast naiwnej dziewczynce, której wiarę i miłość wyzyskał niecnie samolubny łobuz, która przez całe życie wlec się będzie ze swem cierpieniem, jak zraniony gołąb, która nie popełniwszy żadnej winy, wytrzymywać musi straszne katusze — tej ma być wypalone na czole znamię sromoty! Trudno zejść na niższy stopień obłudy, podłości i nierozumu.

— Nic nie pomoże mojemu biednemu dziecku — rzekła Eufemia — najwymowniejsza obrona.

Świat jej nie przebaczy. Postaram się przynajmniej, ażeby jej nie sądził i nie widział.

— Słusznie, jeżeli pani tak dba o jego łaskę i boi się jego nagany.

— Nie urągaj mi pan, bo ja leżę na torturach.

— Tak zwane tortury, na których my leżymy, są tylko niewygodnym materacem.

— Ach, panie, uwierzyłbyś mojemu bólowi, gdybyś usłyszał to, co ja, od hr. Rzeczyckiej, że ona rada była z uwodzenia Jolanty przez syna, bo wolała, ażeby on miał bezpieczny stosunek z przyzwoitą panną, niż narażał swoje zdrowie z nieprzyzwoitą.

— To szelma bezczelna — zawołał Jacek.

— Nie — odrzekł Ospat — to jest dobra matka. Rodzicom dla dzieci i dzieciom dla rodziców wolno wszystko popełnić w imię miłości. Znany pisarz angielski William Ireland sfalszował tragedję Schakespeare'a, ażeby sprawić przyjemność ojcu, wielbicielowi poety, mniemanem odkryciem nowych utworów. Przebaczone mu. Tymczasem gdyby był panną i sfalszował cnotę niewieścią, idąc "zamąż — poszturgiwanoby za to jeszcze jego wnuków.

Sarkazmy Ospata brzmiały w tej chwili tak, jak śmiechy na cmentarzu. On sam to czuł, usiłował jednak przekornie snuć dalej rozmowę z tych samych jaskrawych nici.

— Nie wnioskujcie państwo z moich słów, że cnoty są dla mnie muzami, które ubóstwiam. Bynajmniej! Według mnie istotą szczerze uczciwą, prawą, niezłomną, konsekwentną jest tylko maszyna a czło-

wiek tem więcej posiada te przymioty, im podobniejszy do niej. Człowiek żywy musi błdzić, bo życie błdzi.

Drygałowie nie słyszeli już tej uwagi, opętani myślą o nieszczęśliwej, leżącej w rozpaczyc córce.

— Otrząśnijcie się państwo z przygnębienia i spojrzycie śmiało w oczy rzeczywistości! — zachęcał Ospat.

— Idź pan do Jolanty — rzekła Eufemia — i spojrzij jej w oczy.

Ospat usłuchał. Ostrożnie wszedł do przyćmionego roletą pokoju, gdzie na łóżku leżało dziewczę z oczami nieruchomo zwróconemi ku górze. Przez jakiś czas nie zauważyła jego obecności. On spoglądał na nią z początku wzrokiem przenikliwym a potem coraz łagodniejszym. Jakże się zmieniła! Bezkrwista jej twarz wyciągnęła się, skóra nabrała przezroczystości. Życie uciekło z tej istoty, która była niem przepełniona.

Ujrawszy go, popatrzyła smutnie i rzekła słabym głosem:

— Uratuj mnie pan...

On się przybliżył, ujął ją za rękę, lekko uściskał i rzekł łagodnie:

— Uratuję...

Wróciwszy do Drygałów, miał minę niezwykłą: znikł mu z ust złośliwy uśmiech, na twarzy rozlała się powaga i głębokie wzruszenie.

— Niegdyś — rzekł — z całkiem innych, egoistycznych pobudek wspomniałem o chęci zaślubie-

nia panny Jolanty. Dziś pragnę to uczynić wyłącznie dlatego, ażeby jej dać tytuł prawnej żony a jej dziecku prawne ojcostwo. Dodaję, że nie mam najmniejszego zamiaru być jej rzeczywistym mężem a nawet, jako protestant, po roku przyrzekam przeprowadzić rozwód. Tymczasem oprócz prawnej osłony będę się starał łagodzić jej cierpienie. Czy państwo nic nie macie przeciwko temu?

— Dziękuję ci, zacny panie Janie! — wybuchnął z płaczem Jacek.

— I ja dziękuję — dodała cicho Eufemia.

— Nie chciałem i nie spodziewałem się — mówił Ospat — ażebym jeszcze cokolwiek miłował i czcił. I oto miłuję i uczczę boleść tego dziewczęcia.. Dziw! Oświadczcie mnie jej, a gdyby się wzdrygała, przekonajcie ją. Bo to jedyne dla niej wyjście z tak zwanym honorem. Ha! ha! ha! Ospat może się zacho-cha czterdziestoletniem sercem. Dziw, dziw! Żegnajmy kochanych rodziców!

Przeskok od zięcia — hrabiego do zięcia — adwokata, niemłodego i niesympatycznego, był zbyt wielki, ażeby Jacek po chwilowem uniesieniu nie doznał żalu. Eufemia miała nadto osobliwy powód do ostudzenia swej wdzięczności dla byłego kochanka. Oboje łatwo powracali do wydeptanych ścieżek swej myśli, oboje jednak pojmowali, że Ospat uratował im córkę od niesławy.

— Nie mogło być najlepiej — odezwał się Jacek — niech przynajmniej nie będzie najgorzej. Jak sądzisz, czy Jolutka odda mu rękę?

— A cóż ona ma innego do wyboru?

Jacek zdjął słuchawkę telefonu i kazał się połączyć z fabryką.

— Czy to ty, Polikarpie?

— Ja.

— Mój kochany, nie dałeś mi dotąd kwitu na pożyczone 20,000 rb.

— Na co ojcu ten papierek? Jeżeli nie oddam, to chyba nie będzie mnie ojciec procesował?

— Dla porządku powinien być dowód. Zapomniałem w akcie sprzedaży zastrzedz, że dożywocie będziesz nam płacił także za czas przebudowania fabryki.

— To coś bardzo zabawnego! Skądże ja wezmę pieniędzy? Niech ojciec, za mnie sobie wypłaca i basta. Albo też, co będzie jeszcze prostsze, niech papa nie zawraca głowy. Co u rodziców słyszać?

— Niedobrze. Jolutka leży...

— Chora?

— Gdyby to tylko... Wystaw sobie z Rzeczyckim zaszła tak daleko, że aż... Domyślasz się!...

— Do dyabła, to bardzo paskudny interes... Jakże ojciec myśli na to zareagować?

— Cóż ja mogę zrobić? Kłąć albo płakać.

— Ot, mądra filozofia! Takie łajdactwo darować? Niech przynajmniej grubo się okupi.

— Czy to wypada?

— Nie wypada żądać alimentów dla kobiety, którą znieprawił i niezdolną do małżeństwa uczynił, dla jego własnego dziecka? Śmieszny skrupuł!

— Namysłem się. Chociaż drogi do małżeństwa jej nie zagroził, bo Ospat chce się z nią żenić.

— No, ten z pewnością liczy, że gdy ściśnie hrabiątko za kieszeń, to mu z niej dużo wycieknie. Sprytny kauzyperda! Dochodną wybrał sobie żonę! Mówiono mi wczoraj, że Maczug i Firmina zostali uwięzieni. Mojej siostruni ten przymusowy odpoczynek bardzo się przyda, bo wyglądała jak śledź marynowany. Żeby zaś mojemu prawie szwagierkowi założyli pętlę na szyję, to nie wdziałbym żałoby.

— Czy ściany fabryki już nadbudowane?

— Zupełnie. Teraz zaczęliśmy belkowanie. Odprawieni robotnicy, którzy przedtem łyskali ślepiami, jak wilki, teraz krążą koło fabryki, jak zbite i pokorne psy. Już muszę odejść. Do widzenia. Proszę biedną Jolantę odemnie ucałować.

— Widzę — rzekła Eufemia — że Polikarp przyjął wypadek Jolanty bardzo zimno.

— Przeciwnie, serdecznie się zmartwił i kazał ją ucałować — odparł Jacek. — Dlaczego on jednak nie chce dać kwitu?

XI.

Ospat był już od tygodnia mężem Jolanty, którą zaślubił w tajemnicy i zostawił u rodziców — nie tylko dlatego, że była ciągle chora, ale również dlatego, że nie zamierzał wcale z nią mieszkać. Do ustalonych zwyczajów swego życia nie wprowadził żadnej zmiany. Wstawał późno, rozpoczynał dzień od łajania swej służącej, którą to, zdaje się, nic nie obchodziło, szedł do sądu, gdzie albo bronił spraw, albo siedział w Izbie adwokackiej i drwił ze wszystkiego, co mu się dostało na język. Wieczorem udawał się na parę godzin do Drygałów, „ażeby ich wysmagać ironią i rozlać kojący balsam na chorą duszę Jolanty. Wróciwszy do domu, czytał długo w nocy książki niezwykle i bardzo często nieznane. Obecnie był zajęty traktatem T. Quinceya: „Assassinat considéré comme l'un des beaux-arts“. Było święto — jedyny według niego mądrze urządzony dzień, w którym ustawała najpodlejsza służebność człowieka — obowiązek pracy i odyskiwało swą moc najcenniejsze jego prawo — wolność próżniactwa. Ospat przeglądał gazety poranne, gdy mu służąca doniosła, że jakiś młody pan chce się z nim widzieć.

— Pchła nie pyta — odrzekł — czy jej pozwole i wskakuje do mego łóżka, to i on może wejść.

Był to świeżo wyswięcony adwokat.

— Pozwalam sobie niepokoić szanownego pana prośbą o wskazówkę, której mi nikt udzielić nie może. Mianowicie: gdzie mógłbym znaleźć opisy ciekawych i charakterystycznych wypadków zbrodni? Potrzebne mi to jest dla studyów przygotowawczych, gdyż zamierzam być obrońcą kryminalnym.

— Na co koledze przyda się studyowanie dzieł, zawierających wypadki niezwykle, ażeby bronić spraw miernych, jakie tu się zdarzają? Zadaniem i ambycją tutejszego adwokata karnego jest oszukać sąd i wydobyć zbrodniarza z rąk sprawiedliwości. Paru poznanych lub samodzielnie pomyślanych sposobów tej sztuki chętnie koledze udzielię, ale daleko więcej ich mogliby dostarczyć kryminologowie nasi z obszerniejszą, niż moja, praktyką i ze sprawniejszą, niż moja, zdolnością do kręactwa. Ja więcej chcę, niż umiem.

— Chociażby to miało tylko teoryczną wartość, pragnąłbym jednak zaznajomić się z odnośną literaturą.

— O ile wiem, najwięcej zbrodni i najrozmaitsze opisał Shakespeare. Trzeba jednak mieć się na baczności przed jego sofistyką, którą nazwano psychologią. Wogóle nie wierzę w psychologię powieściową i dramatopisarską i nikt mi nie dowiedzie, ażeby Anna, odmawiając swej ręki Ryszardowi III,

postąpiła niepsychologicznie. Można by wszystkim tragediom Shakespeare'a dać przeciwne rozwiązanie i byłyby również usprawiedliwione. Ze skóry psychologicznej, dającej naciągnąć się na każde kopyto, korzysta głównie obrońca kryminalny — i tego kolega się naucz, jako terminator u jakiegoś biegłego w łganiu palestranta.

— Ja z taką pogardą nie patrzę na mój zawód.

— To musisz pan zostać albo naiwnym albo obłudnym. Gdybyś zaś chciał odpocząć w męczącej pogoni za rublem i bezinteresownie wejrzeć w głąb zagadkowych charakterów zbrodniczych, to radzę wybrać sobie do takiej analizy kilka postaci, które mnie także bardzo zajmują. Tak np. Eugeniusz Aram, znakomity uczony matematyk, przyrodnik, filolog (w połowie XVII wieku) z dwoma przyjaciółmi zamordował kogoś dla rabunku; następnie, chcąc zwiększyć swój udział w łupie, zabił jednego ze współników. Upamiętnił go Bulwer - Lytton. Współczesny mu Psalmanazor, zdolny literat wydał zupełnie zmyślony opis wyspy Formozy, do czego sam się przyznał, nie umiając wytłomaczyć dlaczego to zrobił. Tomasz Weinewright, lew salonów angielskich (przy końcu XVIII w.), ceniony, literat i malarz, był przez długi czas oszustem i mordercą. Niech pan sobie dla wprawy rozwiąże te zagadki psychologiczne.

Młodemu prawnikowi wszystkie te rady nie trafiały do przekonania, a nie spodziewając się innych, podziękował i wyszedł. Ospat nie myślał

wcale go zadawałać. W zamiłowanie do nauki teoretycznej u wszystkich praktyków, a nadewszystko u prawników, nie wierzył. Był przekonany, że jeżeli nawet ów palestrancik miał przed powodzeniem w karierze jakieś pragnienia naukowe, to za lat pięć lub dziesięć zupełnie je porzuci i będzie zadyszany pędził w wyścigu z innymi o zarobek.

— Hrabia Rzeczycki — zameldowała służąca.

Ospatowi ściągnęły się brwi i usta nagłym skurczem. Wyglądał groźnie.

— Wpuść tego pana.

Rzeczycki przyniósł na twarzy słodki uśmiech, a w ruchach zachował przesadną grzeczność.

— Przychodzę do pana mecenasa — rzekł, usiadłszy — w bardzo delikatnej sprawie. Wszak pan jest adwokatem pana Drygała?

— Czasami.

— Niech pan będzie łaskaw być nim w tej chwili. Jak przed księdzem muszę przed panem wyznać, że z panną Jolantą, która posiada wszystkie uroki i przymioty pięknej i zacnej panienki, zapomnieliśmy o tem, co nas odsuwało od siebie i pamiętaliśmy wyłącznie o tem, co nas rzucało wzajemnie w nasze objęcia. Obudził nas z tego czarownego snu przykry skutek uniesień. Jako dojrzałszy i jako sprawca, sam jestem winien. Nie mogąc małżeństwem zmazać tego grzechu, pragnę przynajmniej zmniejszyć ciężar życia panny Jolanty zapewnieniem jej większego dostatku. Otóż, czy pan ze chce być pośrednikiem w zaofiowaniu jej ojcu odpowiedniej sumy?...

— Na ile pan szacuje niewinność panny Drygał?

— Tu nie chodzi o samą niewinność, ale chodzi o dziecko...

— Więc jak pan ocenia pieniężnie ten swój dług?

— Sądzę, że w stosunku do mojej zamożności nie będzie za mało 10,000 rb. Oto czek.

— Przed chwilą — rzekł po namyśle Opat — był u mnie młody prawnik, który chce zostać adwokatem spraw karnych, z prośbą, ażeby mu wskazał zbiór ciekawych wypadków zbrodni. Odpowiedziałem, że takiego zbioru niema i że u nas takie wypadki nie zdarzają się. Gdybym był przewidział pańską bytność, byłbym go zatrzymał i pokazał na panu, jak wygląda niezwykle łajdak.

Rzeczycki porwał się z krzesła:

— Co pana upoważnia do powiedzenia mi zuchwałej obelgi w sprawie obcej, w której nawet nie jesteś adwokatem?

— Powiedziałbym to samo, jako zwyczajny powiernik pańskiego łajdactwa a mam jeszcze większe prawo, jako mąż panny Jolanty.

— Mąż panny Jolanty?

— Tak, z miłosierdzia nad nieszczęśliwą ofiarą pańskiej podłości przykryłem jej hańbę i wstyd jej dziecka mojem nazwiskiem. Wzamian za to pozwalałam sobie na jedyną przyjemność — wypoliczkowania pana tym czekiem i wyrzucenia za drzwi.

Cisnął mu papier w twarz i rzekł, ujawszy łaskę:

— Precz!

Rzeczycki wyszedł, ale przedtem podniósł czek.

Opat nie był zadowolony z tej sceny głównie dlatego, że się uniósł. On lubił w sobie zimną pogardę, spokojną ironię, cynizm, ale nie gniew. Po południu poszedł wcześniej niż zwykle do Drygałów. Tu dowiedział się od Jacka, że lekarz odkrył w płucach Jolanty groźne objawy i kazał ją natychmiast wywieźć do Zakopanego.

— Ja z panią pojedę — odrzekł. — Był u mnie Rzeczycki z wynagrodzeniem dla Jolanty.

— Ile? — spytał ciekawie Jacek.

— 10,000 rb.

— Cóżes pan zrobił?

— Dałem mu czekiem w gębę i wygnałem.

— Byłyby to wasze pieniądze, więc miałes prawo ich się zrzec... Szkoda jednakże tak ładnej sumy. Mogłeś pan ją przyjąć niby dla biednych do waszego rozporządzenia.

— Taki pan jesteś w tej chwili stylowy! — zawołał Opat i poszedł do żony...

Jolanta tylko raz dla wzięcia ślubu wyszła z domu i od zemdlenia nie opuszczała swego pokoju. Ospata witała zawsze miłym uśmiechem i najlepiej się czuła przy nim. On, który w języku miał piekącą gorycz lub ostre kolce, przemawiał do niej słodko, dotykając jej nerwów najmniejszymi słowami.

— Muszę wyjechać do Zakopanego... Wie pan?

— Tak. Jeżeli to dla pani z jakiegokolwiek powodu jest pożądanem, chętnie będę towarzyszył.

— Owszem, kochany panie. Odwieź mnie, ale sam... Zamieszkam u Wyczółów, którzy mnie lubią. Właśnie wczoraj odebrałam od nich list z zapytaniem, jak się miewam i z zaproszeniem, ażebym w przyszłym roku u nich stanęła. Ona była moją mamką a potem piastunką, wyjechała z nami do Zakopanego i tam poszła za męża. Poczciwa kobieta i tak dużo ma w sobie tliwości. Mnie z nią będzie dobrze. Pan tylko złoży u nich tę swoją kłopotliwą walizkę i odjedzie. Po co pan miałby się ze mną nudzić!

— Ja z panią wcale się nie nudzę.

— Pocieszasz mnie pan, ale ja wiem, że jestem jak piszczałka z jednym smutnym tonem. Nieprzyjemnie słuchać... Chociaż ja się mało skarzę — prawda?

— Najmniej, jak tylko można. Ładny i ciepły dzień, niech pani przejedzie się ze mną do Łazienek. Trzeba się przyzwyczajać do świeżego powietrza.

— Nigdybym nie przypuścił — mówił Jacek do żony po ich wyjściu — że on umie i zechce być tak czułym. Ach, jaka szkoda, że nie wzięli naszej pięknej dery dla okrycia nóg! Bo chociaż dziś gorąco, ale to elegancko wygląda. Sądzę, że dla pokazania się z młodą i piękną żoną nie będzie żałował na dwukonną dorożkę z dobrymi końmi. Więc jedziemy ostatecznie do Biarritz. Jak myślisz, ile to może kosztować przez dwa miesiące?

— Tysiąc rubli.

— Ciężko mi będzie stracić tyle pieniędzy. Czy to przynajmniej wystarczy również na oporządzenie się? Ty musisz sobie sprawić parę sukien i ładny do nich kołnierz fokowy, który podobno ma być niezbędny do letniej tualety. Ja mam przyzwoity tużurek, frak, smoking, ale brak mi ubrania z białej flanelki. Opowiadał mi jeden ze znajomych, że w Karlsbadzie trafił na zimne słoty i chodząc w takim ubraniu mocno się zaziębił.

— Powinien był pod spód włożyć serdak.

— Zasłużyliśmy na odpoczynek po tylu zmartwieniach, ale w największym smutku nie należy zapominać o ojczyźnie. Przykro mi, że w tej porze niema innego miejsca i że musimy jechać do niemieckiego badu.

— Biarritz jest na granicy Hiszpanii i Francji.

— A to doskonale! Nie wiedziałem, bo tam nigdy nie byłem. Żeby też nie zapomniał donieść „Kuryerowi“ o naszym wyjeździe... Tysiąc rubli! Duży grosik. Gdyby Polikarp zapłacił dożywocie.. Ale on nie chce o tem słyszeć, dopóki nie puści w ruch fabryki. Właściwie powinien, bo co mnie obchodzi, że ją restauruje? Mam myśl! Wybrniemy z kłopotu: podwyższę komorne w naszym domu o tyle, ażebym dostał więcej tysiąc rubli. Jest ono już bardzo wyszrubowane, ale spróbuję. Dziś lokator jest to taka istota, która na wszystko się zgodzi, nawet na to, żeby nie mieszkał, tylko płacił!

— Do Biarritz jechać będziemy przez Paryż. Trzeba uprzedzić Cyryaka.

— Wątpię, czy to byłoby pedagogicznie — odrzekł Jacek. — Ani jednego miesiąca nie poprzestał na pensyi i żąda ciągłych, bardzo znacznych dodatków. W ostatnim liście przebąkuje, że ma długi. Gdybyśmy zjawili się w Paryżu, niezawodnie zważyłby mi na kark swych wierzycieli. My powinniśmy mu na te dwa miesiące zupełnie zginąć, ażeby nie wiedział, gdzie nas szukać a właściwie, dokąd adresować żądania pieniędzy.

— Teraz dopiero przypominam sobie, że przed paru dniami odebrałam od niego list, w którym pisze, że założył nową religię, opartą na ubóstwianiu geniusza i czci dla ludzi, w których ten bóg się wcielił. Zbierając życiorysy i obrazy takich ludzi dla ułożenia zastępu świętych, prosi, ażeby mu przysłała fotografię tego chłopca z naszej wsi, który przez trzy dni siedział na dworze pod ścianą kasy powiatowej, czekając na kwit z opłaconego podatku. Jest to według niego geniusz cierpliwości.

— Komu by coś podobnego przyszło do głowy! — zawołał uradowany Jacek. — Ten chłopiec jest stanowczo fenomenalny! Nawet kiedy się здаje, że upada nisko, wznosi się wysoko.

— Mnie w nim tylko razi brak tchnienia poetyckiego.

— Nie zgodzę się. On ma to tchnienie, ale swoje jak „wicher, co z tryumfem zawył“ w sonecie Mickiewicza.

Ospat wrócił z Jolantą, którą prawie wniósł na pierwsze piętro do mieszkania — tak omdlała. Na jej twarzy pojawiły się wypieki gorączkowe a w umyśle bezładne skojarzenia. Zdecydowano, że jutro wyjedzie do Zakopanego. Ospat znajdował się w położeniu mężczyzny, któremu kazanoby nakarmić swojemi piersiami głodne dziecko. Troskliwe i czułe pielęgnowanie kogoś nie leżało wcale w jego naturze. Mimo to grał swoją rolę bez żadnego przymusu, dawała mu ona bowiem nowe, nieznane dotąd wrażenia i pociągała swoją niezwykłością. Do podróży zabierał się z ochotą.

Rodzice wyprawili córkę i zięcia a sami zatrzymali się jeszcze parę dni dla dokończenia w spokoju zakupów, potrzebnych do podróży. Eufemia, przypominając sobie rozmaite sprawunki niezależnione, zapytała męża:

— Należałoby coś zrobić dla Firminy..

— A cóż ja zrobić mogę? — odrzekł Jacek. Drzwi więzienia jej nie otworzę. Trudno, chciała tego. A zresztą, mówiąc między nami, wolę, że tam siedzi zamknięta, jako męczennica, niż żeby miała się szargać z tym żydkiem, jako „towarzyszka“. Może ją to nauczy rozumu.

— Mnie jej żal! Zawsze to nasze dziecko.

W parę dni potem państwo Drygałowie siedzieli w wagonie, przed którym stał na peronie dworca Polikarp.

— Jakże tam nasza fabryka? — zapytał Jacek.

— Już zupełnie zapomniała — odparł syn —
że kiedykolwiek należała do ojca.

— Mniejsza o to, abyś ty pamiętał.

— I ja wkrótce zapomnę. Szczęśliwej podróży.
Zagwizdano trzy razy, pociąg ruszył.

Wyczołowie powitali Jolantę z prostą, ale
wzruszającą serdecznością. Ona, widząc bladość
i odgadując stan młodej mężatki, wzięła ją w obję-
cia i utuliła, jak niegdyś rozplakane dziecko. Z drob-
nych oznak z zachowania się wobec męża, z upar-
tego smutku pocziwa kobieta wywnioskowała, że
jej pieśszczoszkę trapi tajemny, głęboki ból. Opat,
urządziwszy Jolancie jaknajwygodniej połowę chaty,
pożegnał ją czule i odjechał. Sama ona sobie tego
życzyła, ale gdy go zabrakło, pobiegła za nim myślą
i żalem. Powoli jednak wżyła się w swoje otocze-
nie i zaczęła pisywać listy do Ospata bardzo pogo-
dne. Wyczołowa stała się dla niej rzeczywistą pia-
stunką: w dzień troszczyła się o wszelkie jej potrze-
by a wieczorami opowiadała bajki, których Jolanta
ciekawie słuchała. Skutkiem warunków życia i osła-
bienia chora dziecinniała. Bardzo chętnie też prze-
bywała w towarzystwie siostrzenicy Wyczoła, mło-
dej dziewczyny sieroty, która po stracie narzecz-
nego, spadłego w przepaść ze skały, dostała obłędu.

Biedna to była istota! Co rano gnały ją przez
wieś wydziwy, urągowiska i śmiechy, za którymi

nieraz poleciał i uderzył kamień lub gruda zeschlęgo
błota. W strachu przed tą pogonią uciekała gościń-
cem wśród chałup, jak wichur z rozwianymi włosami
i wylekłem spojrzeniem, rzucając po za siebie dzi-
kie pokrzyki. Dopiero gdy wpadła w obrosły choi-
ną wąwóz, który podciągał się wysoko ku nagim
górom, siadała zmęczona w zakrzewiu i chwytając
spiesznie powietrze w pierś wyschłą, wyglądającą
z otwartej koszuli długim klinem ogorzałego ciała.
Wtedy ból gniótł i rozmiękczał jej zdrętwiałe policz-
ki, sine usta skręcały się spazmem płaczu a brzegi
wyblakłych oczu opasywały się obrączkami łez. Ale
to wzruszenie szybko rozplywało się w spokojnym
smutku i nikłych uśmiechach, które na jej żałobnej
twarzy rysowały się, jak trupie główki na czarnem
tle całunu. Obłęd ogryzł ją z urody, pozostawiwszy
tylko piękne, niezniszczalne linie konturu. W lekkiej
spódniczce, bosa, pokaleczona, chodziła codzień zi-
mą i latem w góry — łapać echo głosu kochanka.

Zbliżał się czas porodu. Jolanta cierpiała wi-
docznie, ale nie miała sił do skargi. Obłąkana do-
strzegła jej niemoc, zaczęła ją pocieszać i obiecała
przynieść echo, które napewno ją uzdrowi. Pobie-
gła w góry i zaczęła nasłuchiwać. Dzień był jasny,
ale mroźny. Przezroczyste powietrze stężało w ta-
kiej ciszy, że w niej dzwoniły lekkie stąpania dziew-
czyny. Żaden inny dźwięk nie sięgał tu zdaleka
swą falą. Wszystko milczało, jak skały, które same
nigdy nie mówiąc, cudzą mowę odrzucają. Obłą-
kana posuwała się naprzód czatującym ruchem. Na-

gle po ciszy w kilku odskokach przeleciało między górami echo pastuchów owiec na halach. Ona przystanęła i śledziła uchem drogę jego biegu. „Tam spadło!” — zawołała radośnie i rzuciła się w boczną odnogę wąwozu. Biegła z wzrokiem stężalym i w jeden punkt utkwionym, kalecząc sobie stopy o rumowisko skalne i pozostawiając na niem krwawe ślady. Wreszcie zatrzymała się przy krzaku kosodrzewiny i obeszła go uważnie. „Tu spadło — mówiła. Słyszałam wyraźnie. Al jest!” Podniosła ułamek skały, schowała w zanadrze i popędziła do domu. Ostrożnie podeszła do łóżka i wsunęła Jolancie kamień pod poduszkę.

— Teraz będzie pani zdrowa — szepnęła.

Nad ranem położnica, nie urodziwszy dziecka, umarła, utulona do snu wiecznego przez zapłakaną piastunkę.

Zawiadomieni telegramem rodzice sprowadzili ciało do Warszawy za pośrednictwem przedsiębiorcy pogrzebowego i pochowali prawie tajemnie.

Jolanta odeszła ze świata cicho, bez szumu klepsydr i nekrologów, jak odchodzą ci, którzy pozostawiają na nim tylko swoich zabójców.

XII.

Zorjan Jazgowski posiadał wszystkie warunki szczęścia: wielkie kapitały, dobra ziemskie, fabryki, pałace, dwory, wille, samochody, karety, młodość, urodę, zdrowie, kochającą żonę, miłe dzieci, nawet ogromny apetyt i tęgą głowę w piciu, brak mu było tylko dwu rzeczy, potrzebnych dla przyprowadzenia życia lepszym smakiem: umiejętności wydawania pieniędzy i doborowego towarzystwa. W używaniu pieniędzy był partaczem. Najgłówniejszą rubrykę jego wydatków stanowiły ciągle prezenty dla żony, tak liczne i rozmaite, że niemal zupełnie wyczerpały jego pomysłowość w tym kierunku. Wtedy kupił jej automobil z szezlongiem, taboret z pozytywką pod siedzeniem, umyślnie w Paryżu sfabrykowany kinematograf, przedstawiający go polującego w Afryce na lwy, które widział tylko w ogrodach zoologicznych, rzeźbioną Joannę d'Arc z głową żony, a w ostatnich czasach kupił jej aeroplan, umieszczony w pięknym kiosku w ogrodzie przy willi, urządzenie stacyi dla telegrafu bez drutu i ćwierć

grama radium. Pozatem płacił poręczone weksle przyjaciół, składał ofiary na popularne instytucje społeczne, starał się jeść najdroższe potrawy, nosić najdroższe ubrania, dawać hojne napiwki, a w dzień Zaduszny rozdać po rublu każdemu z żebraków pod murem cmentarza Powązkowskiego. Dzięki temu, wydając dziesiątki a nieraz tysiące rubli, nie był ani wielkim panem, ani wielkim obywatelem, tylko pełnym workiem na dwu nogach bez głowy. Jego stali goście należeli do pośladu społecznego. Pieczeniarczów nie brak nawet między geniuszami, nie trudno więc dobrą kuchnią i piwnicą ściągnąć ludzi znakomitych. Jazgowski i tego nie umiał. Pomimo wytwornych jedzeń i doskonałych napojów, pomimo kosztownej porcelany, srebrnych półmisek, pięknych kryształów, pięciu lokajów, muzyki przy proszonych obiadach i kolacyach, nie zdołał on zgromadzić w swym domu towarzystwa, dla którego by ten zbytek nie był śmieszną oprawą.

Dziś przybyli na „skromną herbatkę“:

Jerzy Figiel, hrabia austriacki i „święty turecki“, który poznał się z gospodarzem za granicą a przybył do Warszawy dla wyszukania sobie na żonę bogatej dyskonterówny.

Kazimierz Chwaściński, obiecujący nowelista który podczas swych studyów artystycznych porobił długi we wszystkich ważniejszych miastach włoskich, skąd cichaczem uciekł, utrwaliwszy za granicą sławę imienia polskiego w „naciąganiu cudzoziemców“. Gdy mu kilku żydów odmówiło pożyczki, został antysemitą.

Przemysław Paradnicki, który zajmował się specjalnie odkrywaniem nieznanych poetów, przewyższających swą wartością największych geniuszów, i wyrabiał nowe kultury estetyczne.

Dwaj pedagogowie, pozostający z sobą w nieprzerwanej kłótni, jeden bowiem był zwolennikiem „dwienadcati“ bałowej „sistiemy, chociaż żałował, że jest to wynalazek niepolSKI, polegający na drobiazgowem odważaniu wiedzy uczniowskiej za pomocą 12 stopni; drugi zaś potępiał wszelkie cenzury, pragnąłby szkołę urządzić na wzór tabuna pasących się koni, o ile by zaś uczniowie chcieli słuchać jakichś lekcji, to należałoby im wyklądać najświeższe i najniezwykłejsze teorye ludzi oryginalnych (np. w rodzaju członków „Towarzystwa ostatniego krzyku“). Najwyżej stawiał pewnego pedagoga, który na pensyi żeńskiej uczył, że niemcy nie mają wcale poezyi, tylko liche rymy.

Ospat znajdował się od pewnego czasu w tem gronie, dzięki przypadkowemu zaznajomieniu się z gospodarzem. Nie gardził on żadnem towarzystwem, które go bawiło, bo gardził wszystkimi ludźmi, nie wyłączając siebie. Rozmowa toczyła się przy kolacyi, którą możnaby nakarmić dwadzieścia osób, do której wystawiono wszystkie bogactwa kredensu i zmobilizowano wszystkich lokajów.

— Wilde ma słuszość—mówił Ospat—że każdy opisując kogokolwiek, opisuje siebie. Logicznie z tego twierdzenia wypływa wniosek, że albo człowiek w obrazach zwierząt bredzi, albo zachował w sobie rysy ich natury.

— A jakież jest pańskie zdanie?—wykrztusił nowelista gębą, zapchaną łososiem.

— Ja sędzę, że niektóre zwierzęta dotąd żyją w człowieku koń, wół, pies, kot, sęp, tygrys i kilka innych—i te on w bajkach odtwarza dobrze. Natomiast takich, jak antylopa, niedźwiedź biały, lew morski, wilk, wogóle niedających mu się ujarzmić on wcale nie odczuwa.

— Według tego, przedstawiając żydów, których tu wieszaliśmy in effigie, przedstawiamy również siebie—zauważył gospodarz.

— Żydzi stanowią całkiem odmienny gatunek, który nie należy ani do ludzi, ani do zwierząt. Ja bym w dotychczasowym podziale zoologicznym utworzył z nich osobną kategorię wśród ssących i nazwałbym ją grupą nadsących. Co się zaś tyczy ich natury, to nie ma ona żadnego pokrewieństwa z naszą. Dlatego ją fałszywie opisujemy i nie rozumiemy jeszcze bardziej, niż psychiki krokodyla lub żaby.

— Och, ja ich nawskroś przenikam!—chwalił się nowelista.

— Posiada pan zarozumiałość każdego powieściopisarza. Jeżeli kolnę aryjczyka szydłem w oko, to on nie narobi tak wielkiego krzyku, jak żyd, któremu powiem, że ma długie pejsy. Czy pan pojmuję taką drażliwość?

— Dajcież panowie spokój tym nieszczęsnym żydom—rzekł odkrywca zapoznanych wieszczów. Po co ich ustawicznie wyciągać i przywiązywać do

każdej kwestyi? Mnie tak obrzydł ten przedmiot i tak mnie prześladowe, że pijąc w tej chwili wino, lękam się, czy na dnie kieliszka nie znajdę żyda.

— Ja panu akompaniuję—odezwał się hrabia.

— Gdyby nas wychowywano na wolnym powietrzu...—zaczął pedagog liberalny.

— Gdyby nas wychowywano w surowości — podjął drugi.

— Basta, panowie — przerwał gospodarz.— Dosyć rozpraw poważnych, one psują smak dobrego wina.

Rozmowa potargała się bezładnie, czemu sprzyjało działanie alkoholu na mózgi. Zwolna posypały się koncepty, tłuste anegdoty i plotki.

— Zdaje mi się—rzekł do Ospata podchmielony nowelista—że pan znałeś rodzinę Drygałów. Czy pan nie wiesz, co się z nimi dzieje, a zwłaszcza z moim przyjacielem Cyryakiem, którego poznałem w Paryżu.

— Co się dzieje z Cyryakiem, nie wiem, podobno został tak zwanym „kombinatorem“, czyli poprostu oszustem. Jego rodzicom, bratu i siostrze zapewne niczego nie brak. Za to mogę panu udzielić najdokładniejszych informacji o rodzie Drygałów. Otóż, żyje w dobrym zdrowiu i mnoży się szybko. Obecnie liczy już setki milionów.

— Co?

— Tak, panie. Drygałem nie nazywa się tylko Cyryak, Polikarp i Jacek, lecz nosi on wszystkie imiona. We wszystkich zaś swych postaciach jest to głu-

V piec lub nicpoń, albo jeden i drugi, który zakrywa swoją beczelność i niecnotę bądź szumnym fraze-sem, bądź sztuczną oryginalnością. Zawsze jest kłamcą i aktorem. W słowach bardzo groźny, w czynach pełza po nizinach. Mimo pozorów niezwykłości jest zupełnym pospolitakiem. Jego to miał na myśli Shakespeare, gdy pisał, że „życie jest baśnią, opowiedzianą przez idyotę, pełną wrzasku i furii a nieposiadającą żadnego znaczenia”. Ród Drygałów toczą rozmaite robaki, ale on utrzyma się jeszcze bardzo długo, dzięki swej zręczności a nadewszystko dzięki swemu kłamstwu.

Nowelista milczał.

— Chociaż to wydaje się paradoksalnem, nie ulega wątpliwości, że szczerść, jest objawem bezwstydu człowieka a kłamstwo należy do najszlachetniejszych rysów jego natury; przez nie bowiem wyraża on chęć okazania się lepszym, niż jest rzeczywiście. Drygałowie nie posiadają większej cnoty.

— Czy my tu zebrani, także?

— Naturalnie jesteście do szpiku kości Drygałami.

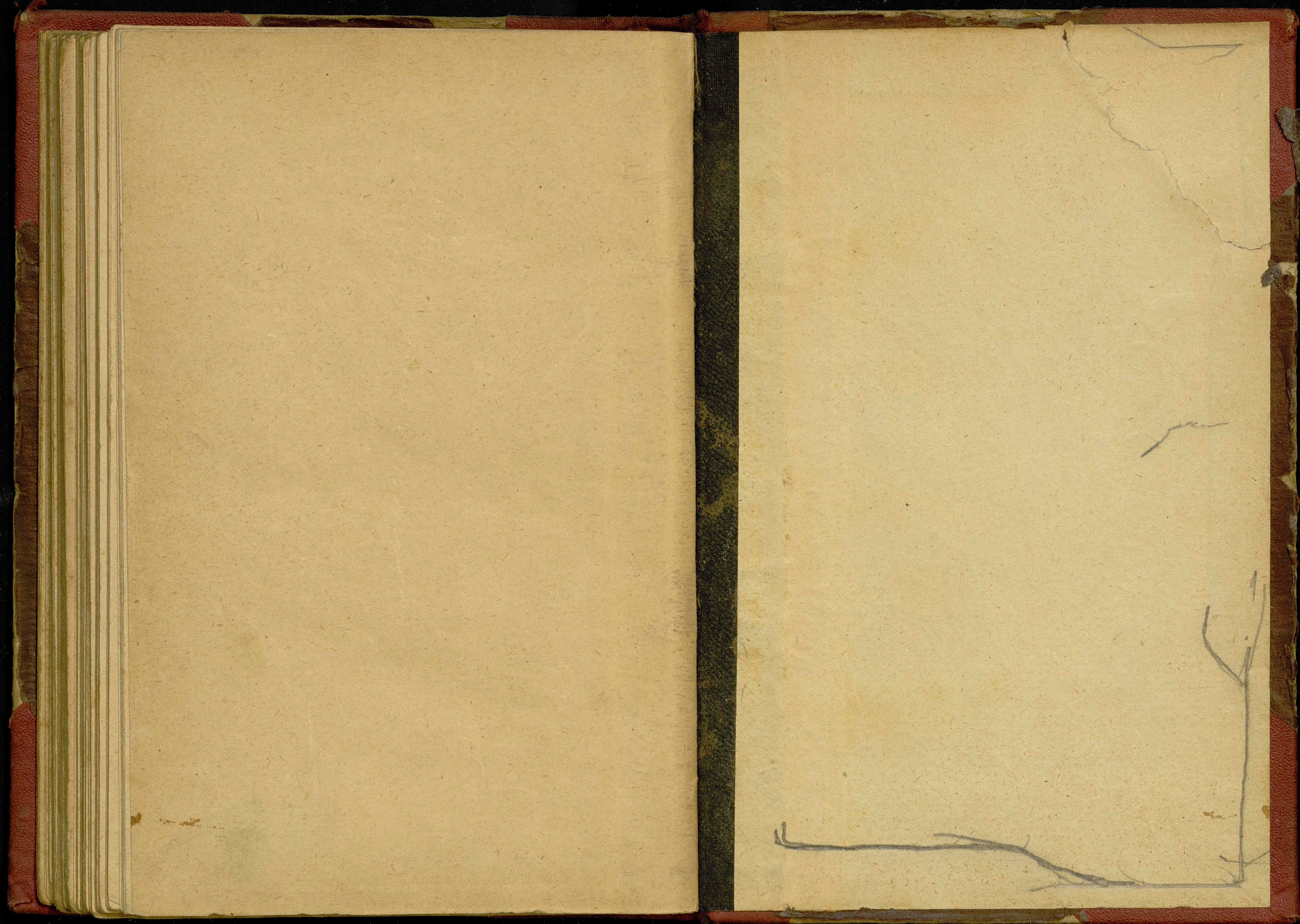
— A pan?

— Nie wiem. Wiem tylko, że największy wysiłek mojego życia stanowiło dążenie, ażeby nie być Drygałem. Dlatego nawet popełniłem długi szereg brzydactw i niegodziwości, dlatego byłem okrutnikiem, sofistą, bezwzględnym prawdomówcą, wstrętnym dla siebie i innych. I dotąd wybrałbym raczej zbrodnię i hańbę, niż drygalstwo.

Pijany nowelista oparł głowę na ręce i zasnął.

— Ach, jak to dobrze — pomyślał Ospan — że ten piszący subjekt usnął i nie słyszał mojego wyznania. Włazłby mi do otwartej duszy ze swym feljetonowym kodakiem i odfotografował jej wnętrze. V





7395